



BARBARA PORCZYŃSKA

ZA-
PISKI
MAMALARKI

2019-2022

Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego



ZA-
PISKI
MAMALARKI

2019-2022

BARBARA
PORCZYŃSKA

ZA-
PISKI
MAMALARKI

2019–2022



Wydawnictwo
Uniwersytetu Rzeszowskiego
Rzeszów 2022

Za-piski dedykuję wszystkim Matkom. Tym, które myślą, że są idealne, i tym, które wiedzą, że idealne nie są. I, O MATULU! Wcale być nie muszą.



~~F2TELP~~
~~W2TELP~~
WSTLP

Rytuały codzienne

olej na płótnie, 80 x 100 cm

2019



Obraz współczesnej kobiety–matki, choć w nieco zmienionej formie, nadal kojarzy się z wizją archetypicznej Matki Polki, gotowej do poświęceń i kochającej ponad wszystko swoje dzieci. Wzorzec ten sytuuje matki w wyidealizowanej rzeczywistości, która ma niewiele wspólnego z przyziemną codziennością. Kobieta–matka, która jest autentyczna, pomimo swoich wszystkich mocy, nie jest idealna. Ma tę jej sprostac idealnemu nemu w kulturze¹. To brzydkich pantoflach, je role, *dwoi się*, by za-rytm obowiązków.



W polskim dyskur-istnieje wiele róż-feministyczne mó-stce, alternatywach, różnorodności form. hiperrzeczywistość, rem dla ludzi pono-

czerpią wzorce wychowawcze z Internetu oraz z poradników pseudonaukowych, które promują koncepcję macierzyństwa opartą na *wymagającym wysokich kwalifikacji projekcie* kreującym dziecko na przyszłego człowieka sukcesu³, umniejszając tym samym zdolności matki do opieki nad własnym dzieckiem.

świadomość i trudno obrazowi zakorzenio-kobieta w zwykłych, która wchodząc w swo-chować odpowiedni

sie macierzyńskim nych głosów. Ruchy wią o matce aktywi-o wolności wyboru, Mass media tworzą która staje się wzo-woczesnych². Matki

¹ A. Nowak, *Matka w sztuce. Święta, wyrodnica, feministka?*, <http://www.girlsroom.pl/zycie/4831-matka-wsztuce-wieta-wyrodnica-feministka> [dostęp 2.06.2019].

² P. Możdżyński, *Inicjacje i transgresje*, Warszawa 2011, s. 143.

³ Zob. S. Urbańska, *Naturalna troska o ciało i moralność versus profesjonalna produkcja osobowości. Konstruowanie modelu człowieka w dyskursach macierzyńskich w latach 70. (PRL) i na początku XXI wieku* [w:] R. Hryciuk, E. Korolczuk (red.), *Pożegnanie z Matką Polką? Dyskursy, praktyki i reprezentacje macierzyństwa we współczesnej Polsce*, Warszawa 2012, s. 49–50.

Obecnie zakres obowiązków matki czy ogólnie kobiety powiększa się do szerokiego spektrum nowych obowiązków. Jej rola urosła do wielkich rozmiarów: ma być wyidealizowaną przez poradniki i reklamy bohaterką – *matką psychologizującą*⁴, wykwalifikowaną menedżerką zarządzającą treningiem osobowości przyszłego zwycięzcy⁵. W efekcie współczesne kobiety trwają w nieustannym konflikcie – wewnętrznym – z samą sobą i zewnętrznym – chcąc sprostać wymogom narzucanym przez otoczenie. Tkwią w stanie permanentnego konfliktu powinności, a wszelkie odstępstwa od *prawidłowości postępowania* wywołują wyrzuty sumienia⁶.

Kobieta–matka, zwłaszcza w początkowej fazie opieki nad niemowlęciem, skupiając się jedynie na jego dobru, zostaje zepchnięta w *niebył*⁷. Rytm życia dziecka zmusza ją do wykonywania codziennie tych samych, monottonnych obowiązków. Rola matki *oznacza oddzielenie od świata, pielęgnację ogniska domowego, zamknięcie w czterech ścianach, a co za tym idzie – ograniczenie towarzyskich tematów do “zupkę i kupek”*⁸. Macierzyństwo w Polsce staje się instytucją totalną i wiąże się z wykluczeniem społecznym⁹. Choć motyw karmiącej matki przewijał się przez wieki w sztuce i uznawany był za wyraz piękna, dziś sytuacja nieco się zmieniła. Widok karmiącej matki nagle oburza, a współczesna kobieta zostaje zepchnięta w marginalną strefę. W sferę liminalną.

Macierzyństwo zmienia życie kobiety, ale nie aż tak, by oznaczało to konieczność zamknięcia jej w domu. Kobieta, choć przekracza próg–*limen* i zyskuje nową rolę, tak naprawdę z chwilą narodzin dziecka może zostać wyrzucona poza nawias społeczeństwa: poza życie towarzyskie, poza życie zawodowe. Zniewoli ją udomowienie, a wszelkie impulsy do twórczego działania (przebież to śmieszne, nierozsądne) stopniowo wygasną. I dopóki sama nie zda sobie sprawy z sytuacji, w jakiej się znajduje, dopóki nie ocknie się, z każdym dniem będzie tracić własną tożsamość, aż pochłonie ją bezdenna otchłań¹⁰.

⁴ Zob. J. Kubisa, *Feministyczne macierzyństwo: AKCJA! Nowe formy feministycznego aktywizmu na przykładzie Fundacji MaMa* [w:] R. Hryciuk, E. Korolczuk (red.), *Pożegnanie z Matką Polką? ...*, s. 291.

⁵ Zob. S. Urbańska, *Naturalna troska o ciało i moralność...*, s. 49–70.

⁶ Zob. B. Łaciak, *Ciąża i macierzyństwo. Serialowe reprezentacje jako element społecznego dyskursu* [w:] R. Hryciuk, E. Korolczuk (red.), *Pożegnanie z Matką Polką?...*, s. 393–419.

⁷ *Dziecko zmienia wszystko – to sentymentalny banal, ale także życiowa prawda* [w:] A. Graff, *Matka feministka*, Warszawa 2014, s. 34.

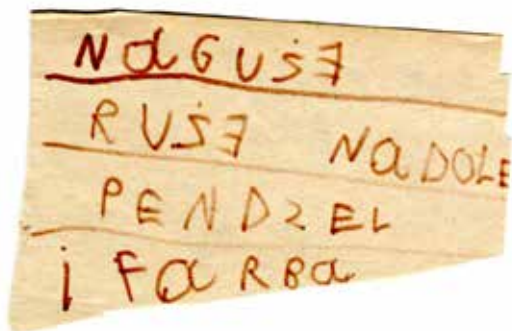
⁸ Zob. J. Kubisa, *Feministyczne macierzyństwo: AKCJA!...*, s. 293.

⁹ Zob. A. Młodawska, *Tradycyjna polska stygmatyzacja czy ponowoczesne neoliberalne wykluczenie? Analiza internetowego dyskursu kobiecej bezdzietności* [w:] R. Hryciuk, E. Korolczuk (red.), *Pożegnanie z Matką Polką?...*, s. 120.

¹⁰ Zob. C. Pinkola Estés, *Biegająca z wilkami. Archetyp Dzikiej Kobiety w mitach i legendach*, przeł. A. Cioch, Poznań 2015, s. 339–391.

Każdemu z moich trojga dzieci tuż po urodzeniu założyłam notes czy raczej pamiętnik, w którym zapisuję różne rzeczy związane z ich rozwojem. Na wstępie opowiadam, co czułam, gdy przychodziły na świat. Notuję ich wymiary, ilość punktów w skali Apgar, rysuję tabelę, jak przebiegał pierwszy tydzień w domu. Notuję daty, pierwsze słowo, pierwszy wyrżnięty ząbek i każdy następny. Notuję wszystko, co wydaje mi się ważne, śmieszne i warte zapamiętania. Piszę to dla Nich i trochę dla samej siebie. Nie chcę, by mi coś umknęło.

Za-piski MaMalarki to pamiętnik założony z okazji narodzin MaMalarki w 2019 r. W końcu ja też jestem ważna. Jestem *aktorką w swoim własnym spektaklu*¹¹. Szkoda bym o sobie zapomniała.



¹¹ I. Iwasiów, *Lolity, demony i fizjologia*, „Nowe Książki” 1995, nr 11, s. 5.

ZAPISKI

#A

ZAPISKI







Chcę deptać październikowy trawnik. Nie płoszcie małej rybki w mojej głowie!

MAMA+MALARKA

Zostałam matką, nie przestając być feministką. Tak brzmi ostatnie zdanie we wstępie do *Matki feministki* Agnieszki Graff¹². Zostałam matką, nie przestając być artystką. Zaczynam swoją opowieść. I nie, nie chcę mieć wyrzutów, że coś kosztem czegoś, bo przecież matka i tak musi wszystko.

Matka to nad wyraz towarzyskie stworzenie.
Na zakupy chodzi w towarzystwie.
Je w towarzystwie.
I choć przyniosła porcje dla wszystkich,
towarzysko dzieli się swoim obiadem, herbatą, deserem.

Z jej kubka smakuje lepiej.
Wypija więc gorącą część, by dziecku nie stała się krzywda,
wyjada niedobre, a dobre oddaje,
bo matka przecież dobrego nie lubi.

Robi siku w towarzystwie.
Jest towarzysko bezwstydna.
Nigdy nie zamyka drzwi.
Bo jeśli je zamknie,
wrzask za drzwiami odbierze jej skupienie.

TO MAMA

¹² A. Graff, *Matka feministka*, Warszawa 2014, s. 22.



= MAMALARKA

C.P. ESTÉS, BIEGNAŁKA... s. 163.

„Pozornie prawdziwego
imięcia ctowska jest
równoczesne ze
zrozumieniem jego
sytuacji drogi”
i malarzem.

To świat pomiędzy. Pomędzy malarstwem, przedmiotem, słowem. Pomędzy *sacrum* a *profanum*. To świat pełen sprzeczności i nieustającej walki kobiety o własną tożsamość.



MaMalarka jest dadaistką.

Pieluch tetrowych używa jedynie do wycierania pędzli. Żółte plamy z kupy są jej obce.

MaMalarka brzmi trochę jak malaria. Może dlatego, że też jest jakby chora. Na rozdwojenie, rozstrojenie, ogólne rozdarcie. Że kiedy chce, to nie może, a kiedy może, to już nie zawsze chce.

MaMalarka jest, jak widać, problemem zdrowotnym matek krajów rozwijających się, gdzie kobieta pragnie być nie tylko żoną, gospodynią i matką¹³.

Ukąszenie dziecka bywa bolesne.

Objawy mamalarstwa to niedobór snu, frustracja, rozdrażnienie, poczucie winy, ogólne osłabienie i złe samopoczucie, w skrajnych przypadkach dreszcze ze zmęczenia przypominające grypę, gorączka i ból piersi.

U wielu chorych niezbędna jest intensywna terapia wspomagająca, np. w postaci męża, matki, teściowej.

na stronie obok:

obraz *Rytuały intymne*, olej na płótnie, 20 x 30 cm, 2019

Pieluszki DADA dostępne w Biedronce



¹³ Zob. J. Kubisa, *Feministyczne macierzyństwo: AKCJA!...*, s. 325.

W dziewiętnastym wieku nikt nie zachęcał kobiety, by została artystką. Przeciwnie, czekały ją szyderstwa i policzki, kazania, przestrogi i wymówki¹⁴. W dolnym prawym rogu monitora mojego laptopa wyświetla się data 7.01.2020. Spojrzenie na macierzyństwo zaczęło się zmieniać¹⁵. Mam swój pokój, swoje pieniądze, swoje zdanie. Choć przyznam, że mój własny pokój nie zawsze jest własny. Czasami siedzę w nim jak w XIX-wiecznej bawialni, popijając zimną kawę, nie mając choćby pół godziny... dla samej siebie – wciąż mi się przerywa¹⁶. To frustruje. Ale słowa

TEGO SIĘ NIE DA POGODZIĆ¹⁷

są zdecydowanie przesadzone.

Da się. Dopóki matka ma siłę wewnętrzną. Da się. Jeśli *mąż niezwyklej wprost dobroci*¹⁸, życzliwi ludzie wokół i sprawna organizacja. Da się, jeśli bunt jest tylko buntem, a choroba dziecka tylko przejściową dolegliwością, sezonowym niedomaganiem. Chroniczny stan zaczyna się niewinnie. Niewidocznie wręcz. Ból paluszka, podmuchaj, ból nogi, brzucha, gardła, przewlekły ból głowy. Nadprodukcja zielonych baniek zamykająca drzwi przedszkola. Przeskok w ból czternaście plus. Szalejące hormony. Chroniczny ból wiecznej pretensji. Serotonina bawiąca się w chowanego. Ból rezonujący z dziecka do matki. Bo matka wszystkie bóle zabiera do siebie. Wykrada z chorych miejsc i gdy nikt nie widzi, opycha się zmartwieniami. A potem sama choruje. Dławi się. I nie ma siły pogodzić tego wszystkiego.

NIE DA SIĘ I JUŻ!

¹⁴ V. Woolf, *Własny pokój*, tłum. A. Graff, Warszawa 2019, s. 182.

¹⁵ Miarecki, *Sztuka Matek*, <http://www.lepszypoznan.pl/2012/05/15/artystka-%E2%80%93-kobieta-%E2%80%93-matka.html> [dostęp 7.01.2020].

¹⁶ *Kobiety nigdy nie mają choćby pół godziny... dla samych siebie – wciąż jej przerywano (...)* To zdumiewające (...), że udało jej się [Jane Austen] tyle osiągnąć, nie miała bowiem osobnego gabinetu, w którym mogłaby się schronić, i większość jej pracy musiała być wykonywana w ogólnej bawialni, gdzie wciąż coś jej przerywało (...) Jej wrażliwość kształtował wpływ wspólnej bawialni. [w:] V. Woolf, *Własny pokój...*, s. 197–198.

¹⁷ A. Graff, *Matka feministka...*, s. 16.

¹⁸ Ann Finch oraz Margaret Cavendish, ryzykując własnym zdrowiem psychicznym i ośmieszeniem, jako nieliczne kobiety tworzyły poezję już w XVII wieku. Jak podaje Virginia Woolf, *obie były bezdzietne i obie miały mężów niezwyklej wprost dobroci*. Oprócz przynależności do szlacheckiego rodu były to warunki, które z całą pewnością umożliwiały pracę twórczą kobiet. W obecnych czasach kobieta-artystka na szczęście nie jest uznawana za wariatkę i potwora, jednak partnerska postawa ze strony męża niezmiennie ułatwia, a niekiedy w ogóle umożliwia, działalność twórczą kobiety-matki. Zob. V. Woolf, *Własny pokój...*, rozdz. IV, s. 189–209.

Reszta świata będzie pędzić. Tylko matka utknie przy swoim dziecku. Bo matka to matka. Zostawi wszystko, choćby się waliło i paliło. Będzie zdzierać z siebie płaty skóry i łątać nimi zepsute miejsca. A każdy taki dzień pomniejszy jej poczucie istnienia.

Jesteś tu?
Nie śpij.
Nie śpisz, ale nie śpij.
Bądź.
Czasami sobie bądź.

Na kolanach trzymam książkę. W prawej dłoni pióro. Skrobie nim notatki w zeszytach położonym obok mojego uda. Zapisuję myśli, szkicuję obrazy. Czuwam. Moje palce u lewej ręki mechanicznie zaciskają się na sweterku półtorarocznej córki. Prawie spadła z narożnika. Pomagam jej bezpiecznie zejść. Syn, podskakując, woła: Mama bohater! Cały czas są w ruchu. Jak nakręceni. Brat goni siostrę do pokoju obok. Śmiech wypełnia przestrzeń. Na czym skończyłam? A tak. *Urodziłaś dziecko – to twoja prywatna sprawa. Weź za nie teraz odpowiedzialność¹⁹.*



¹⁹ A. Graff, *Matka feministka...*, s. 10.

ma nadzwyczajną siłę nie śpi pije zimną kawę choć już



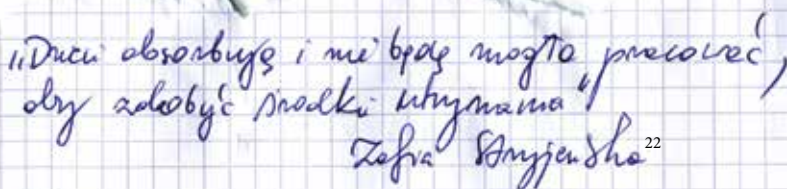
podgrzewała na wszystko ma odpowiedź jej dotyk leczy



LEO „manusia” 2021

FEMINIZM DLA NIEZALEŻNYCH, KONSERWATYZM DLA UDOMOWIONYCH²⁰

W myśl popularnego poglądu dzieci i rodzina wykluczają posiadanie przyjaciół i odnoszeniu sukcesów w życiu zawodowym²¹. Wobec tego kobieta–matka nie ma tożsamości poza dzieckiem, zaś kobietę aktywistkę omija życie rodzinne.



"Dzici absorbują i nie będą mogła pracować,
aby zdobyć środki utrzymania"
Zofia Stryjeńska²²

162 | 156
146 |

...a moje pisklęta wygnane z domu. Wyrok nad nimi wydany. Matka rodzona na bruk je wyrzuca jak śmieci. Przeszkodą są do sztuki, do pacykarstwa, do zaspokojenia pychy, do nasycenia chciwości. Za srebrniki Judasza sprzedaje matka własne niewinne ofiary. Żywe serduszka podeptane dla szatańskiej ambicji... Nie! – nie mogę tak postąpić. Nie powinienam znieść ani chwili myśli popełnienia takiego okrucieństwa! Stop! Wracam na dworzec, oddam kasjerowi bilety, odbiorę toboły, zostanę z dziećmi.

Szlag by trafił całą sztukę²³.

²⁰ Zob. A. Graff, *Matka feministka...*, s. 19.

²¹ A. Młodawska, *Tradycyjna polska stygmatyzacja...*, s. 98.

²² A. Kuźniak, *Stryjeńska. Diabli nadal*, Wołowiec 2016, s. 107.

²³ Tamże, s. 93.



„But motherhood is the myth of all myths,
so you play the game. Carry on, as usual,
wear the dungarees, hope for the best.
Blind to the fact that you might have
been ripped apart, sewn back up, and
exhausted to the point of delirium,
society mandates that it will be the most
joyful moment of your life“

„The mainyzi'stao jest mitem wnythick
mitow, nice grass. kromyminij, jeh
zangle, nosi ogrodniki, nij modniejs
ne mylepre. Stupa ne folit, ze mogetes
zobac' orensane ne stazpy, znyfo
a polnatom i nyzexpame do zbeleustra,
kpoterew'ho mahnuzi, ze' kpolie to nyzbednyj
rodosny moment twojego zlyva.“

Sophie Edrard, *Didn't Want To Be a Mum*²⁴

²⁴ J. Forel, *Sophie Ebrard's photos explore the conflicting emotions of motherhood*, https://www.dazedigital.com/art-photography/article/46164/1/sophie-ebrard-s-photographs-explore-the-conflicting-emotions-of-motherhood?fbclid=IwAR01oNXop_jibq-2IRQ6-MrObQi6-oXHCgn4Ub1eb51y3q2209D10YX_TOM [dostęp 16.06.2022].

*I felt sadness... I experienced loss for the woman that I had been and uncertainty about the woman that I would become – Sophie Ebrard*²⁵

Od czasu Mitu Matki Polki wiele się zmieniło w podejściu do macierzyństwa. Lecz mimo świadomości siebie, swojego ciała, niegodzenia się na uprzedmiotowienie, kobieta–matka – nie może pozbyć się silnie zakorzenionej myśli – że matka jest niezastąpiona – że musi się poświęcić. Współczesna matka żyje w ciągłym konflikcie wewnętrznym. Macierzyństwo to pasmo kryzysów i konieczności. Mamalarka bada granice własnych sił i konfrontuje swój wpływ na rzeczywistość. **Walczy. Z pędzlem w ręku. Z piersią na wierzchu.**

*Praca i kariera zawodowa matki zawsze wiąże się z ambivalentnymi uczuciami i poczuciem winy wobec dzieci*²⁶.

Bo maluje. Bo nie maluje.

²⁵ Zob. J. Forel, *Sophie Ebrard's photos explore the conflicting emotions of motherhood*, https://www.dazeddigital.com/art-photography/article/46164/1/sophie-ebrard-s-photographs-explore-the-conflicting-emotions-of-motherhood?fbclid=IwAR0IoNXop_jibq-2IRQ6-MtObQi6-oXHCgn4Ub1eb5Iy3q2209D10YX_TOM [dostęp 16.06.2022].

²⁶ K. Stańczak-Wislicz, *Matki biedne, nieszczęśliwe, złe. Łuki dominującego dyskursu macierzyńskiego w popularnych magazynach kobiecych* [w:] R. Hryciuk, E. Korolczuk (red.), *Pożegnanie z Matką Polką?...*, s. 415.

WINA. PO CZUCIE WINY.

W którejkolwiek roli by nie wystąpiła, kobiecie przypisywany jest jakiś rodzaj winy²⁷.

Więc siedzi w domu z dzieckiem. Codziennie ogląda stół, piecyk gazowy, zlew. Codziennie przez okno zagląda do niej kawałek wolnego świata. Jest za mądra, żeby dać się wrobić w bunt. Poczucie humoru jej nie pozwala obrażać się na świat. W gruncie rzeczy matka – to coś dla niej. Ale chce być też artystką²⁸.

...po kolejnej nocy, takiej nocy, odechciewa się wszystkiego. Ciągłość snu posiekana na kawałki, jak marchew ekologiczna do zupki.

Jak myśleć o tworzeniu, kiedy jedyne, o czym myślisz, to przyłożyć głowę do poduszki. Choć na chwilę. Jak pójść do pracowni, wziąć pędzel do ręki, przytknąć go sensownie do płótna,

skoro

ciało

stawia

opór.

²⁷ K. Stefaniak, E. Zierkiewicz, *Czy Matka Polka czeka na „Powrót taty”? Konstruowanie poczucia rodzicielstwa u mężczyzn przez deprecjonowanie kobiet w rolach macierzyńskich w „Gazecie Wyborczej”* [w:] R. Hryciuk, E. Korolczuk (red.), *Pożegnanie z Matką Polką?...*, s. 72..

²⁸ M. Ujma, *Elżbieta Jabłońska. Supermatka. Nadzwyczaj udane dzieło*, <https://galeria-arsenal.pl/wystawy/elzbieta-jablonska-supermatka> [dostęp 7.01.2020].

Matka–artystka poza uczuciami związanymi z urodzeniem dziecka ma poczucie izolacji.

Bycia pomiędzy.

Wpada w sferę liminalną, motając się pomiędzy tym, co ważne, a ważniejsze. Kobieta nie staje się Matką z dnia na dzień. Ona dojrzewa. Antropologowie definiują ten proces jako Matrescencja – taki brzmieniowy odpowiednik adolescencji. Niby pięknie, niby normalnie, niby bezradnie. Wstrząsająco.

Kobieta klepsydra wygląda doskonale.
Matka jest klepsydrą.
Rodzi dziecko. Jeden obrót
i świat staje na głowie.
Ziarenka piasku przesypują się każdego dnia.
Im więcej dziecka, tym mniej jest jej samej.

Wiszą na mnie.
Jedzą mnie.
Prują moje żyły.

dziecko ledwie odłożone do łóżeczka drze się na powrót głowa nie zdążyła nawet musnąć poduszki a znów trzeba wstać. Dreszcz. Mamalaria. Roztkliwia się po kręgach wnika w mięśnie i stawy kwilenie nie ustaje tułę nie mogąc otworzyć oczu dostawiam do piersi dziesięć minut jedna kolejne dziesięć druga zagubiłam się w czasie broda oparta na dłoni łokieć podparty na udzie stopy marzną na zimnych panelach



Nocna zmiana
olej na płótnie, 100 x 80 cm
2019

CIAŁO MATKI

23:00 Ciało Matki

02:05 Ciało Matki

04:45 Ciało Matki

06:00 Ciało Matki

15:45 Ciało Matki

19:30 Ciało Matki

MOTHERS IN ARTS

Współczesne artystki wchodząc na obszar sztuki, nie płacą już tak wysokiej ceny, nie muszą już wybierać między dzieckiem a sztuką, ale macierzyństwo jako ważne doświadczenie dla wielu z nich staje się tematem sztuki²⁹.

W 2017 r. w Amsterdamie z inicjatywy Csilli Klenyánszki zrealizowano projekt *Mother in Arts*, który miał za zadanie pomóc artystkom–matkom połączyć ich działalność twórczą z wczesnym rodzicielstwem. Od marca do maja w studyjnej przestrzeni artystki tworzyły oraz wspólnie opiekowały się dziećmi według zorganizowanego harmonogramu pracy. W pierwszym tego typu projekcie wzięły udział trzy artystki, które miały dziecko w wieku od trzech miesięcy do dwóch lat. Jest to czas, gdy praca twórcza zostaje ograniczona z powodu braku zapewnienia opieki nad dzieckiem przez państwo³⁰.

*Kobieta nie jest pasywnym, pustym zwierciadłem³¹. Ma prawo do aktywności niewiążącej się z rodziną³². Potrzebuje więzi z dzieckiem, ale i autonomii. Matki nie tylko chcą, ale i muszą te sprzeczne potrzeby jakoś godzić³³. Macierzyństwo nie musi oznaczać rezygnacji z działalności twórczej, poświęcenia siebie. Może natomiast wyzwolić w kobiecie twórczą energię, być źródłem natchnienia i inspiracji. Macierzyństwo w kontekście tożsamości i głębokich przeżyć egzystencjalnych jest tematem niezwykle ważnym dla sztuki i dla współczesnej kultury w ogóle³⁴. W latach 70. XX w. pojawił się motyw kobiety-matki-artystki. W projektach, takich jak *Post-Partum Document* Mary Kelly czy *Działania z Dobromierzem* duetu Kwiekulik, artyści badali relację rodzic–dziecko, przekładając własne doświadczenia rodzicielskie na język sztuki. Innowacyjne wypowiedzi artystyczne traktowały dziecko jako obiekt twórczego eksperymentu. Sally Mann zasłynęła jako autorka kontrowersyjnych zdjęć swoich dzieci. Motyw macierzyństwa poruszany był w sztuce krytycznej lat 90. i po roku 2000.*

²⁹ I. Kowalczyk, *Matki, artystki, negocjatorki* [w:] „Sztuka matek. Katalog wystawy”, Warszawa, Galeria Apteka Sztuki, Wrocław, Galeria Browart, Wrocław 2011, s. 2–4.

³⁰ Zob. <http://www.klenyanszki.com/mothers-in-arts>. [dostęp 7.01.2020].

³¹ B. Friedan, *Mistyka kobiecości*, przeł. A. Grzybek, Warszawa 2012, s. 132.

³² Zob. Fundacja MaMa.

³³ A. Graff, *Matka feministka...*, s. 17.

³⁴ Miarecki, *Sztuka Matek...*

Widać je w pracach Anny Baumgart (*Matka* 1999, *Matka i córka*, *Dostałam to od mamy* 2002, *Bombowniczki* 2004), Elżbiety Jabłońskiej, w twórczości której problem macierzyństwa zajmuje centralne miejsce (*Przez żołądek do serca* 1999, cykl rysunków *Matka Polka prezentuje – kiedy Antek śpi* czy seria wielkoformatowych fotografii *Supermatka – Gry domowe*, na których Artystka, niczym Madonna z Dzieciątkiem, pozuje w kostiumie superbohatera wraz ze swoim synem. Jabłońska gra z konwencjami. Ironicznie wskazuje, ile sprzecznych tropów identyfikacji nakłada się na oczekiwania wobec matek), Moniki Zielińskiej (*Genealogia/Ginealogia: Bliźna po matce* 1999) czy w akcjach społecznych związanych z Fundacją MaMa³⁵, działającą na rzecz praw matek w Polsce, której jedną z założycielek jest Sylwia Chutnik – pisarka, feministka, autorka m.in. *Kieszonkowego atlasu kobiet* i *Mama ma zawsze rację*.

Nie jestem odrębną historią. Samoistną wyspą, jak pisał John Donne, ale raczej ułamkiem kontynentu, częścią ładu. Lub, jak kto woli, powiem słowami Virginii Woolf, moje rozważania są efektem wielu lat *zbiorowego myślenia*³⁶. MaMalarka nie wzięła się znikąd. Choć przyznam, że na początku tak naiwnie myślałam. Wahalam się nawet, że zbyt osobiste, hermetyczne. Moja sztuka zbyt blisko splata się z życiem. Bo doświadczam–mówię–tworzę–zapisuję–pokazuję i jeszcze na film się zgodziłam, gdy inna kobieta w moim boksowaniu się z codziennością dostrzegła samą siebie³⁷. Nie. Nie jestem wyjątkowa. Osamotniona w swoich przeżyciach. Im głębiej drążę, tym wyraźniej widzę, że ta ogromna potrzeba zabrania własnego głosu pulsuje nie tylko w moich żyłach. Pulsuje w nas wszystkich. W kobietach, które mówią głośno, bo nie chcą się zatrzymać i zasnąć. W matkach–artystkach, które ślęczą po nocach *niczym nietoperze i sony*³⁸, bo wtedy mają potrzebny do pracy twórczej spokój. Jestem głosem. Swoim własnym głosem, który w 2021 r. został usłyszany i, ku mojej ogromnej radości, zabrzmiał również w projekcie *Moja matka, moja córka*.

³⁵ m.in. *O Mamma Mia! Tu wózkami nie jadę*, akcja na rzecz przystosowania przestrzeni publicznej do wózków dziecięcych i inwalidzkich, wspomniana już wystawa *Sztuka Matek*, która uczyniła istotnym temat macierzyństwa, uprawomocniła go oraz *Zapissane w ciele*, 2015, czyli wystawa o wspólnocie kobiecej poprzedzona wykładami i warsztatami prowadzonymi przez kuratorkę Izabelę Kowalczyk; artystki skupiły się na dziedziczeniu matrylinearnym, w linii kobiecej. *Według nich takie następstwo najlepiej ujawnia się poprzez procesy związane z cielesnością. Zmierzają, obrzędy są przekazywane poprzez babki, ciotki i matki, a najbardziej intensyfikują się w okresie ciąży, porodu i karmienia.* Zob. *Pochwała wspólnoty. „Zapissane w ciele” w Aptece Sztuki*, <https://magazynsum.pl/pochwala-wspolnoty-zapissane-w-ciele-w-aptece-sztuki/> [dostęp 16.06.2022].

³⁶ V. Woolf, *Własny pokój...*, s. 196.

³⁷ Mowa o filmie dokumentalnym MAMALARKA z 2021 r. w reżyserii Katarzyny Mazurkiewicz.

³⁸ Margaret Cavendish: *Kobiety żyją niczym nietoperze i sony, pracują jak zwierzęta, zdychają zaś jak robaki.* V. Woolf, *Własny pokój...*, s. 192.



MOJA MATKA, MOJA CÓRKA

Projekt artystyczno-badawczy autorstwa Agnieszki Bartak-Lisikiewicz i Magdaleny Ujmy, organizatorzy: BWA w Tarnowie, BWA w Krośnie, Wydział Sztuki PWSZ w Tarnowie.

Centralnym tematem są relacje matek i córek, a także ich społeczne i kulturowe role przejawiające się w doświadczeniu zaproszonych artystek i przekładające się na uprawianą przez nie sztukę. W projekcie wzięły udział: Bettina Beres,



Dorota Bernacka, Alicja Bielawska, Dominika Borek, Agnieszka Drwal-Dziurawiec, Pola Dwurnik, Teresa Gierzyńska, Aneta Grzeszykowska, Dorota Hadrian, Zuzanna Janin, Zofia Karpowicz, Barbara Kasprzycka-Łosiak, Bogdana Ligęza-Drwal, Justyna Łuczaj-Salej, Cecylia Malik, Małgorzata Markiewicz, Barbara Porczyńska, Katarzyna Sobczuk, Teresa Starzec, Agula Swoboda, Klaudia Urbanek-Kękuś, Marta Wojciechowska.

HE FIXED ME³⁹

Z tego jasno wynika, że to właśnie macierzyństwo obudziło w tobie artystkę. — *Tak, nagle kopnęło mocniej. Kiedy stajesz się matką, następuje pewne przewartościowanie, przynajmniej we mnie nastąpiło.*

Na czym ono polegało?

— *Bycie matką aktywowało we mnie uważność, jeszcze bardziej wyzwoliło emocjonalność. Oczywiście łączenie pracy z macierzyństwem było i jest trudne, zawsze miałyśmy za mało czasu dla siebie⁴⁰.*

TO TRUDNE, ALE NIE NIEMOŻLIWE! – Milixa Morón⁴¹

It's called 'Tree of life'. I was inspired by mom's life. Mom the nurturer, the guardian, the pure love, the play mate, the creator, as well as the professional, the artist.

While I paint this, reminds me constantly of how wonderful and challenging motherhood is. At least for me is a constant battle of balancing motherhood, household duties and career. It's difficult but not impossible!

Drzewo życia. Inspirowało mnie życie mamy. Mama wychowawca, opiekunka, czysta miłość, towarzysząca zabaw, twórczyni, a także profesjonalistka, artystka.

Kiedy to maluję, nieustannie rozmyślam, jak wspaniałe i trudne jest macierzyństwo. Przynajmniej dla mnie jest to ciągła walka o równowagę macierzyństwa, obowiązków domowych i kariery. To trudne, ale nie niemożliwe!

³⁹ Zob. J. Forel, *Sophie Ebrard's photos explore the conflicting emotions of motherhood...*

⁴⁰ P. Filipowicz, *Kiedy rodzic jest artystą, rozmowa z fotografką Martą Berens*, <https://ladnebebe.pl/kiedy-rodzic-jest-artysta/> [dostęp 7.01.2020].

⁴¹ Milixa Morón – wenezuelsko-włoska malarka figuratywna, najbardziej znana ze swoich mistycznych, alegorycznych i symbolicznych dzieł. Podany cytat dotyczy obrazu *Drzewo życia*, (<https://www.milixamorón.com/figurative-and-portrait?pgid=jyyyp139-fb2c01c1-0ac2-4322-86a7-764cae563e28> [dostęp 26.06.2022].) na którym przedstawia kobietę-matkę-artystkę. Zob. <https://www.instagram.com/milixamorón/> [posty z Instagram za zgodą autorki, dostęp 7.01.2020].







8

Poniedziałek / Monday / Понеділок
Beaty, Jana, Wincentego

Dzień Kobiet
Tydzień / Week / Тиждень 10

- 1) angielski - ksero - zeskanować
- 2) Gryfokrych - zeskanować
- 3) Sądka - zeskanować
- 4) Grant - rozpuścić projekt do miłania 20-Rishok



	Luty				Marzec					Kwiecień				
Tydzień	5	6	7	8	9	10	11	12	13	13	14	15	16	17
Poniedziałek	1	8	15	22	1	8	15	22	29		5	12	19	26
Wtorek	2	9	16	23	2	9	16	23	30		6	13	20	27
Środa	3	10	17	24	3	10	17	24	31		7	14	21	28
Czwartek	4	11	18	25	4	11	18	25		1	8	15	22	29
Piątek	5	12	19	26	5	12	19	26		2	9	16	23	30
Sobota	6	13	20	27	6	13	20	27		3	10	17	24	
Niedziela	7	14	21	28	7	14	21	28		4	11	18	25	

9

Wtorek / Tuesday / Вівторок
Katarzyny, Franciszka, Dominika

Tydzień / Week / Тиждень 10

Marzec

Kiedy ma się prawie 40 lat, na głowie dom, męża, troje dzieci (w kolejności M., L. i A.) we własnej zbuntowanej czasoprzestrzeni, niemożliwy jest zryw. Nie można tak po prostu zareagować spontanicznie. Wstać na równe nogi, ubrać się w pośpiechu, nie dopinając płaszcza i wyjść z domu właściwie nie wiadomo w jakim celu. Wszystko musi być zaplanowane, obmyślane i rozrysowane w kalendarzu. Punkt po punkcie.

Czasami jednak zrywa się człowiek, trzaska tymi tam drzwiami wejściowymi, ale zanim dopnie płaszcz, jest już z powrotem w domu.

Notatki







Super bohater
olej na płótnie, 80 x 100 cm
2020



JAK BYĆ POWAŻNĄ MAMALARKĄ, GDY ZACZYNA BYĆ POWAŻNIE?

PLAN JEST PROSTY

Ciało Matki

olej na płótnie, 80 x 100 cm

2020

Rano pobudka o 7:00. Mąż zawozi młodsze dzieci do przedszkola, najstarsza wędruje do szkoły, a ja w spokoju i ciszy dzień zaczynam śniadaniem. Mleko, owsianka, banan, żeby było słodko, bakalie, by coś pod zębem poczuć konkretnego. I kawa. Popijana w towarzystwie kilku stron czytanej właśnie książki. Na pobudzenie, na dobry nastrój i ochotę do pracy.

W pracowni zaczynam od angielskiego. Odpalam laptop. Kilka słówek nowych. Zestaw stu już poznanych tak dla utrwalenia. Włączam muzykę, przysuwam się do sztalugi. Na czym to wczoraj skończyłam? Śpieszę się ostatnio. Chcę dokończyć obraz na wystawę indywidualną, która ma odbyć się w BWA w Sanoku. Później bezpośrednio stamtąd przewiozę ją do Rzeszowa. Wszystko jest ustalone.

PLAN SIĘ SYPIE





Zamknęli żłobek,
zamknęli przedszkole,
zamknęli i szkołę.

Dostaję e-mail z BWA, że wystawy zostają odwołane. Wyrzucają mnie z grafiku. Inna zaplanowana wystawa odpada również. Nie muszę się już spieszyć. Wystawa Międzynarodowego Triennale Malarstwa Regionu Karpat *Srebrny Czworokąt* 2018 w Šarišská Galéria w Preszowie dobiega końca, ale póki co obrazy do mnie nie wrócą. Granice są zamknięte. Co prawda ostatni wernisaż *W kręgu pracowni Profesora Białogłowicza. Pomiedzy wyobraźnią a tajemnicą formy* w BWA w Ostrowcu Świętokrzyskim odbywa się 14 lutego, ale nie docieram na miejsce. Szaleje koronawirus.

RODZINNY PLAN ZMIANOWY

Owsiankę zjadam pospiesznie, jednocześnie z drugiej miseczki karmiąc A. – najmłodsze dziecko. Starszy syn – L. siedzi przy stole. Nie chce jeść. Krzyczy, żebym go karmiła. Zazdrości młodszej o trzy lata siostrze.

W telewizji puszczam bajki. Jeśli leci *Psi patrol*, to dam radę się uczesać i nastawić na kawę. Choć z pewnością wypiję ją zimną. Maluchy mają zainstalowany jakiś czujnik. Usiądę, wezmę książkę i od razu syrena wyje. Ciągłe będą wołać, skakać po mnie, bić się między sobą o moją uwagę. Rozcinam się na pół. Staram się to zrobić równo. Równiuteńko. Ale i tak mi nie wychodzi. Najstarsza córka – M. leży na łóżku wlepiona w telefon. Mówię, by wstała, usiadła do biurka, to są lekcje on-line, a nie wolne. Rozkładam ręce. Z rozciętych połówek wyszarpuję fragment siebie. Trochę z lewej, trochę z prawej, by nikt nie czuł niesprawiedliwości i podrzucam córce. Jej też trzeba pomagać. Najwięcej. Zapomina o wszystkim.

Naczynia myję, pochylając się nad dwoma taboretami, na których stoi młodsze rodzeństwo. Myju, myju. Moi dyżurni. Naczynia lśnią, plecy mnie bołą, trzeba zmienić im ciuszki, bo od góry do dołu cali są mokrzy. Mamy patelnię, do której strasznie przywiera jedzenie. Szoruję ją, przeglądając się w niej jak w lusterku. Moja twarz pojawia się gdzieś tam na odartym z teflonu dnie. To jest impuls. Duszona tęsknota, że kiedy chcę, to nie mogę, a kiedy w końcu mogę, to najzwyczajniej na świecie nie mam już siły.

Mężu! Patelni nie szukaj. **Nie ma!**

To od tej patelni wszystko się zacznie.

Obiad jest długo wyczekiwany punktem dnia. Wiem, że kiedy dobiegnie końca, ta cudowna gromadka trafi pod opiekę męża. Popołudniowa zmiana należy do mnie! Wycofuję się, prawie nie oddychając, by nie zauważyli mojego zniknięcia. A jak zauważą, to już problem tatusia. Niech sobie radzi. Niech gra z nimi w planszówki, układa klocki, czyta bajki i czeka cieplejszych dni, by wyjść z nimi do ogrodu. Zamykam się w pozornej ciszy i spokoju. Pozornej, bo zawsze ktoś zbłądzi i zawędruje do mnie do pracowni. Daję im wtedy kartki i maluję ze mną. Plan zmianowy nie zawsze się sprawdza.



Work-life balance,
fotografia z patelniami, 2021

Twarz Mamy w dziecięcych rysunkach jest zawsze największa.
Twarz. Wydzielona ze sfery ciała. Matryca myślenia.
Twarz ma wartość nadaną, inaczej się ją postrzega. Twarz, a nie inne części
ciała. Bo jestem. Podmiot w przedmiocie. Nie zniknę w szczelinach.

olej na obiektach z serii *MaMalarka*, 2020





Znika forma na placki.

Znika deska do krojenia.

Znika tacka, dwa rondelki, szczotka i miednica.

Książki czytam z doskoku. Wykradam łapczywie wzrokiem po kilka linijek. *Szczeliny istnienia*. Czytam *Biegunów* Olgi Tokarczuk, po raz enty *Rysia snajpera* Kurta Vonneguta, Virginie Woolf, *Własny pokój* i cztery książki, z których robię notatki: *Mistyka kobiecości* Betty Friedan, *Po-twarz. Przekraczanie widzialności w sztuce i filozofii* Anny Szykowskiej-Piotrowskiej, *Na marginesach lustra. Ciało kobiece w pracach polskich artystek* Agaty Jakubowskiej oraz *Pamięci pamięci* Marii Stiepanowej. Obrazy się tworzą. Pędzle wycieram w śpiochy. Dzieci rosną tak szybko.

Usiłuję udokumentować obrazy, nad którymi nadal pracuję. Nie jest to proste. Maluchy, widząc mnie z aparatem, prezentują rytualny taniec. Dla mamusi.



Na najbliższym plenerze na podstawie tych szybkich ujęć powstaną malarskie impresje: *Dziecięca radość*.

— To są takie impresje jawornikowe, tańczące dzieci.

— A gdzie ty tu widzisz dzieci?

— Tu są. Tu w mojej głowie siedzą.

Dziecięca radość, olej na płótnie
(4 x) 60 x 60 cm, 2021



Projektem MaMalarka interesuje się Stowarzyszenie Form Różnych. Podejmujemy współpracę. W dniu 12 maja 2020 r. Komisja Konkursowa Podkarpackiej Kroniki Filmowej 2020 przyznaje dofinansowanie na realizację filmu dokumentalnego MAMALARKA w reżyserii Kasi Mazurkiewicz. Pierwsze ujęcia ruszają 8 czerwca. Jeszcze nie wiem, że rok później film dostanie się na kilkanaście krajowych i zagranicznych festiwali i zdobędzie laury. Jeszcze nie wiem, że MAMALARKA zdobędzie Nagrodę Marszałka Województwa Pomorskiego za Najlepszy Film Dokumentalny w Konkursie Filmów Międzynarodowych podczas Festiwalu Filmowego *Euroshorts* w Gdańsku. Jeszcze nic nie wiem. O muzyce do filmu skomponowanej przez Luizę Ganczarską, o wywiadach, o zagranicznych wystawach i o obrazie *Grupa Laokoona*, który zawisnie na 5. Art Biennale w Londynie, zgarniając jedną z nagród. Jeszcze nie wiem. Siedzę zamknięta w domu i próbuję poskładać na nowo swój świat.

Od męża dostaję prezent. Album *Praca kobiety nigdy się nie kończy*. Cieszę się jak dziecko. Z albumu, z pierwszego wyjścia z domu po dwóch miesiącach w zamknięciu, z wiosennej pogody i tak po prostu, że mimo trudności i zdalnej nauki udało mi się dotrzeć do końca semestru. Wymyśliłam sobie. Doktorat.





fot. Michał Woźny, Premiera MAMALARKI 2021

na zdjęciu od lewej:

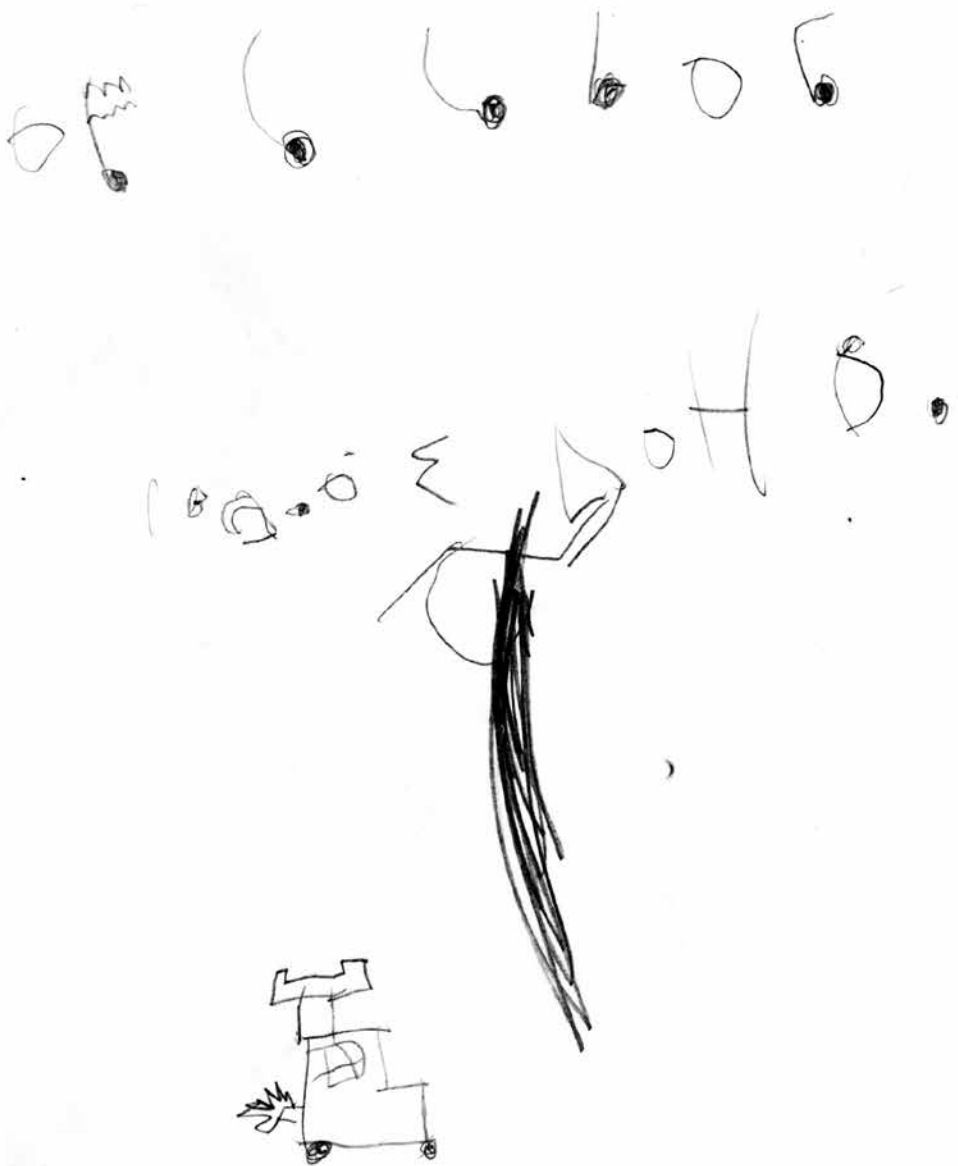
K. Mazurkiewicz, B. Porczyńska, L. Ganczarska
oraz na pierwszym planie A. Porczyńska

obok: plakat MAMALARKI oraz kadry z filmu:
Mirosław Mazurkiewicz 2021



Urodziłam mamalarskie dzieci...
olej na płótnie, 100 x 100 cm
2022





LED:

"Smiga utepszony samochod i wyglada jak mysliwoscia. Promien z gony leci. Samochod jedzie jak malony i jaregano. promien. Nutki - znenu, ze samochod cos robi!"

L: Mamo, będę robił eksperymenty.

Ja: Jakie eksperymenty?

L: Na przykład, em, będę miał szynkę, pokroję, wrzucę do garnka, pogotuje, znów namoczę, dodam soli, dużo pieprzu, jajka do garnka, potem znowu szynkę, em, połowę litra mleka, a potem będę mieszał, aż się coś zrobi.

Ja: I co to ma być?

L: Nie wiem. Może coś wyjdzie. Bo ja jestem taki ciekawy. Może coś fajnego do jedzenia wyjdzie.





Maaamooooooooo, już zrobiaaaaaaam!

obiekt z cyklu *MaMalarka*

olej na formie do pieczenia, 26,5 x 41 cm

2020

JUŻ

Jeśli urodzenie dzieci rozwlekłaś na ponad dekadę i różnica pomiędzy najstarszym a najmłodszym wynosi około lat trzynastu, to pod jednym dachem masz zbuntowaną nastolatkę i równie zbuntowane dwuletnie dziecko. Nie mówiąc już o ewentualnym dziecku pomiędzy, które właśnie przechodzi bunt pięcioletka, bunt średniego dziecka, bunt brata wśród sióstr. To wydaje się zrozumiałe. Zdziwić cię może jednak, jak z pozoru jedna miara czasowa jest tylko z pozoru. Weźmy na przykład takie JUŻ. Dla ciebie jako matki jest to wdech, podczas którego zostaje uruchomiony mechanizm działania, a JUŻ na wydechu finiszujesz manewr w postaci chociażby nalania soku – nie ten kubeczek – przelania soku do odpowiedniego kubeczka, bo tylko z tego odpowiedniego innego kubeczka sok–herbata–woda–czy–kompocik prawidłowo ugasi pragnienie twojego dziecka oraz dostarczy mu niezbędnych walorów w postaci smaku, mokrości, temperatury, a nawet śmiem dodać, uratuje mu życie przed nagłym i niespodziewanym atakiem odwodnienia.

Robisz to i JUŻ.

Wyciągasz ręce z kuchennego zlewu, z piany oblepiającej brudne naczynia. Woda cieknie ci po łokciach, irytująco laskocząc skórę. Żeby tylko nie zmoczył rękawów. Bierzesz wdech. Porządny, głęboki. By na jego rozciągłości ręce były już w miarę otarte ręcznikiem, papierem czy choćby getrami twoimi, co na tyłku dzień w dzień nosisz. By wraz z wydechem podać JUŻ nocnik, żelki, chusteczkę raz–jedna–dziurka–pięknie–druga–ślicznie jesteś mistrzem w wydmuchiwaniu noska – jestem Adusia Mała Mistrz!

Lecz pomimo że twój manewr JUŻ odbywa się na wdechu i wydechu – JUŻ szybciej się nie da, JUŻ nie wypukniesz się bardziej – to dla dwulatka ta chwilka rozciąga się jak guma balonowa, której jeszcze temu dziecku nie dajesz. Boisz się dać. Że połknie, że zadławi się albo w najlepszym wypadku zrobi jak twoja młodsza kuzynka przeszło trzydzieści lat temu. Odgryzała po kawałku balonówkę *Kaczor Donald* i lykła z zadowoleniem, dopóki twoja mama nie wyjaśniła jej, że gumę się żuje. Do dziś pamiętasz zmieszaną minę kuzynki i czujesz zazdrość, że gluptas dostał drugą gumę od matki, a ty i cała reszta dzieci tylko po jednej. Pamiętasz. A jakże. Odplywasz myślami hen daleko, dryfujesz nieobecny wzrokiem, gdy nagle twoje wspomnienie w głowie przerywa wrzask: siku, pić, żelki, boli, buju–buju, biju–biju, bawić, mówić, mama–mama–mama! Przytomniejesz momentalnie, wołając JUŻ. No przecież JUŻ.

Nie masz czasu szukać ręcznika. Nastolatka twoja przywaliła go kurtką, bo wieszak w przedpokoju, choć bliżej, jest jakby dalej. I nieporęczny. Bo sięgnąć trzeba, powiesić, bo za dużo zachodu. A tak to pach do kuchni na fotel czy kaloryfer, więc lepiej już te dłonie w getry sobie wytrzyj. No JUŻ. Na pełnym wdechu. Ręce masz na w pół suche, lecisz po nocnik, uderzając się drzwiami, nalewasz soku, przelewasz sok – dziś nie ten kubeczek był odpowiedni – sięgasz wyżej do szafki, leci ci wszystko. I choć jesteś JUŻ, JESTEŚ, powietrze ulatnia się z płuc, bo więcej nie wędziesz. Wirujesz jak balon sflaczały po pokoju, przytulasz, huśtasz, ściągasz z szafki kredeczki, to twoje JUŻ w oczach zawiedzionego dziecka rozkracza się na trzy pojedyncze literki. Oj, niezadowolone jest dziecko. Że to, że tamto, że siamto, właśnie teraz, w tej setnej sekundy ono chce, a ty popierdajesz gdzieś po pokoju, uderzając o regały czy stół, bo powietrza w baloniku JUŻ brak. Otwierasz więc usta, piszcząc sobie do wewnątrz i pędzisz spocona i wściekła zarazem, że to twoje JUŻ jest takie rozwlekłe, zbyt długie dla dziecka, a nie umiesz przyspieszyć JUŻ bardziej.

Do twojej głowy bezwiednie wkradają się lęki. Mózg koduje, że twoje JUŻ trwa zbyt długo. Że stara chyba jakaś i niedołężna jesteś. Choć działasz na pełnych obrotach, dzieciak kwiczy, jakbyś zastygła w miejscu na wieki. Jego głos JUŻ nie głos, to jazgot piekielny, wrzyna się boleśnie nie tylko przez uszy, ale i przez ciało całe. Rumor mamucich ciężkich odnóży zbliża się do ciebie, a ty nie wiesz, gdzie patrzeć, nie wiesz, w którą JUŻ biec stronę. Pochłaniasz łapczywie wszystkie dźwięki niezadowolenia. Skarpetka na twojej stopie wysa dziwną ciecz. Kompecik był się rozlał. Na płytkach. Na dywanie. I znów wrzask. Fanfary. Kompecik. Mój kompecik!

Ubierasz pospiesznie buty, płaszcz, czapkę. Albo sandały. Jeśli lato nagle cię ocknęło. I idziesz do sklepu, w którym kolejka wydaje się zbyt długa. Przecież JUŻ powinnaś wyjść. JUŻ wracać powinnaś. Dusisz się nagle. Ciężko oddychasz. Wtlaczasz powietrze, a wtłoczyć nie możesz. Stanie w miejscu cię zabija. Odcina tlen, którego nie umiesz wprowadzić do płuc, bo jakimś dziwnym sposobem klatka piersiowa ci się zapada. Łapiesz więc krótkie i raptowne oddechy, bojąc się coraz bardziej utraty przytomności. Kolejka jak na złość nie przesuwana się ani kroku, bo gdzieś tam z przodu na jednym z produktów kod nie chce się zeskanować. Odpinasz guziki w płaszczu. Ręce ci drętwieją. Detale atakują twój wzrok. Poukładane na półkach, powtykane w kąty. JUŻ. JUŻ! Nacierają jaskrawymi kolorami. Wrzeszczą na ciebie, że stoisz w tłumie zamiast szybko uciekać. JUŻ. Jesteś w potrzasku. Masz wrażenie, że krew

nie dopływa ci do kończyn, że zejdziesz zaraz z tego padolu. Wrażenie? Ty czujesz to naprawdę. Każda twoja komórka woła o pomoc. Drętwieje ci język, a wargi sinieją. Zatyka cię, bo nie masz JUŻ śliny. Chcesz wsadzić coś do buzi. Cokolwiek. Gumę, sok, wodę. Musisz poczuć, że jeszcze jesteś. Że nie wyparowałaś JUŻ całkiem, nie ulotniłaś się wraz ze strachem panicznym, który zmusza cię do mruczenia. Musisz usłyszeć, że żyjesz. Nie masz nic przy sobie. Sięgasz więc po butelkę wody stojącej przy kasie i będąc JUŻ drugą w kolejce, odkręcasz nakrętkę, bierzesz łyk i z trudem odstawiasz zakręconą butelkę na czarnej gumowej taśmie. Cała się trzęsiesz. No JUŻ. JUŻ. Zapłać i wyjdź. Karta wypada ci z rąk. Podnosisz i klikasz. JUŻ. Jeszcze tylko schować zakupy i wyjść z tego cholernego sklepu. Nie wrócić więcej. Oj, nie. Nigdy. Podchodzisz do drzwi, a one automatycznie ci ustępują. JUŻ dobrze. Teraz tylko dojść do domu i zapaść się pod ziemię.

Mama, mama. Słyszysz. Co kupiłaś? JUŻ. Odpowiadasz, odkładając wypchane siatki na podłogę. JUŻ wam dam.

Wolasz starszą córkę. Nastolatkę. Chcesz, by ci pomogła. Z góry słyszysz przeciągle JUŻ. Nie cieszysz się. Jej JUŻ może trwać kilka godzin, dni, a nawet tygodni. W ciągu jej JUŻ zdążysz całkiem dojść do siebie, ba! Zupełnie wyleczyć napady lękowe, klaustrofobię i agorafobię. Zdążysz rozpakować zakupy, rozdać słodczyce dzieciom, zobaczyć, jak je strawiły, podetrzeć im tyłki i JUŻ tylko starać się nie zwariować po raz kolejny.

I JUŻ!

Lęki nieoswojone
olej na płótnie, 80 x 100 cm
2020

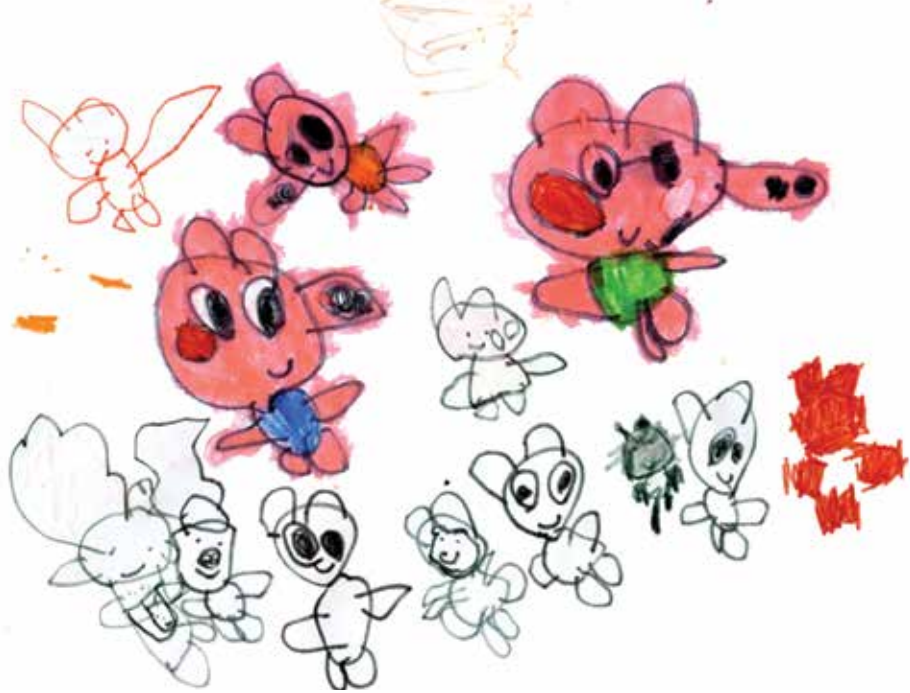


Czysta Poezja,
czyli o świetlistości umysłu, gdy
targa tobą niechęć, żal i złość.

Chcę piciu. Już robię.
Chcę piciu. Już robię.
Chcę piciu. Już robię.
Chcę piciu. Już robię.
Chcę piciu.
Już robię.
Chcę piciu.
Już. Robię.
Chcę piciu.
Już.
Robię.
Chcę piciu.
Jużzzzzz.
Rrrrrrrobię.
Chcę piciu.
JUŻROBIĘ.
Chcę piciu.
...

Piciu.

Robię



Urodziłam mamalarskie dzieci, bo sztuka wymaga wyłączności. Nie mogłam zrobić ich nieartystycznie.

Jest ich pełno. Tak pełno. Potykam się o nie przy każdym kroku. Idą za mną przede mną idą krok w krok. Z przodu z tyłu z boku i dziamią. Czuję, jak pot leci mi wzdłuż kręgosłupa.

A mamuś to dlaczego?

Co dlaczego?

Nic.

Niedziela. Próbuję czytać. Świeżo wydana antologia polskich tekstów feministycznych z lat 1870–1939⁴². Lubię zapach nowych książek.

Wywołuję wielką wojnę naprzeciwko gorące piwko...

Przytulać mamę!

Lubię zapach spoconych dziecięcych nóżek.

Kawa wylewa mi się z kubka. Kask Boba Budowniczego spada mi z głowy. Zapomniałam, że go mam. Zapomniałam, gdzie czytałam. Już wiem. Jeszcze nie zaczęłam. Narcyza Żmichowska chciała coś do mnie przedwstępnie, ale za duży gwar. Twarde wymogi rzeczywistości.

A: Ja będę Świnką Peppą, a ty będziesz Mamą Świnką, dobra?

*Mroki*⁴³, strona 192. Przytrzymuję palcem i zerkam na córkę. Mój mózg się rozwarstwa. Bezwiednie chrumkam, utrzymując kontakt wzrokowy i uśmiech z kreskówki. Jeśli tego nie zrobię, nie da mi spokoju. Moje myśli odlatują.

Wielokrotnie słyszałam, że moja sztuka jest TAKA SMUTNA. Ktoś napisał pod artykułem o mnie, że oglądając moje obrazy, samemu można dostać depresji. Każą mi malować wesole, kolorowe obrazki. Najlepiej, żeby to były jakiegokolwiek krajobrazy, kwiaty w wazonie albo abstrakcje. Jestem świetna

⁴² A. Górnicka-Boratyńska, *Chcemy całego życia. Antologia polskich tekstów feministycznych z lat 1870-1939*, Warszawa 2020.

⁴³ J. Borszewicz, *Mroki*, Warszawa 2015.

technicznie. Mówią. To, co poruszam, jest zbyt trudne. Przygnębiające. Za dużo trzeba myśleć. Moja twórczość powinna być jak Disco Polo. Łatwa. Skoczna. I żeby się miło oglądało. Powinna też zostać przepuszczona przez filtry i być jak posty z Instagrama. Pokolorowana kredkami. Powinna to być najlepsza wersja mnie. I wszyscy powinni mnie chwalić i mówić, jakie to piękne, łatwe i radosne. Że w ogóle jestem super. A nie jakaś artystka z depresją. A sio!

Borszewicz, to dopiero a sio! Depresja jak nic. Gmera ciągle palcem w mroczkach własnej duszy, nie wie po co i dlaczego, ciągle śmierć i czarne myśli, czarna sylweta na okładce. Tu się wieszka, tam zapada i ogólnie nie chce żyć.

Niby litery wydrukowane ładnie, ale czytając, samemu można dostać depresji. Chyba właśnie dlatego kupiłam tę książkę. Bo tytuł, bo postać. I tęcza między nogami. Że jest nadzieja. Zawsze jest nadzieja. Reklama spersonalizowana wyświetliła mi się na FB, bo wiecznie zamawiam jakieś książki. Bingo. Złapali mnie. Zawsze mnie łapia.

A *Pokolenie wyżu depresyjnego*?⁴⁴ Jakie to smutne. Jakie to smutne. Tak mówią mi starsze panie na wernisażach. A pani taka wesoła, uśmiechnięta. A fe. Nieladnie.

Nie smutne tylko melancholijne. Odpowiadam. *Człowiek poprzez swój język i zachowanie pokazuje, czym jest jego „ja”*. I to poczucie własnej osoby zawsze powiązane jest z poczuciem *innego*. Poprzez funkcjonowanie w społeczeństwie, poprzez porównywanie się z innymi człowiek odczuwa samoświadomość⁴⁵.

Ktoś inny doradza mi, żeby moja sztuka nie była zbyt osobista. Że ludzie mogą mnie skrzywdzić, jeśli zbyt wiele odsłonię. Porada nie daje mi spokoju. Jak wiele innych rzeczy. Ciągle coś miałem w głowie, ciągle się martwię. Nie wiem, jaka powinna być sztuka. Bezpieczna? Ogólna? Dopasowana do trendów?

Poległam na całej linii. Bo moje, bo osobiste, zapisane, bo wyrzygane wręcz. Ale takie chcę. Takie lubię.

Ze wszystkiego, co czytam, lubię to tylko, co krwią było pisane. Pisz krwią, a doniesz się, że krew jest duchem. Tako rzecze Zaratustra⁴⁶.

⁴⁴ M. Tabaczyński, *Pokolenie wyżu depresyjnego*, Kraków 2019.

⁴⁵ J. Mucha, *Cooley*, Warszawa 1992, s. 188.

⁴⁶ F. Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra. Książka dla wszystkich i dla nikogo*, przeł. W. Berent, Warszawa 1905, s. 47.

I co? Szach mat!

— Malujesz coś innego niż dzieci?

— Dzieci są radosne. Przecież.

— Rozumiem. Ale może jakbyś namalowała kwiaty? Takie w wazonie byłyby ładne.

Maluję twarze. Źle. Maluję swoje dzieci. Czuję się winna.

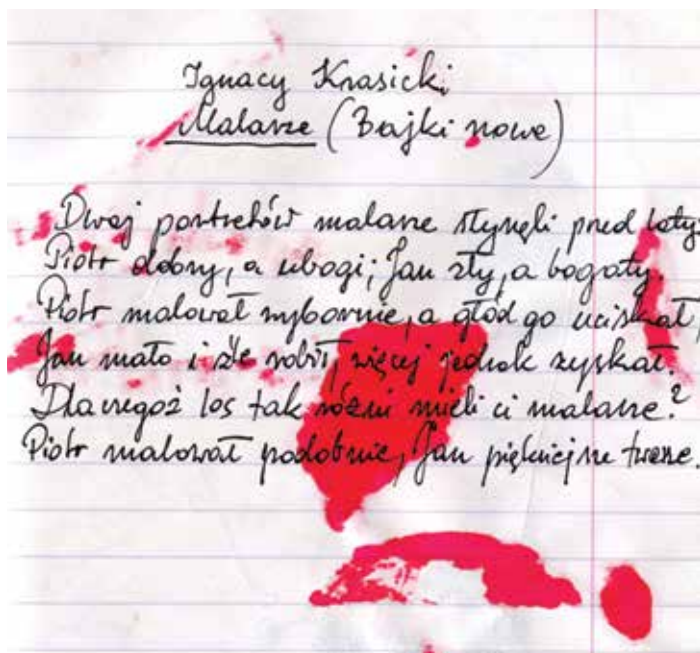
Nie mówię o czynach i zaniedbaniach. Wystarczą myśli. Że gdyby...

Na obrazach widać, jak urosły. Niemowlęta przy piersi. I wszystko ma sens.

Nie muszę się głowić. Mam je przy sobie. Kwiatów układać nie muszę. Własnej twarzy nadwyreżać. Że tylko ja, ja i ciągle ta moja gęba domagająca się uwagi: *hallo*, jestem tu. Wypelzam z przedmiotów⁴⁷.

Maluję razem z dziećmi. I próbuję nie wrzasnąć.

Czasem zastanawiam się. Cokolwiek nie zrobię. Czuję się winna.



⁴⁷ Jak zauważa Agata Jakubowska w *Na marginesach lustra*, twarz postrzegana jest jako najmniej cielesna część postaci ludzkiej. Jest raczej czymś pośrednim między duszą a ciałem. To płaszczyna, z której można wyczytać emocje, ale i osobowość. Ukazywanie twarzy to stawianie pytania o swoją podmiotowość. A. Jakubowska, *Na marginesach lustra. Ciało kobiece w pracach polskich artystek*, Kraków 2005, s. 51.

Ja: Jakie kolory najbardziej lubisz?

A: Nie wiem. Czarny.

Ja: Dlaczego czarny?

A: Bo lubię czarny.

A: A gdzie jest Adusia?

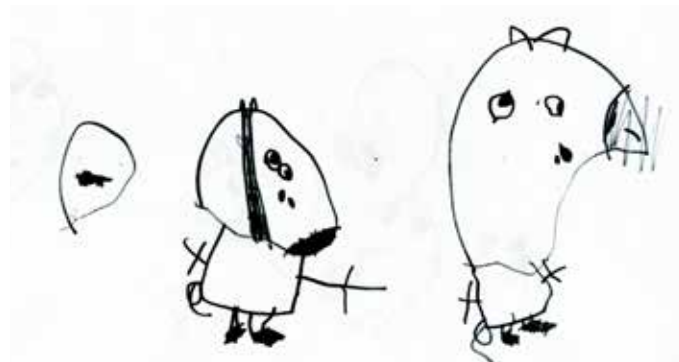
L: Nie ma Adusi. Mamie rysuję portret. Jest tylko mamusia i tatuś!

Możesz wysmarkać mi nos? Możesz dać mi same płatki? Kanapkę mi dasz? Spadają mi gacie. Co jest w środku? Muszę coś porysować. Kredeczkami. Eee. Auto narysuję. Mojego. Możesz mi to, o to rozpakować?

Kura ma pióra, jak mnie to denerwuje. Co kawałek szarpie mną to zdanie w *Mro-kach*. Wybijają mnie z rytmu czytania, więc za którymś razem omijam wzrokiem i to szerokim łukiem.

Tak samo jak irytują mnie nadmierne zdrobnienia wypowiedane przez dorosłych do dorosłych: herbatunia, ciasteczka, nasza Malusiunia-Pindusiunia będzie mieć wspaniałusi dzień-nik. Albo i nocnik!

Sama zdrabniam. Nie chcę więc wyjść na hipokrytkę, bo mówię dzidzia, bo mówię obiadek, bo mówię mamusia. Przy dziecku jakoś brzmi to znośnie. Denerwuje mnie idealniusi dorosły, gdy zdrabnia wszystko, co popadnie. Kura ma pióra, do cholery!



Zdrobnienia przy dzieciach są
w porządku.

Bez dzieci brzmią
nie do zniesienia.

Jest kilka z pozoru nieistotnych drobiazgów, które doprowadzają mnie do szału. Znikające długopisy z mojego biurka w pracowni i wszechobecne woreczki foliowe. Wiem. Bzdura. Powinnam popukać się w głowę, a nie koncentrować się na BRAKACH i NADMIARACH. Nawet jeśli się o nie potykam. Dłoń zawisa w próżni, gdy chcę coś zanotować, to znów walczę z czyhającą na mnie folią, upakowaną po brzegi w bawełniane torby zakupowe z logo międzynarodowej konferencji socjologicznej, które właśnie przywiózł mąż (to on robi częściej zakupy, bym nie musiała umierać co chwilę zablokowana przy kasie). Dwa jabłka w woreczku, jedna papryczka chili w woreczku, cztery gruszki w woreczku, pół kilo cebuli w woreczku, jedna papryka czerwona w woreczku i myślę, szlag, nie wytrzymam, niech zgnije wszystko w tych pieprzonych woreczkach, nie będę wyciągać i sortować. Pestki osobno jeszcze mi zapakujcie, każdą w woreczek, osobno dwa ziarenka słonecznika, dziesięć pestek dyni i osiem malutkich ziarenek sezamu. W woreczki, koniecznie w woreczki foliowe, stój przy bazarku i otwieraj suchymi opuszkami palców, nie liź, bo *covid*, męcz się. Przy brzegu jak złapiesz, to prędzej pójdzie. A ja tymczasem usiądę, wysupłam, przełożę do odpowiedniej przegródki, a woreczki zwinę na kupkę. Jeszcze się przydadzą. Albo i nie. Nie przydadzą się, tylko będą furać po kuchni, zbierać kurz i resztki jedzenia, a ja rzucę się za nimi pędem niczym mała dziewczynka na boso po łące biegnąca radośnie za motylkiem!

Umykam do pracowni. Niby za tym motylem, bo dalej wyobraźnia działa, żeby odgrodzić jakoś myśli, odciąć złość i nerwy i nie złapać kogoś po drodze, przypadkiem, razem z tym workiem, nie chwycić, szpilką nie przytwierdzić w pięknej gąblotce, entomologicznej, sosnowej. Z pianką.

Myślę. Tylko spokojnie. Usiądź przy biurku, ochłoń, dokonaj transferu gniewu na papier, zanim dzieciom włączy się alarm, że matka na pięć minut zniknęła w swoim kącie. Siadam więc potulnie, a mój wewnętrzny głos terapeuty przypomina o oddychaniu. Wciągam powietrze, licząc do trzech, sięgam do słoika po masło orzechowym, w którym trzymam przybory do pisania i wraz z wydechem – równo na trzy – dostrzegam

BRAK.

Rozeszły się.

Nóg dostały, skrzydeł jakichś kolorowych. Motylich.

Odleciały.

Macierzyństwo usprawiedliwia cię przed światem, gdy bawisz się jak dziecko.

Moja trzyletnia córka została matką. To ja jestem jej CÓLECKĄ. Tuli mnie więc, karmi, przynosi zabawki. Jestem zmuszona zwracać się do niej MAMU-SIU. Pomyłka jest niedopuszczalna.

Dorastająca córka MaMalarki nie słucha. Rad. Prośb. W ogóle. Wszystko wie najlepiej i najlepiej nic jej nie mówić. Podbiera z pracowni farby, kleje i pędzle, nie pytając o zgodę. W dodatku nie odnosi. Bo po co? Należy się i już. Jest przecież córka. Co należy do MaMalarki, należy i do niej. Przecież ze mnie wyszła. Z macicy swojej matki. Czepiać się nie ma o co.

fotografia z pomalowaną ścianą, 2021



PRASOWAĆ NIE CIERPIĘ.

Pod żelazkiem akceptuję wyłącznie ubranka dziecięce i to te o mało skomplikowanym kroju. Mogę prasować również ścierki i poszewki na *Jaśki*. Duże rozmiary nie wchodzi w grę. Nie prasuję męskich koszul. Czasem wyprasuję damską. By być ładną mamą.

Strój malarki wymaga być roboczy. Stare spodnie lub haftowana tunika kupiona za złotówkę w second handzie. Podobraz malarskich nie trzeba prasować. Ani dużych, ani małych. Są idealnie sztywne i naciągnięte na drewniane krosna. Nigdy się nie mną, nawet gdy tygodniami pracują ze mną na sztaludze albo czekają oparte o ścianę.

Gdyby trzeba było prasować płótno przed użyciem, zarzuciłabym malowanie. Nie zniosłabym codziennego rozkładania deski do prasowania, spryskiwania wodą – bo przecież na sucho i tak wszystko nadal będzie pomięte – i machania ręką w prawo lewo, góra dół, żeby ostatnie zagniecenie wyrównało się pod gorącym żelazkiem.

Nie i kropka.

Zostałabym wtedy malarką pokojową. Wolną od jakichkolwiek uprzedzeń. Albo graficiarką. Ściany może nie zawsze są równe, ale nigdy się nie mną. Chodziłabym po domach, pytała, w jakim miejscu ktoś życzy sobie portret, odmierzałabym odpowiedni wymiar i ciach-prach, portret-fresk gotowy. Gorzej, gdyby pani domu albo pan taki domowy, chcieli odświeżyć pokój i urządzić małe przemeblowanie. Moje obrazy byłyby jak tatuaże. Wymagające zastanowienia, mądrej decyzji, gdzie i co. Później to tylko rękawem szafy trzeba by zasłaniać. By uniknąć wycieczek, turystów i innych delegatów zainteresowanych dziełem albo komentarzy w stylu *Rany, kto to pani zrobił, mój szwagier by to namalował*⁴⁸.

⁴⁸ Zob. historię *Syrenki* narysowanej w 1948 r. węglem przez Pabla Picassa w jednym z warszawskich mieszkań.

Nie cierpię prasować.

Choć przyznam, że jako dziecko, wydawało mi się to wspaniale. W ogóle w dzieciństwie czynności, które wykonywała moja mama, wydawały mi się wspaniale. Sterta świeżego prania, która leżała zwinięta na brązowym krześle. Mama przyskała je wodą i czekała, by naciągnęły wilgocią. Nie miała deski. Na stole na wysoki połysk rozkładała koc złożony na dwa, a na to prześcieradło. Stół miał nierówną rysę wzdłuż blatu. Mimo grubych zabezpieczeń lakier pewnego dnia uszkodził się pod wpływem wysokiej temperatury. Mama zasłaniała go haftowanymi przez siebie obrusami. Zawsze mieliśmy obrus. Mama zasłaniała swoje wyrzuty sumienia. Ja nie używam obrusów. Musiałabym je zmieniać co godzinę, a przede wszystkim prasować. Wolałabym wyszlifować stół, zdrzeć stary lakier, a na boku namalować obraz Mondriana. Jest piękny i mam pretekst, by nie zasłaniać go brzydkim obrusem. Zresztą mój stół jest wiecznie brudny. Dzieci nieustannie coś rozlewają, kleją, lepią ciastoliną *Play-Doh* albo bawią się piaskiem kinetycznym. Gdybym używała obrusów, deska do prasowania stałaby się przedłużeniem mojego ciała.

Stół, fotografia, 2020



Mama nagrzewała żelazko, a obok stawiała szklanę z wodą. Żelazko nie miało funkcji wytrysku – moje żelazko ma – ale korzystałam z niego jedynie przez rok. Łałam przegotowaną wodę, a i tak się zepsuło. Kamień osiadł czy coś. Dziadostwo. Potem któryś dzieciak wsadził paluchy w otwór wlewu, wgniatając zaślepkę (bo teraz dziecku nie można powiedzieć, by palce sobie wsadziło w...) i w ogóle to moje żelazko wygląda gorzej niż stare żelazko mamy z czasów mojego dzieciństwa.

Mama pozwalała mi prasować chusteczki. Wygotowane, wykrochmalone. Obszyte koronką z muliny. Składane w kostkę. Lubilałam prasować chusteczki. Robiłam to bardzo starannie i byłam dumna z siebie, że *choć mam rączki małe*, pomagam mamusi. Chusteczki to była moja działka.

Duże poszwy i prześcieradła naciągaliśmy z mamą, stojąc w przeciwległych kątach pokoju. Potem szliśmy do magła, gdzie było gorąco i ładnie pachniało. Ja nie chodzę do magła. Moje poszwy są wiecznie wymięte. Bo nie lubię prasować. A magiel jest za daleko. Płótna nie trzeba maglować. Dlatego lubię gotowe płótna. Od razu fachowo zagruntowane. I pościel z kory lubię. Dużo lajków i serduszek. Zmiętoleństwo to jej zaleta. Przynajmniej tyle.

Zastanawiam się, co MaMaIarka może zrobić ze swoim żelazkiem. Jest takie brzydkie. Plastikowe. Ohydne wręcz. Nic w nim nie ma oprócz pomarańczowego światełka i grzania. Rozśmiesza lekkością i tandetą. Mąż kupił nowe. Porządne. By każdego ranka przyjemnie prasowało mu się koszule. Jego żelazko ma funkcję chroniącą dom przed pożarem. W odpowiednim momencie samo się wyłączy. W pracowni zachomikowałam jeszcze inne stare żelazko. Ciężkie i solidne, jak żelazko mojej mamy.

Deska do prasowania ciągle jest brudna. Już trzy razy zmieniałam pokrowiec. Dzieci kładą na niej wszystko, co tylko mogą trzymać w rękach. Tłuszcz nakapany na deskę wsiąka w prasowane ubranka.

Nienawidzę prasować.
Nawet nowym żelazkiem.
Same z tym kłopoty.

Prasowanie jest jak kolorowanie. Musisz być dokładna i skoncentrowana. Nie możesz wyjść za linię i musisz rozprasować wszystkie kreski. Jakakolwiek nerwowość w twoich ruchach nie wyjdzie ci na dobre.

Nigdy nie lubiłam kolorować. Kolorowanie było źródłem moich frustracji. Kilka lat temu w *Biedrze* dostępne były *Kolorowanki relaksacyjne*. Zbladłam. Ja nawet pisać nie potrafię ładnie. Owszem, ładnie brzmi. Ale nie wygląda. Bo ciężko mi zbyt długo koncentrować się na estetycznym kreśleniu tych wszystkich krągłości, kanciastości, kresek i kropek nad *i*. Choć się staram. I przez pierwsze parę minut nawet to lubię. Czasami lubię coś zakolorować. Tak elegancko i dokładnie, przestrzegając wszystkich granic zaznaczonych konturów. I czasem wyprasować lubię. Żeby pani w przedszkolu i inni ludzie widzieli, jak dbam o swoje dzieci. Nie ubieram im wymiętolonych koszulek. Wyobrażam sobie, że od razu to zauważają. Że prasowałam wczoraj. 5 par koszulek, trzy geterki A., jedną poszewkę i 8 bluzeczek z długim rękawem. Składałam w ten sam sposób, w jaki nauczyła mnie mama składać skomplikowane kroje. Choć muszę przyznać, że oglądałam ostatnio na *YouTube* filmik, gdzie urodziwa Azjatka w najróżniejszy sposób składa ubrania. Robi to dokładnie i szybko. Poskładany stosik wzbudza zachwyt. Naśladuję ją przy pierwszej okazji. Czuję się jak ekspertka. *Superwoman* własnego domu. Przy drugiej już mi się nie chce.



Sobota. A. ogląda na mojej komórce, jak ktoś koloruje Dorę.

Ja: Adusia, ty jesteś artystką?

A: Nie, jeszcze nie jestem. Jestem jeszcze Duża Ada.

Ja: Acha, ale przecież uwielbiasz rysować i robisz to pięknie.

A: Ale ja wychodzę za linię.

Ja: To nic, przecież można wychodzić za linię.

A: Ta pani nie potrafi wychodzić za linię.

Ja: No widzisz, a ty potrafisz!



Przybory MaMalarki
obiekty, 2020

Leon 2.05.2021

10.9 033



Kawaleczki. Ziarenka.





Uwielbiam mojego kota.

Odgania demony. Przynosi mi myszy, krety, ptaki, złote rybki i ser *Złoty Mazur* za jedyne 6,58. Nie ocenia. Nie pyta. Po prostu przynosi pod drzwi. Masz. Jest dobrze. Jego dumna mina mówi wszystko. Wyciągam rękę, drapię go po głowie, za uszami, pod pyszczkiem, a potem jeżę jego sierść na grzbiecie, by na końcu wyskubać *dziady* z jego ogona. Mruczy. Po śmierci z pewnością trafi do Nieba. Shakespeare nie żyje ponad 400 lat, to i kotom prawa *duszy swego rodzaju* i kobietom – bez obaw postradania zdrowia i rozumu – wolno mieć geniusz na miarę poety. Tak jest, panie starszy? A jednak!⁴⁹.

Mam pełno sierści kota między palcami, na granatowym dresie i na fotelu w pracowni, który ostatnio sobie ukochał. Jeśli chcę malować, muszę prosić go o pozwolenie.

Kiedy nie chce, bym go głaskała, podgryza mnie lub zadrapie do krwi. Nie ma zmiłuj. Muszę go pogonić. Nie obrazi się. Przyjdzie i znów będzie się lał. I może podrzuci coś pod drzwi. Jestem w końcu jego mamusią.



Zapomniałam o praniu suszącym się w ogrodzie. Nie zdjęłam w porę, zajął się nim deszcz. Ubrania schną i mokną na zmianę. Kisną trzeci dzień. Zaglądam przez okno i nie wiem, czy wyschły już, czy raczej weszły w tryb namaczania.

⁴⁹ Virginia Woolf w trzecim rozdziale *Własnego pokoju* rozmyśla na temat sytuacji kobiet za czasów królowej Elżbiety (i wcześniej), które najzwyczajniej nie miały szans rozwijać swoich talentów. Ciężko nawet pomyśleć o jakiegokolwiek twórczości, gdy jest się pozbawioną edukacji, pieniędzy i szacunku. Przywołuje postać biskupa prorokującego, że nigdy żadna kobieta nie zdoła pisać równie genialnie co sam Shakespeare. Woolf z ironią puentuje wywód biskupa, że koty nie mogą iść do nieba, a kobiety pisać dramatów na miarę Shakespeare'a.
Zob. V. Woolf, *Własny pokój...*, s. 174.

Kiedy myślę o wydaniu książki, boję się, że zapisków jest zbyt mało. Lubię otulać się zmartwieniem. I martwię się tak długo, aż któreś dziecko zabiera mi koc. Chce to–tamto–siamto i zeszyt sam zapełnia się notatkami.

Lubię reklamę o Alicji. Nie ma co fochać. Jest brutalnie prawdziwa.

*Alicjo, przepraszam cię bardzo, ale naprawdę nie dam rady, muszę wziąć jeden dzień zwolnienia, poradzisz sobie jakoś, prawda?*⁵⁰.

Wyrwałam zatrzymany ząb mądrości. Właściwie dwa. Górny prawy i dolny lewy. Tak dla równowagi. Słowo *wyrwałam* nie ma nic wspólnego z tym, co przez półtorej godziny robił biedny chirurg. Przy jednym dolnym zębie. Zanim go znalazł. Gdzieś głęboko w dziąśle, praktycznie pod siódemką, praktycznie nie do ruszenia. I wtedy wszystko się zawaliło. Róbcie co chcecie, moje Alicje male i duże. Posprzątam za tydzień. Albo za dwa. Przetrwajcie. Lewa strona mojej twarzy nie miała policzka, nie miałam też szyi. Wyglądałam jak wizja Dory Maar spod pędzla samego Picassa. *Femme assise*, matka po utracie mądrości. Dwukrotnej.

Pierwszy tydzień wylam z bólu, a wraz ze mną moje dzieci. Nie pamiętam ich. Są mali, ich pamięć też nie przetrwa. Poradzą sobie z traumą matki morświna, prawda?

W drugim tygodniu stopniowo powracały prawidłowe rysy mojej twarzy. Pojawiły się wklęsnięcia i wyporności, a wraz z nimi żółta barwa skóry od policzka, przez szyję, aż po sam mostek. Dla moich dzieci zamieniałam się w słoneczko. Słonecznik Van Gogha.

Dzieci są jak koty. Wierzą, że odkurzacz może je wciągnąć.

Bywa, że wieczorami wchodzę do pracowni i bez opamiętania niszczę wszystkie zaczęte obrazy. To jest impuls. Nie zdarzyło mi się żalować.

Pędzle czyszcę szarym mydłem. Pienią się kolory w zlewie. Szare mydło wysusza mi dłonie. Codziennie szeleści mi skóra.

⁵⁰ Mowa o reklamie Vicks SymptoMed Complete, *Mamy nie biorą zwolnienia*.



*Potrzeby duszy są ukryte w jaskiniach trzech starych (lub młodych, zależnie od dnia) sióstr, (...) które snują nic życia kobiety oznaczającą namiętność, pasję. Przędą całe wieki kobiecych żywotów, zawiązują supelki; gdzie jeden się kończy, tam następny zaczyna (...)*⁵¹.

Clarissa Pinkola Estés, analizując baśń *Brzydkie kaczątko*, podaje, że bogini, która rządzi potrzebami duszy, jest boginią żeńskiej wystarczalności. Rodzi, przykucnąwszy na piętach, uczy kobiety samotności, a czaszki na jej spódnicy grzechoczą trochę jak węże, a trochę szumią jak deszcz. I te dusze potrzebują pożywienia: powietrza, nocy, słońca, drzew lub tylko słów – niekończącej się sterty książek, kolorów i form(!), by nie umrzeć z tęsknoty i głodu.

Potrzeby duszy

olej na płótnie, 60 x 80 cm

2022

⁵¹ C. Pincola Estés, *Biegająca z wilkami...*, s. 261.

Jeśli chciałam pracować, musiałam wydzielić dla dzieciaków mały kącik w swoim własnym pokoju, na wypadek, gdyby zjawili się podczas mojego malowania. A zjawiali się zawsze. Nawet podczas ojcowskiej zmiany. Mama to mama. Ma w sobie jakieś dziwne przyciąganie i moc, której nie sposób opisać. Niech wchodzą, niech się obsłużą. Jestem tu ciałem. Po resztę idźcie do ojca. To jego kolej.

L. to porządne dziecko. Stoi mi za uchem, gdy maluję, i wymienia kolory, których użyłam bądź użyć powinnam. Wymienia je. Tak dla pewności. Obezwładnia mnie, gdy odfajkowuje: Ciemny i widny niebieski. No tak, jest!

Ja: Leoś, ja pracuję, dlaczego znów tu przyszedłeś?

L: Bo nie lubię cię stracić z oka.

Ja: Będziesz malował?

L: Bo jak nie będę malować, to stracę malowanie. Stracę mój talent.


Ja: To trzeba codziennie malować?

L: Codziennie, codziennie. I codziennie robić zabawki, z *lektury*, jak ja robię.

Czekam na moment, kiedy pójdą spać. Snuję się po domu z doklejonym uśmiechem, by widziały jak bardzo się cieszę, że je mam. Jeszcze 9 godzin – myślę. Jeszcze 7, 5, 3. I kiedy już śpią, kiedy w domu panuje cisza, czuję się zbyt ociężała, by logicznie myśleć albo choć ruszać którąkolwiek z kończyn.

Zmuszam się do wysiłku. Ustawiam ciało w odpowiedniej pozycji i oddycham regularnie, by zwiększyć dopływ tlenu do wszystkich narządów, tkanek, komórek. Zaczynam mechanicznie malować, żeby tylko wziąć pędzel, włączyć światło nad sztalugą, wycisnąć świeżą farbę, bo ta wczorajsza zdążyła przyschnąć na palecie.

Jest już północ. A ja tkwię z przygotowanym warszatem. Zastygam zdziwieniem na twarzy. Może jutro więcej uda mi się zrobić. Zmywam ze skóry rozczarowanie i rozmasowuję policzki, które zdrętwiały od uśmiechu.



Ja: Dlaczego
poprzyklejałeś
naklejki do podłogi?
L: Zrobiłem dla ciebie
ścieżkę, żebyś zawsze
do mnie trafiła,
a ja do ciebie.

Zrobiłem
drogę do
mamusi.

Regularnie dostaję e-maile z zaproszeniami na różnego rodzaju konferencje naukowe. Jestem doktorantką. Treść do zapoznania się. Skroluję do siebie, chcąc wiedzieć więcej. Do siebie, do siebie. I choć wiem, że odepchnę za moment palcem wskazującym, czuję ważność chwili i swego rodzaju podekscytowanie. Że Samorząd Doktorantów Uniwersytetu Tego a Tego, w Tym a Tym mieście zwraca się do mnie z uprzejmą prośbą o zapoznanie się z informacjami o Takiej a Takiej Konferencji, organizowanej właśnie przez ten Samorząd. Wczytuję się w cele i motywy przewodnie, rozmyślam nad wyzwaniem, jakie wiążą się z obecnością koronawirusa we współczesnej nauce, a zastanawiając się, do jakiej dyscypliny mogłabym się zaliczyć, wyobrażam sobie efekty takich wydarzeń.

Mam szansę na publikację. To nie byle co. Rozglądam się więc na boki, szukając jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Widzę za oknem ulicę, dwa zaparkowane samochody, orzech z widocznymi kielkującymi pączkami na gałęziach i psa sąsiadów, znudzonego przy bramce.

Panele są różne. Kolorowe do wyboru. Zeszłoroczna konferencja cieszyła się ogromnym zainteresowaniem. Sprzyjała wymianie doświadczeń. Każdy dzień niósł owocną dyskusję.

Ślizgam wzrokiem po ścianie. Pięć napoczętych malowideł, stare drzwi przemalowane na kolor niedojrzałego banana, komoda z odbiciami tłustych linii papilarnych na lakierze z wysokim połyskiem i przylegająca do niej szafa, którą przerobiłam na składzik obrazów. Za plecami mam sztalugę. Niechętnie wykręcam ciało. No dobra, jednak zerkam w przyplywie nadziei, choć dobrze wiem, co tam znajdę. A raczej, czego nie znajdę. Nie ma tam żadnych praktycznych aspektów badań, dzięki którym mogłabym włączyć się w dyskusję. Jest chwilowa cisza, przestrzeń na moje farby, kijek służący za podpórkę i zgięte kolana, na których trzymam pieluszkę. Tetrową. Do wycierania pędzli.



Podobnie jak nie powinnam wchodzić do księgarni, nie powinnam wyglądać przez okno mojej pracowni. Zwłaszcza po godzinie 16 czasu zimowego. Pracownia okno ma od zachodu. Zahipnotyzowały mnie róże, fiolety i szarości chmur sunących po niebie. Równo z dachami sąsiednich domów razi jasna luna: pomarańczy, rózu i błękitu przechodzącego w seledyn. Zmienia się tak szybko. Obezwładnia ta kudłata intensywność. Rothko jest w niebie. Prostopadłe płaszczyzny namalowane miękkim, szerokim pędzlem. Wibrujące kolory. Tym razem nie jest to złudzenie ruchu. To żywy obraz. Potężny format. Tak jak lubił.

A. dziamie. Włączysz mi bajkę? Włączysz mi bajkę? Tak. Powtarzam bezmyślnie. Tak, powtarzam, by się odczepiła. A widzisz te chmury pomarańczowe? Nie wiem, może one są pomarańczowe. I tyle? Dobra, idę. Skomentuj ten widok. Widzisz to? Uciekła. Z korytarza słyszę tylko: nie chcę! Tupot małych stóp i cisza.

Pęd chmur ustął. Cała jaskrawość skupiła się nad dachami, jakby horyzont był magnezem, a barwy te metalowymi opilkami. Tak szybko odeszło. A. tak szybko wróciła. W pracowni zapadła ciemność. Spisuję pośpiesznie to, co widzę za oknem. Klawiatura laptopa zamiast prawdziwych barw i pędzla. Nie zdążyłabym odkręcić tubki, tak szybko zniknął ten widok. Rothko poszedł spać. A ona dziamie. Nadal chodzi jej o bajkę. Na palcu skorupy. Nie malowałam już kilka dni, bo jesienny katar puszcza bańki w dziecięcych noskach. Farby zdążyły zaschnąć. Właśnie włączyły się latarnie. Idzie zmrok. Sąsiadka zapaliła światło. Żółty kwadrat okna rywalizuje z dogasającym niebem. Z komina się dymi. Samochód przejechał uliczką. Nie. Nie zdążyłabym namalować.

Gnębi mnie to różowe niebo. Każdego dnia udaję, że nie widzę, choć patrzę jakby całą sobą. Czuję farby na niebie, farby za oknem, farby na opuszkach palców. Wzdrygam się. Czy może? Może jednak? Aż boli. Ten brak odwagi.

Podejmuję wyzwanie. A. płąta mi się pod nogami. Kolory pelzają za oknem. Za chwilę nie będzie nic widać. Włączam światło. Wchodzi L. Wszyscy za chwilę tu przyjdą. Mieszam farby. Zbyt mało jaskrawe. Gdzie spadła żółta tubka? Pstryk. Spaliła się żarówka. Tu ciemno, tam dogorywa. A. płąta mi się pod nogami. Chwilę. Jeszcze chwilę. Już prawie mam. Zapalam lampkę nad sztalugą. Zamiast różowego nieba, widzę swoje odbicie w szybie. I A. bijącą się z L.







Nigdy nie powiem dzieciom, że takie jest życie. Powiem, że życie może być takie, jak chcą.

Miałam śmieszny pępek. Wypukły. Śmiała się ze mnie siostra, dzieci się nie śmiały, bo go chowałam. Kiedy zostałam matką trójki dzieci, pępek w końcu zapadł się do środka.

Moje mięśnie brzucha przestały istnieć. Zobaczyłam to nagle i niespodziewanie, a wiadomość ta dosłownie mną wstrząsnęła. Po prostu znikły, ot tak i już. Z pewnością nie był to dłuższy proces, bo zauważyłabym powolną ich utratę. Miały się dobrze. Jestem tego pewna. Urodziłam pierwsze dziecko – wędrowały ze mną po placach zabaw, urodziłam drugie – wciskałam się w kuse sukienki, urodziłam trzecie, przyszła pandemia i nagle bum. Nie ma.

Przez pierwszych parę dni udawałam, że nic się nie stało. Ignorowałam utratę mięśni, skrywając ich brak pod długimi koszulami, które zresztą teraz są bardzo modne. Koszulowe sukienki, szmizjerki, luźne, *casualowe* kroje. A że właściwie nie wychodzę z domu, nie wysiłam się zbyt i mój brak pakuję w wygodne bawełniane geterki. Zakupiłam kilka sztuk po promocji przez Internet. Legginsy w kratę, moro, w dwóch odcieniach czerni, z lycrą, z powłoką antybakteryjną i przeciwcelulitową. I właściwie temat byłby załatwiony, gdyby moje oczy raz na jakiś czas beztrudnie nie spoglądały w dół. Za każdym razem szok wydaje się być jednakowo intensywny. O matulu! Gdzie moje mięśnie?

Jeśli właśnie siedziałam na sofie, a syn wtulał się w mój mięciutki brzuch, poklepując go pieszczotliwie małą rączką, wstrząs wcale nie był mniejszy. Przeciwnie. Wyobrażałam sobie, że zmieniam się w wielką dmuchaną piłkę, po której skaczą zadowolone dzieci. W dni miasta, w pierwszy dzień wakacji czy na piknikach rodzinnych zamiast dmuchańców kładziono by mnie na trawie, na skwerku, tuż przy plantach, a rozbawiona gawiedź ustawiała się w kolejce do skakania po mnie. Byłabym taką naszą polską Naną. Katedrą⁵². Leżałabym na plecach, patrzyła w niebo i obserwowała fruujące czerwone głowy z nalektryzowanymi włosami, które pojawiają się na tle bezchmurnego nieba, to znów znikają z zasięgu mojego wzroku. Przy moich stopach rozścielono by niemowlęcy kocyk, żeby dzieci zostawiały na nim swoje bućki. Skakać można jedynie w skarpetach. Obok kocyka stałby pan ze stoperem i pilnował czasu. Jedna sesja zabawy wynosiłaby pięć minut. Co do sekundy. Byłoby to szalenie ważne, ponieważ stanowiłabym główną i najbardziej pożądaną atrakcję plenerowych wydarzeń. Dzieci w kontakcie ze mną nie dostawałyby alergii,

⁵² Zob. twórczość Niki de Saint Phalle.

ponieważ moje ciało jest jak najbardziej naturalne, nie zawiera konserwantów ani sztucznych barwników. Rodzice czuliby się bezpiecznie i wydaliby każdy grosz, żeby ich dzieci były szczęśliwe, a ja sezonowo miałabym zapewniony dochód. Pytanie, czy musiałabym od zarobku odprowadzać podatki, płacić składki ZUS i czy państwo w takim przypadku zapewniłoby mi godziwą emeryturę? Jest to zawsze jakiś plan, tylko że ja chciałam zajmować się sztuką, a nie sama tą sztuką zostać.

Przez kilka kolejnych dni postanowiłam nic nie robić i oswoić się z moim nagłym brakiem mięśni. Brzuch się zapadał, to znów uwypuklał, zgodnie z cyklem miesięcznym kobiety. A gdy zrobiło się ciepło i poczułam świeży zastrzyk pozytywnej energii, bo przedszkola znów działały, bo mogłam wstawić moje zmęczone zimą i *lockdownem* ciało do ogrodu, postanowiłam odzyskać to, co tak raptem zniknęło. Trzask-prask. I tu znów Internet przyszedł mi z pomocą.

Dwa dni po moim zamówieniu kurier przywiózł mi paczuszkę. Doskonale hula-hop ze specjalnie zaprojektowanymi kulkami masującymi, co w efektywny sposób pomoże mi nie tylko zrzucić zbędne kilogramy, ale przede wszystkim odnaleźć drogę do moich zagubionych mięśni brzucha, a nawet pleców, bioder oraz pośladków. Według instrukcji przygodę z tym wspaniałym hula-hop powinnam zacząć od kilku obrotów, aby uniknąć siniaków, co mnie troszkę zaniepokoiło. Z czasem mój trening mam wydłużyć do około 20 minut.

Byłam tak podekscytowana wszelkimi dobrami, jakie da mi praca z hula-hop, że już nie starczyło mi sił na wypakowanie sprzętu. Okazało się bowiem, że hula-hop należy najpierw zmontować. A montaż jest łatwy i szybki, zapewniano. Dotarło do mnie, że to nie jest to samo plastikowe kółko, którym kręciłam wokół bioder, szyi czy na rękach z koleżankami pod blokiem w dzieciństwie. To nie jest jakaś tam tandetna zabawka zakupiona na szczękach na tzw. ruskim targu, przy którym znajdował się przystanek dla autobusów dowożących ludzi z pobliskich wsi, ale prawdziwy profesjonalny przyrząd do odnalezienia swoich utraconych mięśni.

Pudelko ze sprzętem postawiłam w kuchni na desce do prasowania. Jest to najbardziej widoczne miejsce, obok którego nie można przejść obojętnie. Stoi na środku, zawadza i zagarnia całą stertę różnych ciuchów, które czekają na wyprasowanie albo z którymi po prostu nie wiadomo co zrobić w danym momencie, a chce się je gdzieś odłożyć. Zatem pomiędzy pomiętymi ciuchami,

czapkami, rękawiczkami, kuchennymi ścierkami i pięknymi rysunkami od dzieci pojawiło się oryginalnie zapakowane w zadrukowany karton i posortowane do oddzielnych foliowych woreczków hula-hop. Mijałam je codziennie kilkadziesiąt razy, wzdychając, że jeszcze nie teraz, że brak czasu, że dzieci w domu, że muszę namalować obraz, napisać recenzję, przygotować obiad albo po prostu nie mam ochoty. Mijałam tak długo, aż przestałam je widzieć albo udawałam, że nie widzę, zupełnie jak nie widziałam moich mięśni. I w końcu syn zapytał. Mamuś, a co to za pudło? Wydobyłam je spod sterty szmat i otworzyłam wieko. Syn uwielbia być potrzebny. Podaje śrubki, odkurza pokój, zamiata wysypaną poza miseczkę kocią karmę. Co miałam zrobić? Wyjęłam części hula-hop i, rozrywając woreczki, zaczęłam scalać pojedyncze luki z magicznymi wypustkami, aż uzyskałam jedno wielkie spójne koło.

Kuchnia, pomimo swych okazałych rozmiarów, okazała się zbyt zagracona, aby wypróbować sprzęt. Przy pierwszym ruchu uderzyłam w deskę do prasowania, a przy drugim strąciłam kubek z segmentu. Pokój nie okazał się lepszy. Spadły rysunki ze stołu szarpnięte podmuchem oraz ulubiony pluszak najmłodszej, z bajki *Psi patrol*. Czułam dyskomfort przy jakimkolwiek ruchu i nie wiem, czy koło lądowało wciąż na ziemi, bo obawiałam się zniszczeń, czy zwyczajnie zapomniałam, jak kręcić tyłkiem. W dodatku łącza puszczały i koło rozwalalo się na dwie lub trzy części.

Postanowiłam jednak być wspaniałomyślna i zaliczyłam sobie pierwsze obroty jako wstępne ćwiczenia. Kolejny trening zamierzałam jednak wykonać już na większej przestrzeni, najlepiej ogrodowej, gdzie żadne przeszkody nie będą ograniczać mi swobody ruchów. Byłam pewna, że wówczas wprawię koło w ruch i będę kręcić nim bezustannie, aż mój zdrowy rozsądek powie stop, zatrzymaj się, pamiętaj o siniakach! Postawiłam więc koło przy ścianie za fotel, żeby nie musieć go rozkładać za każdym razem, gdy rozpocznę trening na świeżym powietrzu. Dni jednak znów zrobiły się chłodne, w dodatku spadł śnieg i byłoby nierozsądne z mojej strony ryzykować przeziębieniem w czasach pandemii. Zdecydowałam poczekać na bardziej odpowiedni moment. Przysiadłam za to do komputera i zamówiłam sobie najwyższej klasy strój do ćwiczeń, a mianowicie getry i top szybkoschnący oraz biustonosz sportowy, abym od razu mogła dostrzec moje powracające mięśnie brzucha.

Kurier przyniósł paczkę po trzech dniach. Zakup okazał się naprawdę fantastyczny. Mierząc stroje czułam się już w połowie fit i zaczęłam się zastana-

wiać, czy moje ciało nie stało się jakby bardziej sprężyste i jędrne, a sylwetka smuklejsza. Nie ściągając z siebie ubrań dokupiłam jeszcze adidasy i matę do jogi. Przecież nie będę siedzieć na trawie albo, nie daj Boże, na betonie, bo to bardzo nieodpowiedzialne i niebezpieczne.

Kiedy już nacieszyłam się swoją sportową postawą, przebrałam się w długą koszulę i legginsy i poszłam do sklepu po chipsy solone na wieczór, ponieważ uznałam z czystym sumieniem, że skoro jestem gotowa na sukces, mała przekąska mi nie zaszkodzi.

Pójdiesz na wernisaż dziś wieczorem. Szykuj kreację.
edit.

Nigdzie nie pójdziesz. A. prawdopodobnie ma ospę.



je
dij
ihp.

13.10.2019 RodupTam
Adusi
Lõdski e hylu

Wystarczy spędzić trochę czasu w przeszłości, by okazało się, że trzeba będzie zmienić swoją teraźniejszość⁵³.

Mój mąż z dzieciństwa nie pamięta nic. Albo prawie nic. *Tabula rasa*. I zupełnie mu to nie przeszkadza. W przeciwieństwie do niego pamiętam wszystko. Albo prawie wszystko. Gdzie bywałam, co czułam, w co i z kim się bawiłam. O czym marzyłam, czego się bałam i w jakim tempie mijał mi czas. Są to bardzo intensywne doznania. Pamiętam i już. Obrazy, miejsca, zapachy, temperaturę, dźwięki, a nawet sny. Dziwimy się sobie nawzajem. Jak można? Jak nie można?

Odkąd mam dzieci, moje wspomnienia może nie tyle się wyostriły, co zyskały inny wymiar. Patrzę ich oczami, ale również oczami dorosłej kobiety. Porównuję się do mojej matki. Patrzę na nią, patrzę na dzieci, patrzę jak dziecko i dorosły w jednym.

Być może stąd potrzeba notowania. Dat. Wydarzeń. Ułamków sekundy. Bym pamiętała ja. By pamiętały one. Samych siebie. Jak już będą dorosłe. A jeśli zapomną, to żeby spojrzwały na siebie moimi oczyma. Na jednej z pierwszych stron notatnika M. wkleiłam dwa jej portrety, które wykonałam długopisem parę godzin po jej porodzie. Strzegę ich dzieciństwa, by nie zapomniały jak ojciec. By pamiętały każdą cząstką siebie.

Moja kuzynka mieszka niedaleko mnie. Zresztą większość moich kuzynek mogłabym odwiedzać co najmniej raz w tygodniu. Odwiedzam może raz na rok. Żeby nie powiedzieć wcale. Nasze matki widywały się zdecydowanie częściej. Brały dzieciaki pod pachę i nikt nie mówił o braku czasu czy samochodu. Samochodu zresztą nie mieliśmy nigdy. Pamiętam piesze powroty do domu, gdy już odjechał ostatni autobus. Pamiętam spotkania, gdy dorośli siedzieli przy stole, a my na korytarzu bawiliśmy się parasolami w *dzień i noc*. Rodzice siedzieli, śmiali się i jedli. Na stole same sałatki, śmierdzące śledzie, jaja w majonezie i wędlina. Kręciliśmy nosem, że nie ma co jeść. Mama robiła kanapkę z masłem, a ciotka sypała po niej cukrem albo solą. To zależało, u jakiej ciotki byliśmy. Siostry mamy zawsze na słodko. Mama powtarzała, że dzieci lubią słodkie. Walila dwie łyżeczki cukru do herbaty, słodziła płatki kukurydziane

⁵³ K.J. Sollée, *Polowanie na wiedźmy*, tłum. J. Dziubińska, Kraków 2021, s. 139.

z mlekiem, dosładzała sobie cappuccino, a mi nie wydawało się to dziwne. Smutna za to była dla nas ta ich cała dorosłość. Tylko praca, dom i siedzenie przy stole. Myślałam wtedy, że bycie dorosłym musi być strasznie nudne. Zwłaszcza bycie dorosłą kobietą. Mężczyzna to przynajmniej mógł mieć swoje ulubione miejsce na wersalce przed telewizorem, a kiedy do naszego neptuna wstawiono specjalną płytkę, ojciec na podłokietniku trzymał pilota zabezpieczonego szczelnie transparentną folią. Żeby się nie zniszczył.

Dziś to ja jestem tą straszną nudziarą. Nie owijam pilota folią, a tym bardziej nie stoję ciągle w kuchni. Ale gdy przychodzę do kuzynki z dziećmi, one się bawią, a my zasiadamy na kanapie przy niskim stoliku. Pijemy kawę i nawijamy jak nasze matki. Wspominamy. Porównujemy. Jesteśmy zaskoczone upływem czasu.

Nasze dzieci na początku wizyty wstydzą się siebie. Nie chcą się bawić, nie chcą odczepić się od naszych ciał. Zabawne jest wiedzieć, co czują, a jednocześnie obserwować ich zachowanie z tej drugiej strony. Z pozycji rodzica.

Byłam dzieckiem skrajnie nieśmiałym. Moja umiejętność mówienia zniknęła na pstryknięcie palca w chwili, gdy ktoś pytał mnie o imię. Chowałam się za mamą, zupełnie jakbym chciała wtopić się we wzór na jej spódnicy i pozostać niezauważona. Uczucie zawstydzenia towarzyszyło mi nie tylko przy obcych osobach, koleżankach z pracy mojej mamy, napotkanego znajomego rodziców, ale onieśmiałam także widok chwilę niewidzianych osób z rodziny. Wstydziałam się własnych kuzynek i kuzynów. Nie potrafiłam z rozpędu ruszyć do zabawy, nie potrafiłam nawet spojrzeć w stronę innych dzieci. Chciałam do nich podejść, odezwać się, ale po prostu coś mnie blokowało. Czułam złość na samą siebie i strach, że mama na siłę odepchnie mnie od siebie, bym poszła się bawić.

Dlatego pozwalałam moim dzieciom oswoić się z miejscem i ludźmi. Wiem, że tego potrzebują.

Z perspektywy małego dziecka ta chwila osvajania trwała wieki. Miałam wrażenie, że kiedy już się odważyłam odezwać do kuzynki, straciłyśmy szmat czasu, który mogłyśmy wykorzystać na świetną zabawę. Dopiero obserwując moje dzieci, odkryłam, że w rzeczywistości stan zaaklimatyzowania trwa zaledwie kilka minut. Parę ukradkowych spojrzeń, porozumiewawcze gesty i uśmiechy, upewnienie się, że jesteś mamą i można ruszać przed siebie. Lalki,

piłki, guma do skakania lub nieśmiertelna zabawa w chowanego. Nasze dzieci preferują figurki Transformers, odgrywanie tajnej misji, rysowanie albo gry na komputerze. Rozpętuje się istne szaleństwo. Ściąganie sweterków, płonące na czerwono policzki, nieustający krzyk radości. I wtedy, właśnie wtedy, gdy zabawa trwa na całego, mama komunikuje, że zbieramy się do domu.

Nasze dzieci przeciągają chwilę powrotu dokładnie tak samo jak my w ich wieku. To chyba jest dziedziczne. Wyssane z mlekiem matki. Starsze proszą, młodsze rzucają się na ziemię. A my, matki, patrzymy na siebie i nie mamy pojęcia, co zrobić. Przecież nie dalej niż wczoraj to nas siłą zabierano z imprezy. W samym środku zabawy.

Kiedy jako małe dziecko dostawałam buty, sprawdzałam, czy dobrze się w nich skacze w gumę. Kupiłam dzieciom gumę. Czerwoną.

Nie skaczą.

Wracam do przeszłości. Mam wrażenie, że im jestem starsza, tym częściej wracam i wspominam. Próbuję przypomnieć sobie tamtą mnie. Co czułam, w jaki sposób patrzyłam, jakim powietrzem oddychałam. Pamiętam swoje buty – białe z różowymi wstawkami. Moja siostra miała identyczne, tyle że numer większe i, zamiast różu, wstawki i sznurówki były szare. Metaliczne.

Pamiętam pierwsze ciepłe dni po zimie. Wyszłam na podwórko. Samotnie. Bezdziennie. Ziemia była zimna i wilgotna. Woda nie zdążyła jeszcze odparować. Wzór moich podeszew odbijał się na litych plackach ziemi. Trawa w tym miejscu nie rosła. Wydeptywaliśmy ją systematycznie, grając w *dwa ognie*.

Był taki jeden sąsiad w bloku. Myślę, że nienawidził dzieci z jakiegoś powodu. Albo po prostu nienawidził nas, bo codziennie wrzeszczeliśmy mu pod oknem. Bałam się go. Któregoś dnia celowo zamknął nas w piwnicy, gdy bawiliśmy się w chowanego. Nie pomogły nasze krzyki i wołania o pomoc. Pomimo że w każdej klatce znajdowało się osobne wejście do podpiwniczego bloku, wszystkie drzwi były zamknięte. Dobrze sprawdziliśmy. Zamknął nas na dwie godziny. Dopiero jedna z koleżanek, która właśnie wracała do domu i weszła do klatki, usłyszała nasze głosy. Byliśmy wolni.

Myślę, że zrobił to z premedytacją. Chciał nas ukarać. Wystraszyć. I udało mu się. Czulałam przerażenie i bliżej nieokreślony stan upokorzenia.

Nienawidził nas jedynie wtedy, gdy byliśmy dziećmi. Mam zresztą wrażenie, że dzieciaków z lat 90. nienawidzili wszyscy dorośli.

Dziś kłania mi się, uchylając z głowy czapkę. Jego uprzejmość jest dla mnie zaskakująca. Wystarczyło dorosnąć i nie tłuc się piłką pod jego oknem, by z potwora stał się miłym i sympatycznym starszym panem z doklejoną wnuczką przy boku.

Moje dzieci nie znają szaleństw z podwórka między blokami. Nikt ich nie zamknie w piwnicy. Moje dzieci mają swój prywatny plac zabaw na ogrodzie, własną piaskownicę i foremki, których nie muszą pilnować przed kradzieżą albo napaścią osiedlowej lobuzerii. Mają własną huśtawkę z wygodnym siedziskiem, własne drabinki ze zjeżdżalnią, trampolinę i własne drzewa, po których mogą się wspinać, choć jeszcze tego nie robią.

Moje dzieci chodzą ze mną na miejski plac zabaw, gdzie nikt ich nie wyzywa i nie straszy zamknięciem w piwnicy. Moje dzieci bawią się pod moim czujnym okiem. Nie mają zegarka ani klucza na szyi, który przeszkadza im podczas robienia fikolków na drabinkach. Zerkam na nie co chwilę, odrywając się od czytanej książki. Moje dzieci nie mają znajomych dzieci. Bawią się same ze sobą na naszej prywatnej ziemi. Na miejskie place zabaw już nie chodzimy, bo trwa pandemia. Boję się, by jakiś potwór ich nie zaatakował. Nie zamknął w piwnicy, nie zrównał ich z błotem, które pokrywało moje białe buty z różowymi wstawkami.

Zastygam w bezruchu w swoich wspomnieniach, skupiając się na śladzie mojego buta na lysym trawniku. O to też czepiał się ten sąsiad. Że trawę pod oknem mu deptamy. A ja tak bardzo lubiłam to miejsce, ten plac pomiędzy blokami, piaskownicę ogrodzoną kruszącym się betonowym murkiem, w której spotykaliśmy się wszyscy. To delikatne wgłębienie przy ścieżce i jarzębinie, gdzie po opadach deszczu tworzyła się olbrzymia kałuża. Ubieraliśmy wtedy gumki i wchodziliśmy na sam środek niczym do jeziora. W słoneczne dni rysowaliśmy tam okręgi i bawiliśmy się w *jajo* albo *chodź lisek koło drogi*. Po jarzębinie kleiły się palce. Robiliśmy korale na kocu u schyłku lata. Mieliśmy tak dużo zabaw, ulubiony trzepak, żyrafę i lawkę.

Zanurzam się w przeszłości, aż brak mi tchu. Patrzę na swoją córkę, która właśnie bawi się w piaskownicy i pomimo że siedzę na tarasie, czuję wilgoć i zapach piasku. Pamiętam gumowe ludziki-smerfy czy zwierzątka z jajek niespodzianek – cała kolekcja hipopotamów. Miałam ich najwięcej. Rozdzielalam między koleżanki i kolegów, wybieraliśmy sobie swój kąt w piaskownicy, budowaliśmy zamki, ścieżki, całe piaskowe miasto...

Czy moje dzieci będą szczęśliwe? Czy będą wspominać zabawy? Nie potrafię uwolnić się od wspomnień. Tych dobrych i tych złych. Mam wrażenie, że *ja-dziecko* tkwi uwięzione w moim ciele. Zupełnie jakbym *ja-rodzic* wyrosła na tamtej dziewczynce i stłumiła ją. Zamknęła w piwnicy. Widok moich bawiących się dzieci usypia *ja-rodzica*. Spod warstw skóry i mięsa przebija *ja-dziecko* i chcę się znów bawić. Beztrosko stawiać buta na nasiąkniętej wilgocią ziemi.

Wspomnienia zalewają moją głowę. Usilnie staram się przypomnieć sobie zasady skakania w gumę, *dziesiątki* i *trójki*, grę w piłkę tenisową odbijaną o mur bloku nad wejściem do klatki, zabawę w lunatyka na drabinkach. I tęsknię. Za wrotkami, podchodami, za beztroskim śmiechem.

Osiedlowa ławka pod wierzbą pozostała boleśnie pusta. Nikt na niej nie siedzi, nie luska słonecznika czy nie zajada bobu z masłem i bułką tartą. Nie opowiada nikt historii o *Babci i Jasiu*, *O wykrywaczu kłamstw* czy o Królu Wielkim, który *zjadał cukierki, a dzieciom podrzucał papierki*⁵⁴. Nikt nie robi fikołków na trzepaku ani nie odbija piłką. Myślałam, że tak będzie zawsze. Nie wiem, kiedy stało się teraz.

⁵⁴ W latach 90. każde dziecko z podwórka/blokowiska znalazło dowcipy albo rymowanki (nie) dla dzieci, które opowiadało się na ławce lub przy trzepaku, często z podziałem na role.

NIESKOŃCZONOŚĆ W STANIE ROZPROSZENIA

Jeden puzzel na obrazie jest prawdziwy. Dziecko nie płakało – spokojnie. Nie wydarłam go synowi siłą, daj, daj, moje, mamusia będzie tworzyć! Puzzle po prostu furają po domu. Taki już ich przywilej, opisany małą czcionką na opakowaniu tuż obok gwiazdki. Sprawdźcie. One furają, a ja zbieram. Dzielę do odpowiednich pudełek, a one znów furają. Liczę w myślach do dziesięciu, jak doradzają w poradnikach. I sprzątam razem z dziećmi. Kto więcej odnajdzie, ten wygrywa.

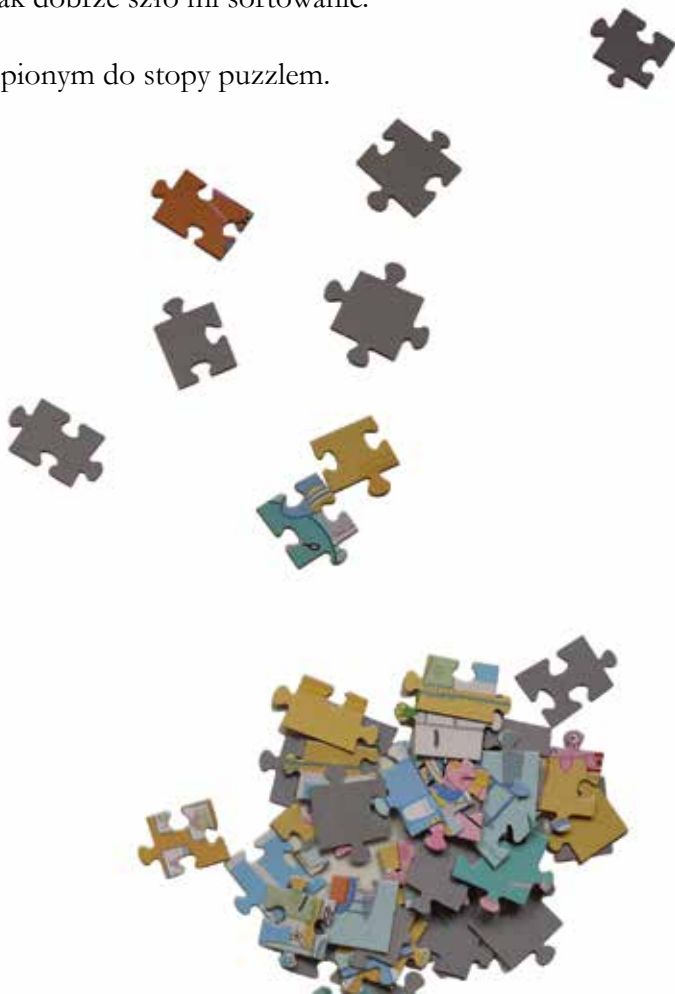
Pojawiają się jak tłuste odciski palców na lakierowanych białych frontach w kuchni. Im bardziej czyścisz, tym widzisz ich więcej. Nie wygrasz. Zgaś światło.

Tuż przed północą zgarniam puzzle. Sama. Szufłą. Do pudełek. Obojętnie już jakich. Powieka mi drga. A tak dobrze szło mi sortowanie.

Wychodzę z pokoju z przylepionym do stopy puzzlem.

Zasieje się.

Rozpączkuje.





Nieskończoność w stanie rozproszenia
olej na płótnie, 80 x 120 cm
2020

Zabawki rozmnażają się przez pączkowanie. Podłoga sprzyja dojrzewaniu.

Zabawki córek wcielają się w role. Mówić! Mówić! No baw się!

Zabawki syna to wieczna walka.

Na szczęście wojna toczy się gdzieś tam, samochody transformują się w nieustraszone roboty i nie muszą zmieniać głosu ani specjalnie się wysilać.

Zabawki syna są głośne. Zabawki córek *kawaii*.

Zabawki córek są upierdliwe. Zabawki syna irytują.

Codziennie. I tak dużo. Codziennie.

Zabawki są jak katar. Niby smarkasz, niby pozbywasz się, a za chwilę i tak masz pełen nos, zatkanie zatoki i głowę wciśniętą w imadło.

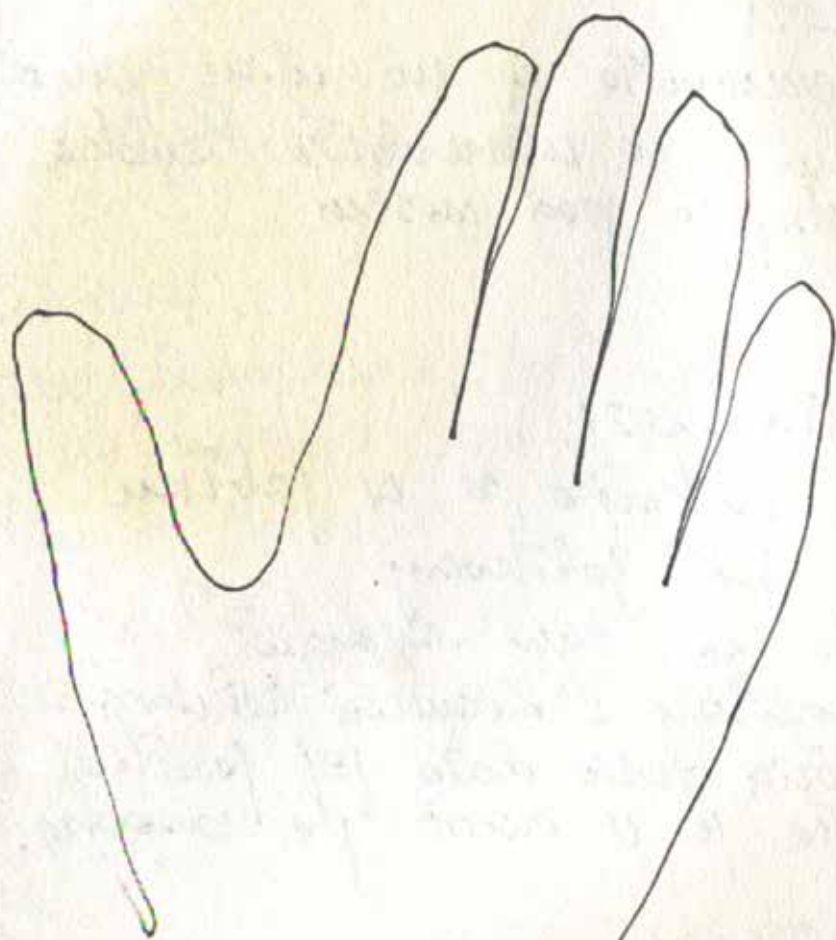
Codziennie wchodzę pod stół. Zbieram kredki, resztki jedzenia i produkty dziecięcej kreatywności. I niby chusteczka pełna, lecz zanim się podniosę, jestem zmuszona oddychać ustami. Oddychać.

Mam problem z wyrzucaniem dziecięcych zabawek. Dodajmy – zepsutych zabawek moich dzieci. Są bezosobowe, nienasycone historią i dotykiem małych rączek. Są na raz. Właściwie nie zostałyby zauważone, gdyby połowa z nich zniknęła.

W przeciwieństwie do podejścia dzieci, moje zabawki istniały. Czulałam za nie. Było ich zdecydowanie mniej, ale każda miała imię, opowieść, swoje miejsce na półce i regularną uwagę z mojej strony.

Nie mogę znieść widoku zabawek, które są bez znaczenia dla moich dzieci. Cały czas przekładam, sortuję, zbieram, nadaję im sens, wierząc, że może kiedyś będą się nimi bawić, że nagle ta rzecz stanie się niezbędną. Taka ot dupe-rela, a jednak świetnie się sprawdzi.

Przekładam więc do pojemników: tu takie, tam siakie, żeby zapamiętać, nazwać, zbudować poczucie przynależności. A potem znów znajduję je na podłodze. I w którymś momencie – wahając się do samego końca – wyrzucam na śmietnik.



LEON

28.06.2021

Nie ma okrutniejszej bajki na świecie niż *Calineczka*. Nie ma i kropka. Spójrzcie tylko. Mamy dobrą kobietę. Samotną i cierpiącą. I ta kobieta pragnie tylko jednego. Jej każdy dzień wypełnia marzenie o malutkiej córeczce. Nie pragnie niczego bardziej. Lata bezlitośnie jej uciekają, a ona nie wie, jak i skąd mogłaby sobie taką córeczkę wziąć. Jest zdesperowana. Może niezbyt ogarnięta. Udaje się do czarownicy, która wręcza jej ziarenko jęczmienia. Oczywiście nie jest to takie zwykłe ziarenko. Jeśli je zasadzi, może coś fajnego wyrosnąć. Bingo! Oto przed jej oczami ukazuje się kwiat podobny do tulipana, w środku którego śpi sobie mała dziewczynka.

Kobieta zostaje matką. Jest szczęśliwa jak nigdy w życiu. Urządza łóżeczko z lupinki orzecha i patrzy, jak córeczka ślicznie bawi się na stole. Jednak pewnej nocy zjawia się odrażająca ropucha i tadam! porywa Calineczkę.

Rozumiem. W porządku. Bajka jak to bajka, nie może być nudna, coś musi się dziać. Śledzimy zatem losy Calineczki, która przeżywa straszne przygody, co rusz to ktoś chce się z nią żenić. Biedactwo ucieka, trafia do myszki, poznaje kreta, ratuje jaskółkę i zwiewa do ciepłych krajów. A w ciepłych krajach jak to w ciepłych krajach. Ciepło. Poznaje króla elfów czy tam kwiatów i po raz pierwszy czuje, że może kogoś pokochać. Król bierze ją za żonę, kaprysi nad jej imieniem (matka wybrała głupie, dlatego ja swoją córkę od razu nazwałam Mają), daje jej skrzydła lub koronę i żyją długo i szczęśliwie, koniec.

Jak to koniec. Pytam się. Jak to szczęśliwy koniec? A matka?

Przecież to przez nią cała ta szopka. To ona była samotna i pragnęła dziecka. No błagam. Czy naprawdę nikt nie pomyślał o tej biednej matce? Siedzi w domu i wyje za dzieckiem jeszcze bardziej niż przedtem. Teraz to już nie tylko marzenie, a strach i tęsknota rozsadzają jej mózg i serce.

ADUSIA

Biedna dobra kobieta. Przynajmniej nie nazwano ją złą. Bo inne kobiety w bajkach zawsze są złe. To wredne, przebiegłe suki. Zła Wiedźma, Baba-Jaga, Zła Macocha, Zła Królowa Śniegu, Złe Prózne i Rządne Władzy Bestie bez serca. Biedny mężczyzna zawsze poniesie ofiarę ZŁEJ KOBIETY.

Ech, Matko Calineczki. Pewnie zgłupiałaś już do reszty.



Kiedy uwielbiasz być mamą, ale za nic w świecie nie przestaniesz malować.
Nie i już!

obiekt z cyklu *MaMalarka*

Rondel teflonowy (nie taki stary), olej na obiekcie, 16 × 33 cm

fotografia z A. i rondlem, 2022





Ciekawe ile razy jeszcze wstanę, zanim doczytam tę stronę...

L: Mamo, a wiesz, że znam trzy pokemony? Skleida, Pikaczu, Bulbozaur. Powtórz: Bul-bo-zaur!

A: Wydrukujesz mi?

Ja: A co?

A: Peppę.

— Mamusia jest kochana i która przytula mnie i jeszcze mnie kocha.



A: Kaszlę.

Ja: Kichasz.

A: Kicham?

Jest godzina 15:20. Pora poobiednia. A. przyniosła z przedszkola katar. Jej przeszło szybko, ale przy okazji poczęstowała nas wszystkich. Mam zatkałe uszy, drapanie w gardle i nieustający potok z nosa. Mam ochotę wepchać sobie tampony do samych zatok, żeby nie musieć biegać co chwilę po chusteczki.



Na obiad zrobiłam marchewkową zupę-krem. W sklepie nie było groszku ptysiowego, dlatego mąż – który trzyma się zdecydowanie lepiej niż ja – kupił bagietkę do zupy. Dobrałam chili, pieprzem i świeżym imbirem, by udroźniło nam wszystkim zatkałe nosy. Dużo warzyw z przewagą marchwi – takiej zwykłej, pomarańczowej, nie biegał po mieście za ekologiczną, zresztą nie

wiem, gdzie takową u nas można dostać. Podgotowałam lekko, zmiksowałam i rozlałam do misek. Na koniec wrzuciłam łyżkę śmietany, pokrojone w kostkę tofu i posiekaną, świeżą natkę pietruszki. Dzieci pół godziny wcześniej opchały się postną bagietką i zupę oczywiście tylko podziobały, zostawiając w stanie prawie nietkniętym.

Mi smakowało bardzo. Zdecydowanie w naszej rodzinie jestem specjalistą od zup. Jakichkolwiek. Ale zwłaszcza zup-kremów!

Nos nieszczęśliwie został odetkany. Chusteczki się skończyły, więc w ruch poszedł papier toaletowy. Niby softy, niby mocny trójwarstwowy, ale nie dość, że przegrywa z moim podmuchem, to nos mam obdarty już do krwi.

Mąż zrobił mi kawę. Zasiadam w swoim ulubionym kąciку i biorę się za czytanie. Dzieci oglądają TVP ABC, kawa jest ciepła i słodka. Jak miło.

Kładę książkę na kolanach, do pokoju drepta A.

NOCIU! Krzyczy.

Tatuś podnosi się zza biurka, by jej pomóc. Jak to?! Krzyk taki, że pękają bębni. Przecież ma to zrobić mama! Bo tylko mama potrafi wspaniale podać nocnik.

Drze się tak głośno.

Zabieram mężowi nocnik i własnoręcznie stawiam obok niej na podłodze. Zsuwam jej gatki. Sadzam na tronie. Dopiero wtedy cichnie zadowolona. Dopięła swego.

Jak mama coś zrobi, to wszystko jest piękniejsze i bardziej przyjemne! Nawet sikanie do nocnika!

Czy ja też manipulowałam rodzicami w taki sposób? Trudno powiedzieć. Mama to mama. A tata to tata. Tata A. jednak jest jak mama: kąpie, pomaga, czyta bajki, usypia. Dlatego nie potrafię zrozumieć, dlaczego mama to mama!

na stronie obok:

kadry z wideo: *Ja. Drzewo*, 2021

Ja: Czym się różni mamusia od tatusia?

L: Oczami.

Ja: Oczami?

L: Bo ty masz trochę czarne z brązowym, a tata ma tylko czarne. I jeszcze uszami i buziami. I koszulkami.

L: Mamo! Ada nabrała na palec jogurt i we mnie się wytarła!

Ja: Adusia, dlaczego płaczesz?

A: Bo zabrał mi!

L: Bo w nogę się wytarła we mnie jogurtem.

Ja: Spokojnie, powiedz mi czemu płaczesz?

A: Bo kotek zabrał mi, nie, Leonek zabrał mi.

L: Bo ty w nogę mi się wytarłaś.

A: Kocyk, dasz mi kocyk?

Ja: A nie będziesz dokuczała Leonkowi?

A: Zabrać Leonkowi, kocyk chcę zabrać.

Ja: Odkurz pokój, ale po mojemu.

Ja: Adusia, moje słoneczko.

A: Nie, słoneczko jest tam!

Ja: Co lubisz Leoś najbardziej w malarstwie?

L: Na takim... o na takim (pokazuje palcem na płótno).

Ja: Na płótnie lubisz malować, tak?

L: Yhm.

Ja: Z mamą?

L: Bo na kartce jest głupiej.

Ja: A z mamą, na mamusi obrazach jest najlepiej?

L: Yhm.

Ja: Eh no to cudownie.

L: Więc mogę zawsze z tobą malować?

Ja: No dzięki. Myślę, że wtedy dużo szybciej będzie mi szło. Może rozkrecimy razem biznes, co?

L: Tak i nawet będziemy razem pracować.

Ja: Świetnie.



L. malujący po moim nieukończonym obrazie *Klisze* z 2020 r.

Moja mama regularnie wyrzucała moje rysunki. Wiedziałam o tym, więc gdy byłam już nieco starsza, powiedzmy późna podstawówka, strzegłam swoich prac jak skarbu. Od zawsze byłam sentymentalna. Zbieram rysunki moich dzieci. Skanuję, segreguję, podziwiam. Daję im kredki, farby, elektryczne strugaczki, by nie miały pęcherzy na swoich malutkich dłoniach, i pędzelki, których włosie nie rozkracza się na cztery strony świata, kiedy tylko próbują dotknąć nim kartki.

Do dziś pamiętam zeszyt – spalony w piecu babci razem z inną makulaturą – w którym malowałam farbkami, małym, okropnym pędzelkiem. Cienka plastikowa rączka w różnych kolorach i czarna miotła jako włosie. Producentów tychże pędzelków dodawanych do prostokątnej palety szkolnych akwarelek powinno się ukarać. Publicznie powinni przeprosić wszystkie dzieci, które płakały, że nie potrafią malować. Ja płakałam. Jakież to był wysiłek, żeby na kartce papieru odzwierciedlić proste kształty. Nie podobał mi się miś, którego namalowałam w moim zeszycie bez linii ani kratki. Głupie, twarde i bezbarwne farbki. Głupie pędzelki. Skutecznie zniechęcały. Nie lubiłam malować. Wolałam lepić z plasteliny, bo tam nie dodawali gratisowo żadnego gówna. I choć okazało się, że mam talent, mama i tak wyrzucała moje prace. Regularnie.

Ja: Adusia, lubisz rysować?

A: Tak.

Ja: A co najbardziej lubisz rysować?

A: Nie wiem. Konika lubię rysować. To jest konik taki. I ma ogon. Łapki. To jest łapka. I to ma loki.

Ja: A jakie kolory lubisz?

A: Zielone, zielone, zielone.

Wsadzasz kredki do buzi, choć mówię, że tak nie można. Nie można, a jednak coraz to inne kolory wystawiasz mi na języku. Szczególnie niebieski lubisz. Jak sądzę. Smakuje ci niebem czy bajką, której znac nie możesz. Nie możesz, ale wkrótce poznasz.

Siedzę na schodach przed domem. Betonowych schodach. Pół roku temu nie było ich jeszcze w tym miejscu. Otwierają się do wyjścia i wejścia. Zapraszają. Za jakiś czas obłożymy je płytkami. Jasnoszarymi. Antypoślizgowymi płytkami. Będzie pięknie.

Podłożyłam pod tyłek żółtą poduszkę w białe grochy, żeby nie złapać wilka. Mama zawsze upominała, żeby nie siedzieć na zimnym betonie. Przyjdzie wilk i mnie zje.

Moje dzieci jeżdżą na rowerkach tuż za bramką. Obserwuję ich wyścigi i słucham, jak boczne kółka w rowerku tłuką się o asfalt. Jednym okiem czytam *Pustostany* Doroty Kotas⁵⁵, a drugim zerkam na dzieci. Pamiętajcie o samochodach. Przypominam. Samochody jeżdżą rzadko po naszej uliczce. Dojeżdżają raczej do domów, sunąc powoli. Dzieci wiedzą, że trzeba być czujnym. By nie przyszedł wilk i ich nie pożarł.

Mam ochotę zrobić coś nieoczekiwanego. Zapalić papierosa. Chwila wydaje się być idealna. Wiosna. Ja. Betonowe schody. Miękka poduszka pod tyłkiem. Wolność. Problem w tym, że nie mam papierosa. Ja nawet nie palę. Jestem matką, a matki nie palą. Zresztą, palenie jest już *passé*. To nie *eco*, to nie *vege* ani *zero waste*. Zawsze przypomnę sobie coś nie w porę. Jako nastolatka ze sto razy rozglądałam się na boki, zanim weszłam do szmateksu, czy przypadkiem ktoś znajomy mnie nie widzi. A teraz? Wręcz wypada się chwalić. Zawsze na odwrót. Chcę, kiedy nie wolno. Wyobrażam sobie swoją zadumaną twarz, gdy zaciągam się dymem. Zmrużone oczy, zapadnięte policzki. Bliżej mi dziś do *męskiego* wyglądu. Przecież dziewczynie, ba kobiecie, nie wypada! Od dziecka słyszę ten podział. Czarna bluza, czarne jeansy, adidas. Zupełny brak makijażu. Beżowa czapka złodziejka na czubku głowy.

Jestem matką. Nie mam papierosa. Tylko tak siedzę z książką na kolanach, głupotami w głowie i obserwuję dzieci. Kiedy mogłam palić, nie miałam pojęcia o remontach, betonowych schodach, dobieraniu odpowiedniego koloru elewacji i macierzyństwie. Nigdy nie paliłam. Moje dzieci są zawsze.

⁵⁵ D. Kotas, *Pustostany*, Warszawa 2019.



trajzje wspaniale
nie w momencie
La (...) nie przy
dobrodziej
które obywateli
wien byc





Rankiem, między 8 a 9, w gabinecie swojego ojca zjawila się zadowolona A. ubrana w różowo-szara piżamkę ze Skye z *Psiego patrolu*. Pod pachą trzymała ulubioną maskotkę – Skye z *Psiego patrolu* i uśmiechając się uroczo, obwieściła, że chce, by tatuś wydrukował jej kolorowanke ze Skye z *Psiego patrolu*.

L: Ada ucisz się.

A: Ale ja się przecież cieszę.



M. postanowiła z koleżanką wracać pieszo do domu. Autobusy są *passé*. Nawigacja pokazywała zaledwie godzinę. Zeszło im trzy.

Pantofli nie nosiła nigdy. Zawsze tylko człap, człap bosymi syrami. Po schodach, po lastryku. I zmiatała jasnymi skarpetami cały ten kurz, piasek i sierść wszystkich kotów na literę ef. Mogłam mówić. Rzucić od czasu do czasu jakąś kurwą, gdy mi się wysnęło. Ale nie. Kapci nie założyła, koniec kropka. Hop korytarzem, przez schody. Hop do łóżka. Zbierała tam różności. Obierki dnia całego. I nocy. Gdy podjadła pod kocem słonecznik.

Spała z lupami. Z ziarenkami. Piaskiem ze skarpet. Koty wołała, ale one nie chciały spać w żwirze. W kuwecie nieczyszczonej. Garnęły więc do mnie, przygniatając mi nogi, a ja bałam się poruszyć, by nie zbudzić ich snu blogiego. Nie przerwać mruczenia. Nie tracić ciepła, co otulało mi zmęczone i obolale stopy.

Wystarczyło jednak, że szykowała się do wyjścia. Buty ubierała najpierw. Ubierała, by zaraz paradować w nich po całym domu, ozdabiając parkiet, dywan i lastryko, właśnie wypucowane siódluksem, babeczkami z zaschniętego błota, co z foremki spodniej części buta odpadały. Musiała przetańcować wszędzie. Do pokoju, do łazienki, do kuchni. Bo jeszcze pić jej się chciało.

Placki zostawiała jak ślady na miejscu zbrodni. Chodziłam więc po domu, jak ten Sherlock, porównując do podeszwy butów swojej córki te gówna zaschnięte. To nie ja, nie moje, mówiła, a mnie nerw rozsadał od środka. Zbierałam więc dowody w sprawie i zapienić się musiałam, by zreflektowała się, że jednak mam rację. Że jej te placki. Te babeczki rozsiane po całym mieszkaniu. Kto to posprząta? Kto pozamiata, jak ja dopiero co wczoraj obleciałam wszystkie podłogi mopem. I na kolanach zakamarki, gdzie kłębią się klaki. Kto to znów wymyje? No chyba nie ja. Wrzeszczałam już na granicy pomieszania zmysłów, a ona tylko grymas zrobiła, że jak wróci to sprzątnie. Przecież teraz już nie zdąży. Już jest spóźniona. I *pa* mi mówi, czekając na odpowiedź. *Pa*, powtarza, ale mi głos więźnie w gardle. Potem mi wypomni, że muszę ją żegnać, bo nie chce wychodzić w złości. Przecież jak wyjdzie bez tego *pa*, bez błogosławieństwa i pożegnania matki z córką jedyną przez całe dziesięć lat i dwa miesiące, to jak jej się coś po drodze stanie, nie wiem, jakieś UFO nagle przyleci i porwie ją choćby na placu, gdzie wkrótce stanie pomnik prawdziwego papieża Polaka

albo fontanna multimedialna, jak społeczność miasteczka w końcu dojdzie do porozumienia, to ja nie zdążę się z nią pożegnać już nigdy. I tak zawisnę w próżni z tym jej *pa* pozostawionym samotnie, bez odpowiedzi.

Tylko że ja nie jestem już w stanie jej odpowiedzieć. Nie mogę wydusić nawet *p*, a co dopiero *a* przeciągłego. Bo jakbym tylko pisnęła choć dźwięk jeden drobny, uchylila choćby szparkę ust niewielką, to takie ilości energii bym wytworzyła, że miasto nie miałoby już problemu z wyborem pomnika czy fontanny. Bo nawet miasta by już nie było. Ino kurz, pył i wielki grzyb unoszący się nad ziemią. Musi więc iść do szkoły, do koleżanki na korepetycje czy gdzie się tam wybiera, a na matczyne *pa* musi poczekać do później. Jak matka ochłonie. Jak wyje całą paczkę, albo i półtorej słonecznika. Jak uspokoi skołataną nerwy. I stwierdzi, że właściwie nic takiego się nie stało. Że to tylko ot, blotko jakies. Okruszków parę. A ona niepotrzebnie tak się zapiekliła.

Złapie więc za odkurzacz i posprząta dowody zbrodni, znów kochając swoje dziecko. Posprząta, umyje, uratuje miasto od zbombardowania. Może i cały świat ocali. Bo w końcu jest matką, a matki mają w sobie więcej miłości niż im się wydaje.

Jako dziecko miałam w zwyczaju śpiewać w każdej możliwej sytuacji. Jedną z moich ulubionych zabaw było nagrywanie się magnetofonem Kasprzak. Metalowy napis ciągle odpadał od obudowy. Regularnie doklejałam go na kleju szkolnym. Wykonywałam jeden utwór, wcielając się w różne osoby. Za każdym razem inaczej modulowałam głos. Podając się za Kasię, Anię czy Monikę, śpiewałam nosowo, ochryple, fałszowałam, a wszystko po to, by piosenka, którą wykona prawdziwa *ja*, została oceniona przez wymyślone przeze mnie jury najwyżej. Całą audycję komentowałam niskim głosem narratora, a po ogłoszeniu werdyktu swoją naturalną barwą wyrażałam ogromną wdzięczność i zaskoczenie. Oczywiście za każdym razem wygrywałam.

Śpiewałam dla babci. Kręciłam się wokół studni, improwizując jakiś układ choreograficzny. Śpiewałam na podwórku przed blokiem, gdzie wyobrażałam sobie, że występuję na scenie. Śpiewałam lalkom, kiedy byłam w domu. Śpiewałam w miejscach publicznych podczas spaceru, trzymając mamę za rękę.

Zaśpiewać ci? Pytałam, a ona zawsze się zgadzała. Ścisnęłam jej dłoń i drobiąc nóżkami, by nadążyć za jej zamaszystym krokiem, wyśpiewywałam jej wszystkie znane mi piosenki. A znałam ich dużo. Bardzo dużo. W jednym paluszku miałam repertuar *Fasolek* i *Tęczęowego Music Boxu*, *Przeboje Pana Tik-Taka*, Natalię Kukulską (którą odczytałam za pierwszym razem z okładki kasety jako Naturalna Kukulka) i nowo poznane utwory ze szkoły muzycznej z *Janek lejce i batma* na czele.

Nie przeszkadzali mi ludzie, którzy nas mijali. Udawałam albo że ich nie ma, albo że przyglądają mi się zachwyceni, jak to dziecko pięknie śpiewa. No właśnie. Byłam dzieckiem, a dziecku pewne zachowania uchodzą. Dziecko może śpiewać na spacerze, skakać z radości, biegać, płakać i krzyczeć. Gorzej jak robi to dorośli. Chociaż bardzo chce.

Dziś jestem po drugiej stronie. To ja wędruję z córką. Jestem matką. I śpiewam. Nie jej, tylko tak sama sobie. Z przyzwyczajenia. Tak mi już zostało albo dopiero się zaczęło. Urodziły się dzieci, to opowiadałam im o świecie, śpiewałam do snu albo tłumaczyłam sobie samej, żeby nie zwariować.

Idę i mruczę. Nuczę. Wypowiadam nierzadko słowa, jakbym siebie chciała uspokoić. Zagłuszyć złe emocje. Moja córka M. czuje zażenowanie. Powiedziała mi to. Zobrazowała wręcz. Matki koleżanek są ciche i niemruczące. A ja ciągle jakaś taka głośna. Obecna – nieobecna.

Wybucham śmiechem, kiedy prezentuje mi zrównoważone niemruczące matki koleżanek, a potem przechadza się ze śpiewem na ustach, komentując drukowanymi literami podkreślonymi wykrzyknikiem.

MO JA MA MA!

— Może będziemy już cicho – uspokaja nasze rozbawienie. Z oddali zbliża się do nas jakaś kobieta.

— Może ona nie toleruje takiej laktozy jak my – kwituje moje dziecko.


— Może – milknę.

Wytrzymuję jeszcze parę sekund, po czym mruczenie samoistnie wraca.

Nie panuję nad tym.







obiekt z cyklu *MaMalarka*
olej na tacce, 24 x 32 cm
2020
(fragment)

Kiedy myśli nie przychodzą mi do głowy, staram się je zobaczyć.

Zachwyca mnie intensywność moich myśli, kiedy biorę prysznic. Woda otwiera mi głowę. W miejsce pustki zjawia się odpowiedź. Za każdym razem dziwię się, jak to się dzieje. Jakoś tak poza mną, choć we mnie.

Może nie o wodę chodzi.

Może o wyciszenie?

Smuga bladego światła wpłynęła przez szparę drzwi do pokoju. Wzięłam głębszy oddech. Nie mogłam zebrać myśli.

Kiedy mam za dużo obrazów w głowie, a one kłębią się, doprowadzając mnie do szału, raptownie kręcę głową na boki.

Na chwilę pomaga.

Kiedy opęta mnie jakaś myśl, owinie głowę jak bluszczem i dusi, nie puszcza, męczy niemiłosiernie, kręcę głową na boki. Jak Noddy z bajki. Raptownie. Aż słyszę dzwoneczki.

Na chwilę pomaga.

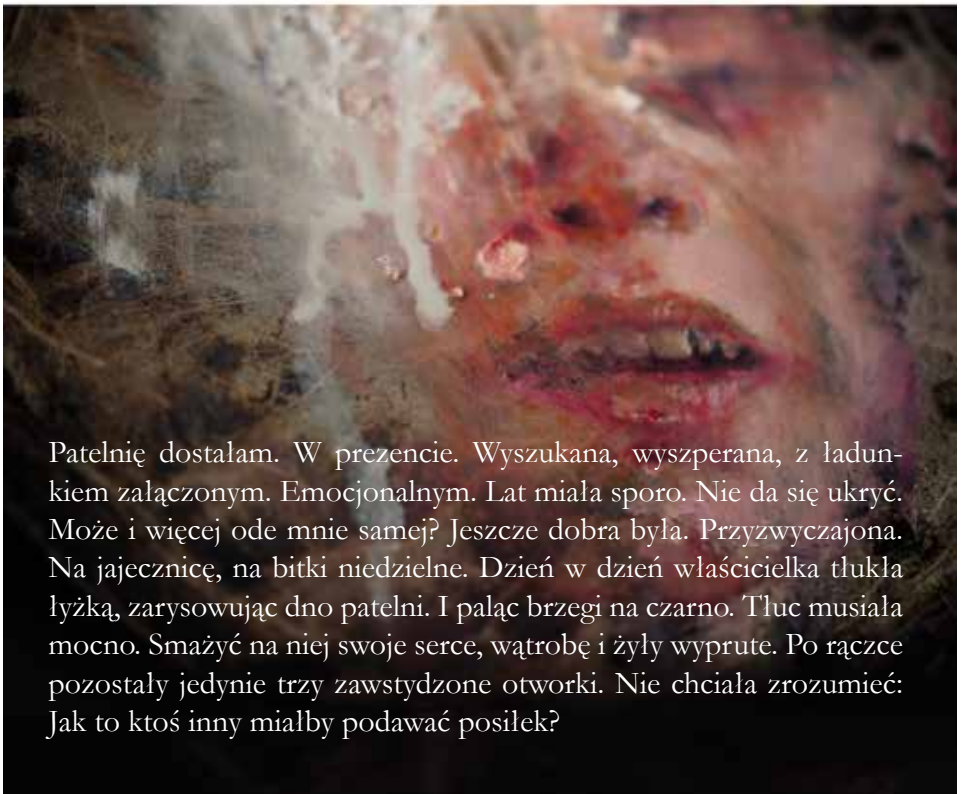
Kiedy niepotrzebnie drażę jakiś temat, zagłębiając się warstwa po warstwie, kiedy czuję bezsilność i nie potrafię już wrócić, raptownie potrząsam głową na boki.

To była rada mamy.

Pewnego upalnego dnia mojego dzieciństwa zbierałyśmy maliny. Pytałam, kim jestem i dokąd podążam?

Potrząsam głową jak grzechotką. Na chwilę pomaga.

obiekt z cyklu *MaMalarka*
olej na spalonej patelni, 25 x 25 cm
2020



Patelnię dostałam. W prezencie. Wyszukana, wyszperana, z ładunkiem załączonym. Emocjonalnym. Lat miała sporo. Nie da się ukryć. Może i więcej ode mnie samej? Jeszcze dobra była. Przyzwyczajona. Na jajecznice, na bitki niedzielne. Dzień w dzień właścicielka tłukła łyżką, zarysowując dno patelni. I paląc brzegi na czarno. Tłuc musiała mocno. Smażyć na niej swoje serce, wątrobę i żyły wyprute. Po rączce pozostały jedynie trzy zawstydzone otworki. Nie chciała zrozumieć: Jak to ktoś inny miałby podawać posilek?

Moje dzieci są ze mną nieszczęśliwe. Jestem złą matką. No chyba że jestem akurat ich ukochaną mamusią, bo właśnie dałam żelki, pozwoliłam pooglądać *Świnke Peppę* czy *Spidermana* na swojej komórce albo kupiłam najnowszą płytę *Gorillaz*. O, wtedy moje dzieci są ze mną szczęśliwe. Nawet bardzo. Wiem, bo mi to mówią. I jak tylko odbieram swoją komórkę, przecierając rękawem po-ciapany i opluty ekran, na powrót jestem niedobra, a ich nieszczęście zostaje zmultiplikowane do najgorszego dnia w życiu.

Moje dzieci są więc bardzo nieszczęśliwe ze mną jako matką, no chyba że akurat są szczęśliwe, to są szczęśliwe, a ja okazuję się nie być taka zła.

KOMPLEMENTY DLA MAMY OD L:

Jesteś kOCHana jak stara broKula po mleku.

Jesteś lepSZA od bitwy z kciukami.

JESTeś kochana jak śmierDZący
pĄCzeK.



Ja: Ale sobie dobrą herbatę zrobiłam.

L: No widzisz. Ty to masz talent.

A: Wydrukujesz mi siba, siba?

Ja: A za co dałeś mi to serduszko?

L: Bo obiecałeś, że kupisz mi Pikachu.

Ja: A ja myślałam, że dałeś mi serduszko, bo jestem kochana.

L: Tak, kochana Mamusia-Pusia.

Mój warkocz sięga do pasa. Moim córkom obcinam włosy jak lalkom. Czeszę grzebykiem i ciach. Robię fryzurki.

Mama czesała mi włosy. W pokoju pod kolyszącą się lampą sufitową. Czarną. Trzypunktową. Regulowaną na sprężynie. Taboret, na którym siedziałam, był zimny i twardy. Gąbkę wsadzała mi pod tylek. Taką z zielono-kremową poszewką robioną na drutach. Po każdej kąpieli oddzielała pasma mokrych włosów i czesała. Godzinami. Nienawidziłam tego. Na plecach miałam ręcznik, by koszulka nie zmokła. Grzebień traciły zęby.

Moje córki mają krótkie włosy. Długie mam tylko ja. Wystarczy, że sama muszę się czesać.



13.09.2011

MAI TWÓRKOŚĆ

Z domu do przedszkola śmieję się wesoło

Z pluchami z gruszkami

Z słowikiem na łapie

Tup nogami Tup rękami

Uśmiechaj się wesoło

Nie bądź smutno Idź do pracy

Z przygniecionym przylbem na twarzy

Z Tęż na oczach

Wodonoży wodonoży trzy wodonoży
i bębelki i bębelki ubij bębelki

Popraw z maną w kotłach krupach 5x

Yeeeee

LISOPAD 2011

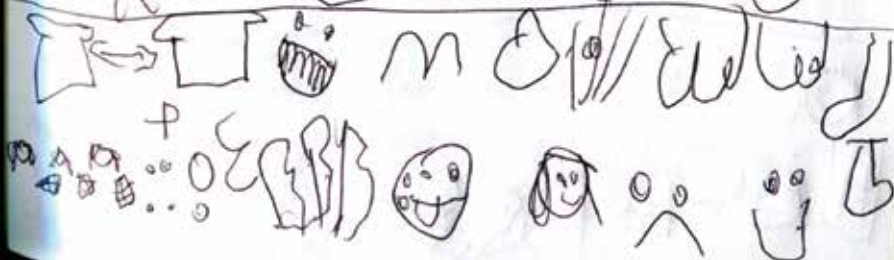
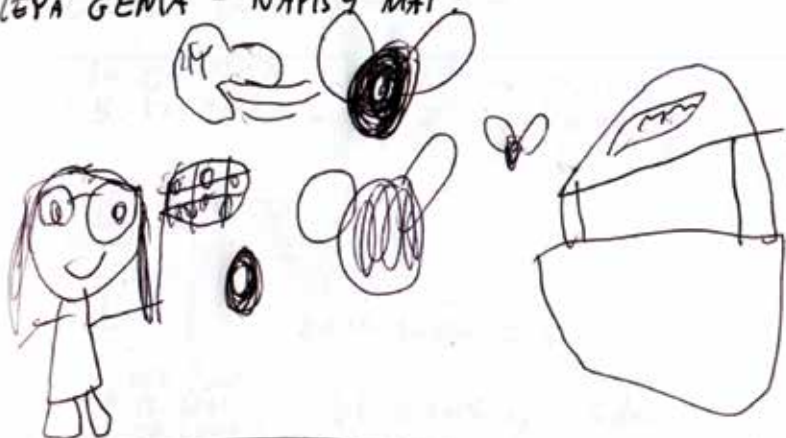
I Nie straganić ślepe Genie
Tępie mądry do jedzenia
A na nuszę być kupa
ślepe Genie bęki huha

ślepe Genie bęki Tępie
do jedzenia bęki Tępie

II ślepe Genie no straganić
prosi pieniąż o śniadanie
A ten pieniąż był dziurawy
co za sprawa, co za sprawa!

19 listopada 2011
Moi rusza się za bek - lewa jedynka.

ŚLEPA GENIA - NAPISY MAI:



skan Zeszytu dla M. z piosenkami, które wymyślała w zabawie, w wieku 6 lat.
Tekst Ślepa Genia zapisany obrazkowo.

na, na, na

na, na, na

I like very like, i like

very like, Ice cream

(cream) Ice cream, na,

na, na, na, na, na,

na, na, na (ciszeg) ice cream

uuu...



*W zielarstwie ludowym tży służą za spoivo – zespa-
lają lecznicze składniki, jednoczą idee i myśli, łączą
dusze⁵⁶.*

Najstarsza wpadła w szal komponowania. Od mąlej dziewczynki lubiła tworzyć muzykę. Wymyślała piosenki, tekst zapisywała obrazkowo, a melodię – jak niegdyś ja na kasprzaku – utrwałała na filmikach. Dziś biega z laptopem, nagrywając otaczające ją dźwięki. Wali w brązowy garnek, w którym najczęściej robię ziemniaczaną zapiekankę z pomidorami i szpinakiem. Łaskocze najmłodszą tak długo, aż ta zaczyna się śmiać w odpowiedni sposób. Dziesięć razy pod rząd nagrywa główną linię melodyczną na pianinie. Ach. Piękne to wszystko. Aż ciężko wytrzymać.

Taaam, dam-dam, dam-dam-dam, tirlitirli-taaam,
dam-dam, dam tirlitirli-tirlitirli-dam!

Tańczę, gdy córka mi gra. Białe klawisze żółkną od dotknięć, na czarnych nie widać użytkowania. Tańczę, by zobaczyć jej uśmiech. Kręcę się niezgrabnie, zahaczam o sofę, z której wiecznie zsuwa się koc w szaro-czerwone pasy. Odbijam się od ściany, ale tańczę. Wywijam rękami, które wydłużają się z każdym obrotem i płaczą mi kroki.

A ona gra. Wymyśla smutne melodie i zerka na mnie z za zielonej czupryny.

To jest jej opowieść. Czarno-biały alfabet. Składam nuty w słowa, dźwigam całe zdania i tańczę coraz szybciej, zupełnie jakbym musiała coś zrobić, by nie przestać istnieć. Nie paść pod ciężarem.

Opowiada mi w moll. O strachu. Smutku. Niezrozumieniu. Wiruję i macham nienaturalnie już wydłużonymi kończynami, by odgonić od niej te śmy nocne. Uciążliwe drobiazgi. Szarą codzienność.

⁵⁶ C. Pinkola Estés, *Biegnąca z wilkami...*, s. 207.

Przepędzam na cztery wiatry. Chronię rytualnie. By dziać się działo. Chcę zabrać lęk, co w głowie się zasiał i pączkuje, bo wiosna już w pełni. Nie umiem się zatrzymać, choć nie mam już sił. Krzążam się bez śladów. Zdezorientowana. Ona zapętała melodię, przechodzi w rondo, w kółko i w kółko. To samo. Niezauważalnie. Recytuje mi palcami. Kłapa od pianina drży. Drży podłoga. Drży cały dom. A ona nie przestaje.

Plakaliśmy obie, żeby rozłożyć ciężar na dwa.

poniżej: *Respirator*, olej na płótnie, 100 x 100 cm, 2020
obok: *Recykling*, olej na płótnie, 100 x 100 cm, 2020



A: Narysowałam ci bohaterkę mamusię, żebyś już nie płakała.

Boję się. Chwilami tak strasznie się boję. Samej siebie, swoich myśli, rozdzielenia. I tego, co pomiędzy szaleje.

M. powbijala szpilki w głowę lalki, robiąc jej bolesny wianek. Czulałam każdą z nich. Na swojej głowie. Koronę cierniową. Obciąła jej włosy, a twarz pomalowała na szaro. Nie pamiętam, skąd była lalka. Na pewno należała do niej. Gumowa głowa. Szmaciane ciało. Zapomniałam już jak wyglądała za czasów swojej świetności.

Boję się jej. Laleczki wudu. Z wszytym zamkiem błyskawicznym w korpus. Zamkiem, który kupiłam do zagłówek przy narożniku. Kiedyś je uszyję.



W zeszycie w pingwiny mam jeszcze trochę miejsca. Pięć kartek. Muszę pamiętać, by kupić nowy, inaczej moje zapiski będą lądować na przypadkowych kartkach wyrywanych z kalendarza ściennego w kuchni, kartkach A4 z drukarki, dziecięcych rysunkach odłożonych do wyrzucenia. Będę grzebać w koszu na papier – wielkiej i szarej torbie z Lidla – by wysupłać kartkę, na której zmieści się kilka wierszy moich biegnących myśli.

Muszę się spieszyć. Ziemniaki prawie dochodzą, A. w kółko powtarza, że chce miodek na ziemniaczki. Głodny L. już rozkłada talerze.

— Ja chcę miodek na ziemniaczki.

Uciekła mi myśl. Zanotować chciałam, że obiad prawie gotowy, że przycupnęłam na fotelu w kuchni, na którym leżą dziecięce ciuszki przygotowane do prasowania. Na desce czeka na mnie czytelnik z *Powrotem z gwiazd* Lema.

— A czy mogę taką mieć? – pyta A. stojąc przede mną. Trzyma różowy widelec z plastiku zakończony kokardką na rączce.

— Tak – odpowiadam, nie przerywając pisania.

Ziemniaki doszły. Może nie zorientuje się, że nie ma na nich miodek. Wystarczająco słodki ma widelczyk.

Stary garnek przypalił ziemniaki od spodu. Poczekam, aż kupimy nowy i zabiorę go do pracowni. Będzie mu tam dobrze.

A. na obiad wybrała talerzyk mały. Deserowy. Mam świadomość, że obiad na nim ledwo się zmieści, nawet tak mały jak Adusia Mała.

Ja: Ada zjadłaś obiadek?

A: Tak.

Ja: Chyba ktoś kłamie. Wszystko zjadłaś? Bo nosek ci rośnie.

A: Przecież u nas w domu nie ma wróżek.

Ja: Ja jestem wróżka.

A: Nieprawda! Wróżka ma skrzydła i różdżkę i włosy i głowę. Ty nie masz skrzydeł. Masz warkocz i dupę, a wróżka nie ma dupy. Ty jesteś mamą Basią.

A: Chcę się napić nemolatki (lemoniadki).

Fascynują mnie momenty, w których dziecko odkrywa rzecz z naszego punktu widzenia oczywistą, a ono doznaje uczucia absolutnego zachwytu. Pewnego dnia, gdy wracaliśmy całą rodziną do domu, A. odkryła, że w jabłku znajduje się pyszny sok jabłkowy. Nie mogła wyjść z podziwu, kto go tam umieścił.

obiekt z cyklu *MaMalarka*
olej na garnczku, 23 × 15 cm
2020



Jest ci smutno, bo omija cię rodzinna impreza. Po raz kolejny dziecko przyniosło z przedszkola katar. Na dzień dobry wysmarkało się w ciebie, opluło i wytuliło na wszystkie możliwe sposoby. Jako dobra matka zabierasz od dziecka chorobę, by ono mogło swobodnie oddychać, bawić się i jechać z ojcem i rodzeństwem na rodzinny zjazd.

Jesteś rozdrażniona. Chusteczka od godziny tkwi w twoim nosie jak tampon.

Pakujesz dzieci, co chwilę biegając do łazienki, zmieniając chusteczki i myjąc ręce. W końcu wszyscy wychodzą, a ty zostajesz sama. W domu. Szczelnie wypełnionym ciszą, aż dźwięczy ci w uszach. Możesz wejść pod koc i swobodnie dokończyć czytanie, możesz włączyć telewizor na inny kanał niż TVP ABC, możesz usiąść i po prostu nie robić nic.

Czujesz się nieswojo. I to nie jest wina kataru. Zaparzasz sobie lipę. Dziesięć minut pod przykryciem, siadasz na sofę i otulasz się ulubionym kocem syna. Gdyby tu był, od razu by ci go zabrał. Uśmiechasz się na tę myśl. Już nie jest ci smutno. Jest ci błogo. Siedzisz z miną mistrza Jody, a chusteczki zwinięte jak tampony wystają z twojego nosa.



Nigdy nie bolał mnie brzuch po surowym cieście i płynnej masie, choć pomimo ostrzeżeń mamy, za każdym razem wylizywałam miskę i wiertła od miksera Zelmer. Palce lepily mi się od cukru, jajek i kakao, w zależności od tego, co było pieczone. Garnki wylizywałam, aż lśniły. Odstawiałam do zlewu zadowolona, że właściwie to nie trzeba już ich myć.

Kto chce wylizać garnek? Pytam, gdy piekę placek. Dzieci ustawiają się w rzędku, a ja się zastanawiam, czy straszyć ich, że rozboleją je brzuchy? Nie straszę. Milczę. Mąż zagląda do kuchni i mówi: Brzuchy was rozboleją!

na stronie obok:

Nie chciałaś – nie robiłaś. Trudno!,
obiekty, 2020

szkic do obrazu *Melisa*, olej na
płótnie, 35 x 45 cm, 2022



Następuje taka chwila w ciągu dnia, gdy twoje dzieci na moment zapominają o twoim istnieniu. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale owszem. Tak się dzieje. Taka chwila nadchodzi, zwłaszcza gdy mamy ciepły słoneczny dzień, a twoje pociechy mają suchą pieluchę i pełne brzuchy. Siedzisz na tarasie z widokiem na ogród. Syn gotuje zupę we wiaderku, mieszając piasek, świeżo skoszoną trawę i garść przydomowych ziół i kwiatów. Młodsza latorośl siedzi w piaskownicy pochłonięta do reszty przesypany piaskiem z jednej foremki do drugiej, a najstarsza jeszcze śpi, bo dziesiąta rano to dla nastolatki jakby jeszcze noc. Patrzysz i niedowierzasz swojemu szczęściu. Ty, słońce, dzieci, śpiew ptaków, pachnące majowe powietrze, sobota – jeśli jest sobota – i w ogóle wszystko jakby przepuszczone przez filtr i Insta. Jesteś jak zahipnotyzowana. Ćpasz garściami tę chwilę i nie rusza cię nawet sytuacja, gdy syn z buciurami pełnymi piachu wbiega do domu, leci przez cały pokój, przedpokój, aż dociera do łazienki, po czym wychodzi zadowolony z pojemnikiem wypełnionym wodą po brzegi. Na dywanie zostawia placki piachu poświęcone kranową. Widzisz to kątem oka, a jakby nie widzisz. Nie ruszysz się. Nie znikniesz tej chwili. Bawią się tak grzecznie. Sama uwielbiałaś taplać się w błocie.

Siedzisz więc cicho, by cię nie usłyszeli i nie przypomnieli sobie, że jesteś i trzeba biec do ciebie, wrzeszczeć, ślinić, wchodzić na kolana i żądać tysiąc rzeczy naraz. Co to, to nie. Głupia nie jesteś.

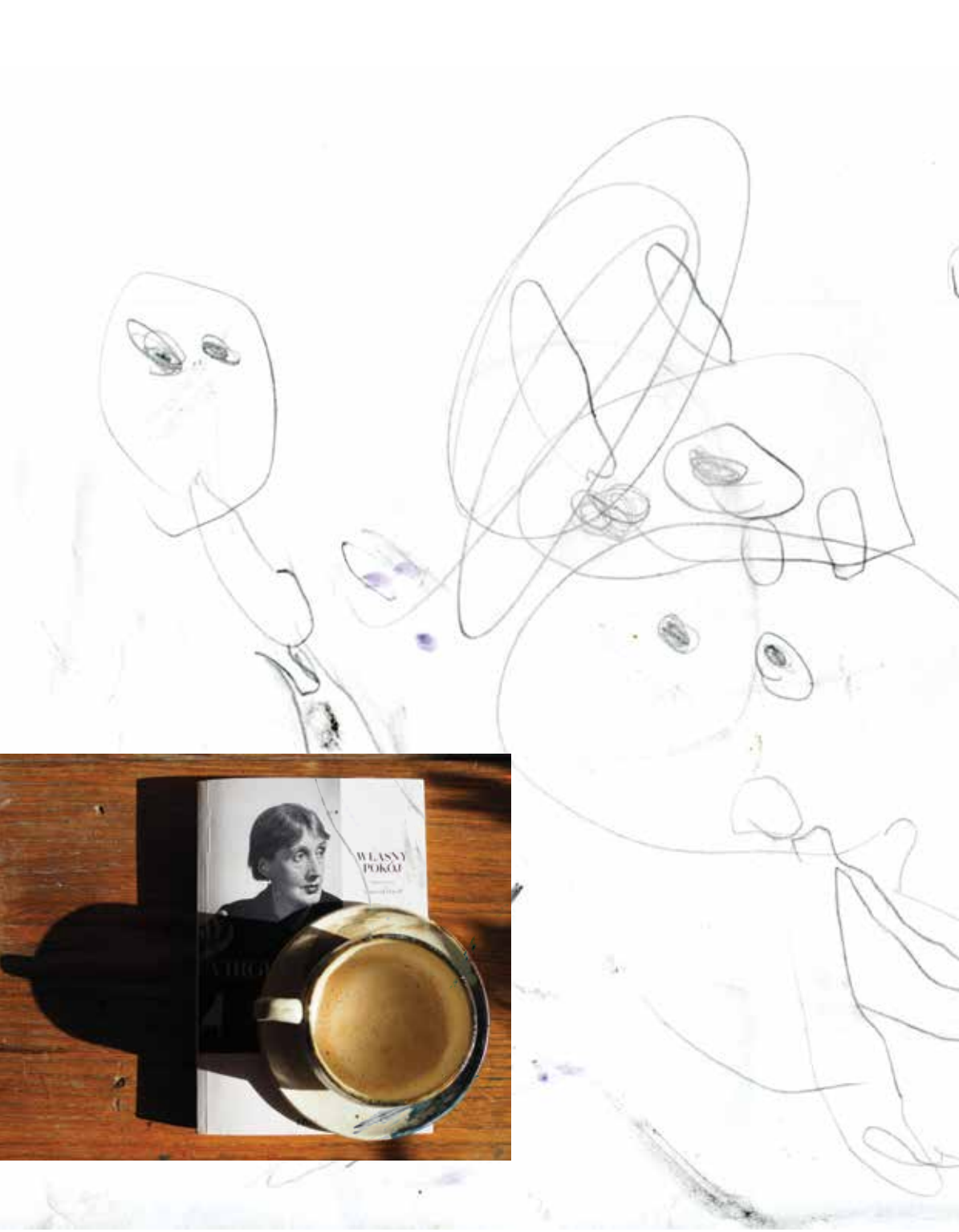
Upajasz się więc chwilą, ale nieprzyzwyczajona do beczynnego siedzenia, twoją głowę atakują napływające myśli, czy siedzieć tak usztywniona, ciesząc się spokojem, czy jednak zaryzykować jakiś ruch swój minimalny i zrobić wymyk do pokoju po książkę.

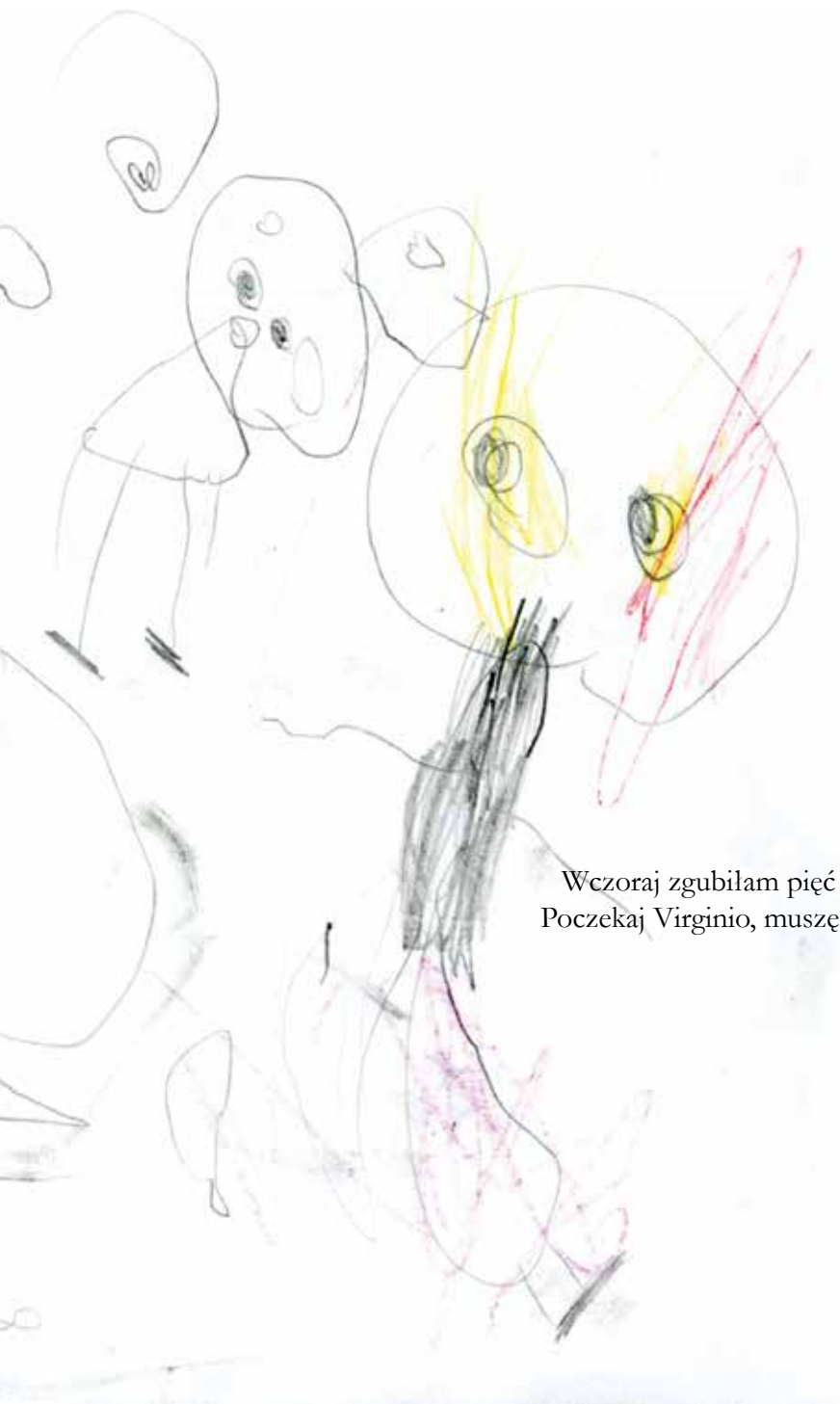
Patrzysz więc na te cuda, które raz po raz wypluwałaś ze swojego brzucha, głaskasz je spojrzeniem, ale niezbyt raptownie, żeby nie poczuły, nie dostrzegły, że właściwie to odpoczywasz. Myślisz dalej. Pokusa jest ogromna. One tam, ty tuż obok, one piasek, ty książka! Kalkulujesz szanse powodzenia tajnej misji ninja. Zbierasz się na odwagę, już prawie wstajesz, fotel zaskrzypiał ledwo w twojej wyobraźni i kątem oka widzisz, że córka spod czapki z daszkiem unosi wzrok. Nieruchomiejesz. Ty. Twoje plany i w ogóle cały twój krwiobieg. Zamierasz.

Odwróciła wzrok i bawi się dalej. Oddychasz z ulgą, wymykając się na chwilę do pokoju.



Własny pokój
olej na płótnie, 80 x 100 cm
2020





Wczoraj zgubiłam pięć słów. Wyparowały.
Poczekaj Virginio, muszę wyszorować kibel!

Nie lubię używać wulgarnych słów. I nawet nie chodzi o to, że od dziecka wmawiano mi, że dziewczynie nie przystoi (bo według mnie nie przystoi i chłopcu, jakie to ma znacznie), ale skoro sama czuję się nieswojo wśród osób, które bez zahamowań rzucają mięsem, staram się nie stawiać bliźniego w niezręcznej sytuacji. Ograniczam swoją ekspresję językową. Zwłaszcza że jestem matką. A że jestem jedyną matką trójki dzieci, czasami potrzeba użycia mocnych słów jest ogromna. Oj! Się wypsnie.

Użyjesz raz i kaplica. Usłyszane słowo się nie odsłysz. Gwarantuję. Myślisz, że dzieci są głupie, zajęte zabawą, nie zwrócą uwagi, gdy ulżysz sobie słownie. Bo to tak raz, tak niechcący, tak coś cię zdenerwowało, ucieszyło czy taki ot, przerywnik.

Jesteś spokojna. Bo przecież podciągasz bardziej niż zaniżasz wzorce. Aż dnia pewnego dziecko rzuci wykrzyknikiem, a ty otworzysz usta ze zdziwienia, że nawet użyło go w odpowiednim momencie. Płoniesz ze wstydu, no ale jak, gdzie usłyszało, to na pewno na podwórku, w przedszkolu, w kosmosie. I pograżasz się coraz bardziej i obwiniasz i już wiesz. O szlag!

Najstarsza z pełną ekspresją pochwaliła twoje loki, gdy szykowałaś się do wyjścia. Synowi ojciec zaslonił telewizor, gdy oglądał bajkę. Najmłodsza nie wymawia jeszcze *er*.

Szukam substytutów mocnych słów. Broń Boże nie *motyla noga*, *karwa* czy równie irytujące sformułowania, które drażnią mnie mocniej niż zdrobnienia. Kiedy słyszę je z czyichś ust, mam ochotę zakląć.

O MATKO Z CÓRKĄ!

I tak już zostało przez lata. Problem się pojawił, gdy na świat przyszedł syn. Czując, że go pomijam, dodawałam go ze spójnikiem *i*, co nawet mi się podobalo. O MATKO Z CÓRKĄ I SYNEM nadal spełniało nałożoną funkcję, a wydłużenie w czasie wyciszało moje emocje. Mogłam powiedzieć płynnie, mogłam cedzić przez zęby albo zrobić minimalną pauzę między *córką* a *synem*.

O MATKO Z CÓRKĄ, SYNEM I CÓRKĄ brzmiało już głupio. Poza tym zanim skończyłam deklamować, to już zapominałam z jakiego właściwie powodu biadoliliłam.

O MATULU.

Skróciłam. I to było dobre.



A: Przestraszyłam się, że słońce zgaśnie. Zmęczy się. Wyczerpie.

Po obejrzeniu odcinka *Brzyduli 2* zastanawiam się, czy jestem matka-helikopter? Więcej nie oglądam!

Czasami zdarza się, że dni znikają niepostrzeżenie. Taka na przykład sobota. Rozpoczęła się niby zwyczajnie. Pobudką najmłodszej. Już jest dzień, słoneczko świeci! Otwierasz jedno oko i błagasz, żeby to skaczące po tobie dziecko tylko ci się śniło. Ale nie. Ono uśmiecha się szeroko, a ty, już bardziej rozbudzona, po raz kolejny nie możesz się nadziwić, ile to dziecko ma w sobie entuzjazmu, ile zachwytu nad byle pierdołą. Fakt! Słońce, które sprawia, że jest jasno, choć było ciemno, powinno nastrajać nieklamany podziwem, ale kiedy jeszcze śpisz, nie masz ochoty wpadać w zachwyty, że już jest dzień. Powiedziałabym nawet, że ta jasność z niebios cię drażni. Masz ochotę rzucić w to piękne słoneczko swoim jaśkiem odzianym w poszewkę w biedronki. Dzieciak jednak nie bierze pod uwagę innych opcji niż totalna euforia, więc nie masz wyjścia. Musisz wstać i podziwiać. Słońce, wszechpanującą jasność dnia i swoje trzecie dziecko odziane w uroczą piżamkę.

Idziecie do kuchni. Poprawia ci się humor, czując na rękach ciepłutkie ciało swojej dwulatki. Zanim przygotujesz coś do jedzenia, przybiega starsze dziecko z deklaracją na ustach, że ono marzy, aby cały dzień chodzić w piżamie. Zamawia płatki z mlekiem i wskakuje na sofę pod ulubiony koc. Pozamiatane. Próbujesz uruchomić swój mózg i zastanawiasz się, czy to aby wychowawcze.

Myślisz, a noc cię zastaje niepostrzeżenie. Siedzisz w ciemnym pokoju przy lampce, czytasz *Pippi Pończoszankę* i jedyna myśl, jaka krąży ci po głowie, to ta, że przynajmniej nie musiałaś go znów przebierać.

Uzależniłam się od słonecznika. Ściskając w palcach pestkę, lewymi jedynekami przygryzam lupinkę, a gołe ziarenko konsumuję. Unikam przy tym dzieci. Podchodzą i wyjadają mi obrane ziarna z ust.

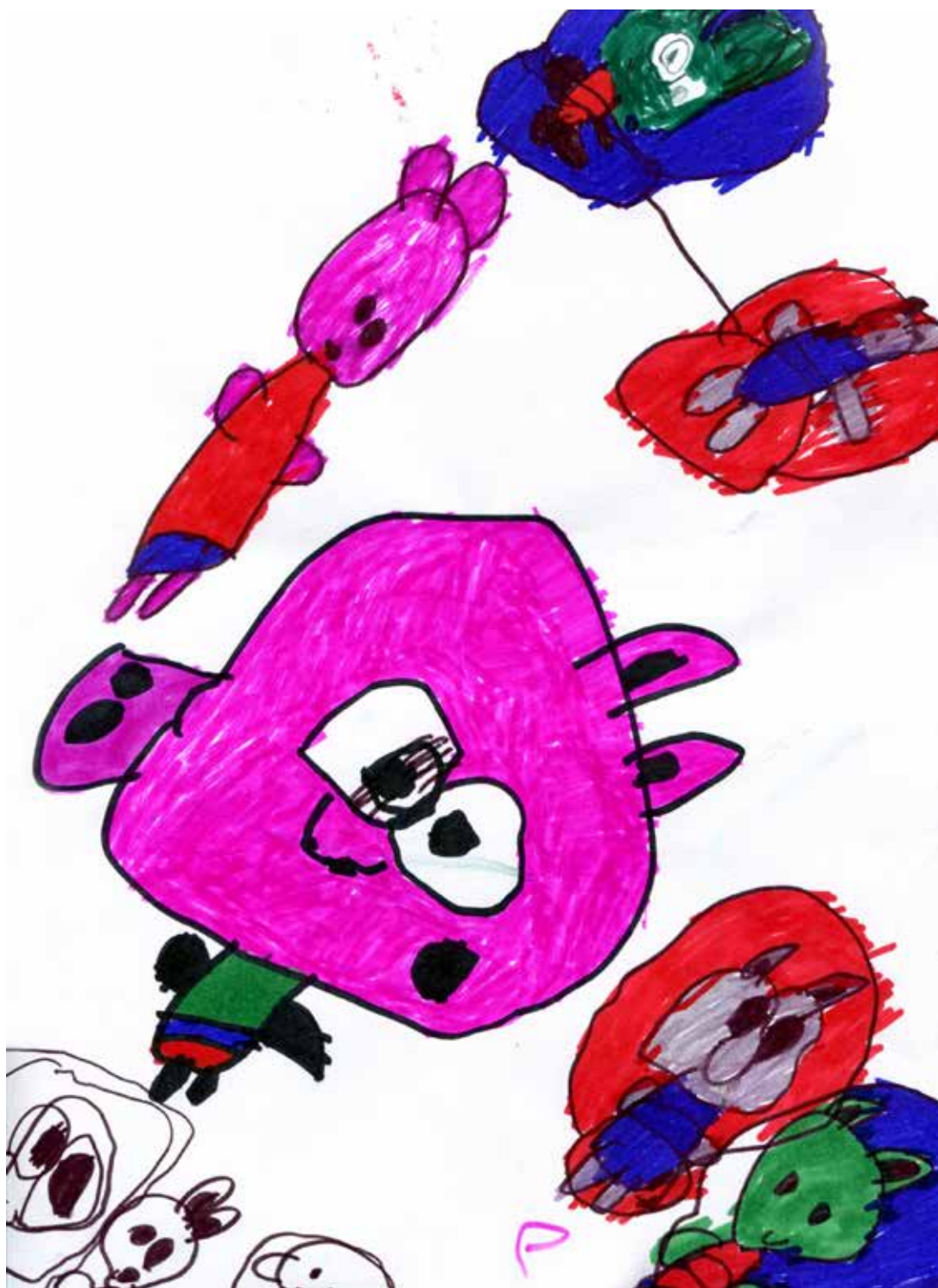
Zauważyłam, że najbardziej cierpią matczyne buty i fryzura. Buty są deptane przez małe brudne nóżki, a włosy są tarmoszone przez małe tłuste rączki.

fotografia o poranku, 2020





Kiedy mam dużo energii, włączam *Fasolki* i tańczę z dziećmi w salonie.
Z każdym po kolei.



Co miesiąc kupuję dzieciom nowe flamastry. Najmłodsza – ogromna fanka rysowania – nie zaprzęta sobie głowy tak banalną czynnością jak zakładanie zatyczki. Chcąc nie chcąc, flamastry szybko wysychają. Tłumaczę, pilnuję, ale nie nadążam. Schną i tyle.

Idę do sklepu – bo JUŻ mogę, bo już lepiej, nie umarłam i nie umrę, z mamutami żyję za pan brat – wrzucam do koszyka kolejny zapas flamastrów, neonowych minizakreślaczy i pędzelków wypełnionych farbą. A. od razu bierze się do pracy, ja przypominam o zatyczkach, a mąż – co jest rzadkością – wspomina reanimowanie flamastrów w dzieciństwie. On do wkładu nalewał octu. Ja wlewałam wodę. Na chwilę pomagało. Ale potem wkład robił się biały i napuchnięty jakiś.

Moje dzieci nie reanimują niczego. Oddzielam piszące od wyschniętych, a przy najbliższych zakupach wrzucam do koszyka nowy zapas.

PIOSENKI TATUSIA:

(zmyślone teksty, znane melodie i utwór *A. Osieckiej)

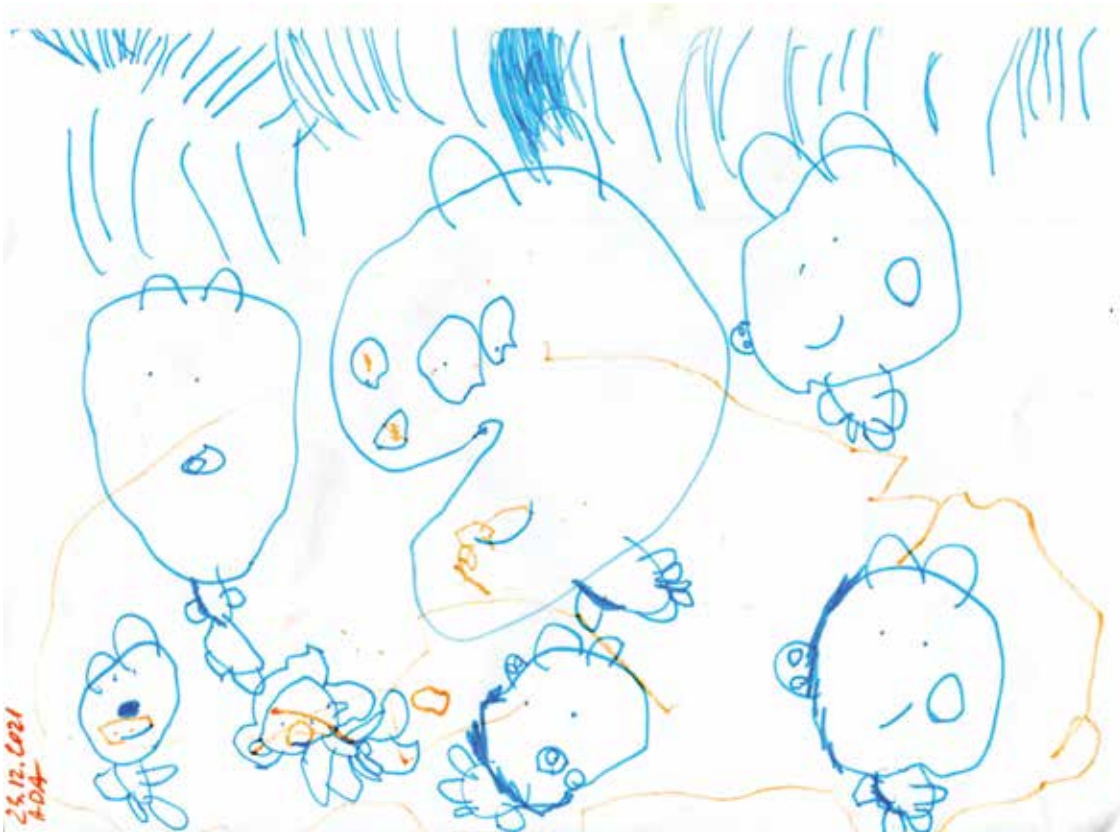
Kiedy jesteś Dzidzią-Bubu w ręce klaszcz 2x
Kiedy jesteś Dzidzią-Bubu i należysz do naszego klubu
Kiedy jesteś Dzidzią Bubu w ręce klaszcz

Tylko Dzidzię w głowie mam
I Żozola, i Żozola, Żozola i Majola

A Żozo, A Rara, Leoś bum-tarara

Majówka kwaśna surówka

*Nikt mnie nie kocha
Nikt mnie nie lubi
Mama i tata
Chudzi i grubi
Nikt mnie nie kocha
Nikt mnie nie lubi.



A.: To nie fair, śniegu!

Nawet wiosna boi się koronawirusa. Nie wypuściła pąków.

A. hamuje butami podczas jazdy na rowerku biegowym. Czubkami.



Grupa Laokoona
olej na płótnie, 80 x 100 cm
2020

T: Dajcie już spokój tej matce. Ciągłe ją męczycie.

Chcę usiąść. Napić się herbaty. Moje oczy rejestrują na podłodze rozsypane klocki lego. Zbieram je i wrzucam do pudełka. Kątem oka dostrzegam biały patyczek po lizaku wciśnięty pod sofę. Wyciągam go, wydobywając jednocześnie pół kredki i garść skłębionego kurzu. Idę do kuchni. Do żółtego worka wrzucam patyczek, kredkę przemywam pod kranem, myję ręce, wycieram w ręcznik zawieszony na kaloryferze i wracam do pokoju, aby odłożyć kredkę do koszyczka. Może i jest jej pół, ale jeszcze się nada. Koszyk z kredkami leży na stole. Musi być w zasięgu ręki, bo dzieci nałogowo produkują swoją twórczość.

Pod misternie wydzierganą na szydelku babciną serwetką, żółtą, z motywem wielkanocnych cipek, widzę kryształki rozsypanego cukru. Wracam do kuchni, moczę ściereczkę i pojawiaam się ponownie przed stołem. Ścieram cukier, ślady flamastra i dwie, różnej długości kluski zwisające z blatu. Na obiad było spaghetti. W kuchni płuczę ścierekę, rozwieszam ją na rączce od piekarnika i wycieram dłonie w ręcznik.

Chcę w końcu napić się herbaty.

Okazuje się jednak, że M. po tygodniu odniosła naczynia ze swojego pokoju. Brawo. W jednym kubku coś zakwitło, a talerze zaraz spadną i rozbiją się na kawałki. Przesuwam kubek i układam wszystko w zmywarce. Wycieram ręce. Podchodzę do czajnika, napełniam go wodą, ale przypominam sobie, że przecież kupiłam kwasek cytrynowy, żeby odkamienić czajnik. Dolewam więcej wody, sięgam do półki nad zlewem, w której znajduje się koszyczek z kisielami, budyniami, miniszczoteczkami do czyszczenia rurek i kwasek cytrynowy. Rozrywam papier i zawartość wsypuję do czajnika. Gotuję. Zawrzała. Pstryk.

Wylewam wodę do zlewu, wlewam czystą, przepłukuję, znów wlewam i ponownie nastawiam do wrzenia.

Przypomina mi się lekcja o trybach warunkowych z języka angielskiego. W czerwcu mamy egzamin. Tryb zerowy. Zjawiska. General true.

Jeśli podgrzejemy wodę do 100 stopni, będzie wrzała.

If you heat water to 100 degrees it boils.

Recytuję na głos kilkakrotnie.

Zawrzała. Pstryk.

Wylewam, przepłukuję, wlewam czystą.
Myślę o herbacie.

Z pokoju woła mnie L. Chciał wyjść na podwórko, ale nie może otworzyć drzwi na taras. Otwieram drzwi, spoglądając na białe, pełne błotnych śladów kocich łap, parapet. Co mi strzeliło do głowy, żeby wybrać biały? Przymygam drzwi i idę do łazienki po nawilżoną szmatkę. Słyszę pstryk czajnika. Najwyżej zagotuję jeszcze raz. Zmywam parapet, ale błoto jedynie się na nim rozmazuje – trzy razy płuczę szmatkę i wycieram parapet, aż zacieki przestają być widoczne. Odwieszam szmatkę na wystającej rurze po zdemontowanym piecyku w łazience, myję ręce, wycieram w ręcznik. Czuję jak skóra rąk jest sucha i stara. Moje dłonie wyglądają okropnie. Jak u starej baby. U starej, czterdziestoletniej baby, którą jestem. Moje rozmyślenia o przemijaniu przerywa mi syn. Przyszedł do domu, bo strasznie dziś wieje. Nie ściągnął butów przed wejściem i każdy jego krok zostawił fragment wzorku podeszwy.

Pstryk. Mój mózg zawrzała. Zwracam synowi uwagę na to, co zrobił. Półszep-tem deklamuję tryb zerowy, żeby nie zacząć krzyczeć. *If your son brings mud your brain boil*. Chyba tak powinno brzmieć. Skupiam uwagę na poprawności, obserwując, jak syn grzecznie idzie po zmiotkę i szufelkę i zamiata błotne placki. Już się nie gniewam. Widzę, że mu przykro. Biorę od niego zmiotkę i szufelkę i poprawiam, gdy nie widzi. Zanoszę wszystko do kosza i odkładam na miejsce.

Moja herbata. Moja książka.

Właściwie to jestem już głodna, bo okazało się, że jest już po siódmej. Mąż robi A. kolację, a mi burczy w brzuchu. Herbatę to chyba wypiję do kolacji. Nie do książki.

Pytam L., na co ma ochotę. Zjemy wspólnie, żeby nie robić dwa, trzy lub cztery razy. Po drodze zbieram jeszcze samochodziki i wrzucam do pudełka na samochody. Sortuję rysunki – te w kosz, te na pamiątkę – szukam zatyczki od fioletowego flamastra i zbieram z podłogi dwie karty do gry z płatków śniadaniowych. Na dywanie pod stołem leży zaschnięta kluska. Dołączam ją

do zbiorów. Muszę umyć ręce zanim wezmę się za kolację.

Moje pergaminowe, suche, użylone dłonie.
Stare i zmęczone.

Jak ja.

Nie wiedziałam, co to Lody Ekipa. Papierki wyrzuciłam, pamiętając o sortowaniu śmieci.

Nie umiem się nie zapaść. Poszłam do lasu, żeby się zgubić, ale mi się nie udało. Znam drogę.

Zmarzły mi uszy i zgmiotłam żołędzia, którego zabrałam ze szlaku na pamiątkę. Najwyraźniej w środku był pusty.

Przytulać mamusię!
Nieprzytulane dzieci nie rosną.
Są słabe i drobne.
Moje dzieci będą olbrzymami.
Zwłaszcza najmłodsza.



Matka
olej na płótnie, 50 x 70 cm
2020

Drażnią mnie docinki, że zawsze się spóźniam. Że jeśli impreza rodzinna zaplanowana jest na czternastą, to mi oznajmia się godzinę trzynastą.

Spóźniam się, bo mam dzieci.

Bo muszę ogarnąć wszystkie rzeczy wewnątrz i te na zewnątrz mojej głowy. Uspokoić myśli i mieć pewność, że wszystko mam pod kontrolą. Nie mogę się bać, że czegoś zapomnę, nie dopilnuję. Wina zawsze leży po stronie matki.

Spóźniam się, bo gdy apeluję o zbiórkę i gotowość, minuty złośliwie przyspieszają, a każdy biega w inną stronę. Nie potrafię objąć ich wzrokiem. Znikają mi.

Tracę kontrolę, tracę zmysły. Tracę czas.

A potem jest już za późno.

Serce mi wali. Wali się wokół i już niczego nie ogarniam. Każdy centymetr mojego świata zbudowany jest z klocków lego. Stoję w miejscu jak wryta i z przyspieszonym oddechem, zupełnie jakbym pędziła na złamanie karku, mogę już tylko obserwować zamieć piaskową.

Nie lubię, jak wytyka mi się spóźnialstwo. Czas wtedy ucieka, a ja kolejnym spóźnieniem utwierdzam ich opinię.

Trzeba jej mówić dwie godziny wcześniej. Może się wyrobi.

Moi rodzice przyjeżdżają zawsze godzinę za szybko. Albo co najmniej pół. Przed czasem są zawsze. Nie tak jak ja. Najgorzej więc wybrać się gdzieś razem. Oni godzinę przed czasem, a ja w wiecznym niedoczasiu. Mieszanka wybuchowa. Rozrywa mi leb. I tylko widzę ten wzrok. Słyszę milczące kiwanie głową. Od noworodka to kiwanie mam przed oczami. Byłam wyjącem niemowlęciem. Wylałam – nie płacząc. Bezlzowa skomlałam. Ciotka ochrzciła

mnie *Dziękiem*. Mama pakowała mnie do głębokiego wózka i bujała całe dnie i noce. Wózek miał stelaż łączony do kół skórzanymi paskami – bujał się pięknie. Patrzyłam na mamę jak kiwa mi się północ–południe z miną zastygłą i nieprzytomnymi oczami. Pamiętam zapach tworzywa, z którego wykonany był wózek. Wewnętrzną stronę obicia. Tę brzydszą. Lewą. I pamiętam, jak wylam, choć ani jedna łza nie skapnęła z mojego oka.

Mama kiwała głową. Kiwa, choć nie kiwa. Widzę to jakoś wewnętrznie. I spóźniam się w akompaniamencie tego kiwania. Jeszcze ma ręce założone na piersiach. Ma. Choć wcale nie ma. Ja to po prostu widzę. I zbieram się najszybciej jak mogę, ale nigdy mi to nie wychodzi. Drzę. Rozpadam się. By nieunikniony komentarz o moim spóźnieniu rozłożył swój ciężar na mniejsze części i nie dotknął mnie zbyt boleśnie. Potem wezmę kilka głębszych oddechów, wessę w siebie te pogubione drobiny oblepione komentarzem i znów będę się trzymać.

W końcu jestem matką.



Wenus z Podkarpacia

olej na płótnie, 100 x 80 cm

2019



Zasypiam. Na tydzień, dwa, zdarza mi się na miesiąc. Dni mijają jeden za drugim, podobne do siebie jak noworodki na porodówce. Dzieci budzą się rano, wychodzą w piżamce ze swojego pokoju, jedzą śniadanie, które się im robi, siedzą pod kocem, zostają ubrane albo ubierają się same, coś się dzieje, obiad się je wspólnie, biegają, jedzą kolację przy *Psim patrolu* i *Maszy*, biorą kąpiel, piżamki im się ubierają, wchodzą do łóżek, L. na górę, A. na dół, całusy i przytulasy im się dostają, *Dzieci z Bullerbyn* im się czyta, A. schodzi z łóżka co najmniej osiem razy, żeby pić, żeby jeść, że tylko przytulić chciała, światło im się gasi, lampkę się zostawia, mówi się dobranoc, a ja śpię.

Kiedy się budzę, widzę moje dzieci. Takie duże już. Zaradne. Takie serca moje. Otwieram oczy i nie mogę się na nie napatrzeć. Jak to się stało, że nie karmię już piersią. Piersiami obiema. Dwa lata pierwsze, dwa lata drugie i jedyne osiemnaście miesięcy trzecie. Bo zapadłam. Na potwornie długi i głęboki sen.

Przyglądam im się w nieustającym zachwycie. Zupełnie jakbym zobaczyła je pierwszy raz w życiu. Bawią się. Śmieją. Rozmawiają ze sobą. A ja chłonę każdą chwilę, jakbym chciała ją zatrzymać w pamięci. Zanim znów zasnę.

W moje ręce wpadła książka *Bezmatek*⁵⁷. Kupiłam ją ze względu na tytuł. Jeszcze dobrze się nie rozczytałam, a już na ciele mam gęsią skórkę. *Droga do matki była zamknięta, przynajmniej dla mnie, a do tego padało*⁵⁸. Zastanawiam się, jaka jestem w oczach moich dzieci. Zwłaszcza w oczach najstarszej córki. Czy też odgradza ją ode mnie szlaban? Matka moich dzieci też maluje. Chciałam napisać ważną myśl.

Nie będzie myśli.

Syn woła z łazienki.

Córka chce chrupki.

Moje myśli spłynęły do kanału.

Mogę tylko pisać.

Traciłam dużo czasu, gdy inni żyli.

Moje czytanie przypomina scenę z filmu *Dzień świra*.

Zaczynam jedno zdanie.

— Pomożesz mi?

Powracam do zdania, ale zanim przeczytam, szukam, w której to właściwie linijce znajdowało się przerwane zdanie. Mam. Zaczynam znów.

L: Co to jest?

Ja: Ariel

L: Ariel?

Ja: Tak. Syrenka Arielka.

Gdzie było to zdanie. Mam.

L: A czy nie ma takiego Metalionsa? Jest. Gapa ze mnie. Ariels jest.

Szukam zdania. Jest...

⁵⁷ M. Marcinów, *Bezmatek*, Wołowiec 2020.

⁵⁸ Tamże, s. 49.

J e s t e m z m ę c z o n a
c o d z i e n n o ś c i ą .
C o d z i e n n y m
u b i e r a n i e m s i ę
w m a t k ę , k i e d y
j a c h c ę p o p r o s t u
m a l o w a ć .

A co, jak nikt nie zechce moich garnków?



Łóżko piętrowe spełnia oczekiwania moje i moich dzieci. Nadal. Po roku użytkowania okazało się jednak, że na dziewięćdziesiąt dziewięć zalet ma jedną ogromną wadę. Rzekłabym, lawinową! Kiedy starszy brat, który śpi na górze, nagle o drugiej w nocy poczuje mdłości, zarzyga siebie, swoje łóżko, swoją pościel, a także dolne łóżko nadal śpiącej i niczego nieświadomej młodszej siostry, pościel siostry, samą siostrę oraz dywan i jego przyległości w obszarze dwóch metrów.

Rozbryzg z górnego łóżka piętrowego jest potężny. Gdy już wyda ci się matko, że wszystko ogarnęłaś wzrokiem, rękoma, głowoma, szyjoma i stopoma, wyszorowałaś dywan, stolik, straż pożarną pozostawioną po zabawie przy łóżku, przebrałaś pościel wraz z materacami i nadal niczego nieświadomą siostrą, która mruczy słodko przez sen i nie przeszkadza jej przenoszenie, przebieranie ani smród wymiocin, przez który sama masz ochotę zwrócić to, co zjadłaś za dnia, okazuje się, że twoja bosa stopa wdeptuje w kawałek niestrawionego żółtego sera. Z kluseczkami.

Pralkę włączasz o trzeciej w nocy. Bo już syn poczuł się lepiej, bo wypił kilka łyżek herbaty i zasypia w twoim łóżku, w czystej pościeli. Boisz się, że gdy znów zrobi mu się niedobrze, będziesz miała powtórkę z rozrywki. O nie! W twoim łóżku niżej, bezpieczniej. Stawiasz *balinkę* – jak nazywa balijkę, czy raczej miskę plastikową, twoja najmłodsza pociecha – pod łóżkiem, dokładnie tak, jak robiła to twoja mama. Tak. Suniesz wspomnieniami do tego dnia, gdy z siostrą i kuzynkami nażarłyście się niedojrzałych mirabelek. To zdecydowanie nie był sezon. To zdecydowanie była długa noc. Mama podtykała balijkę. Zieloną z kanciastymi rączkami. Twoja *balinka* jest koloru ecru. O kształcie bardziej obłym, a uchwytach wtopionych w całość. Mama parzyła miętę. A ty z siostrą tak na przemian. Raz góra, raz dół. Podziwiałaś ją, że nie brzydzi się waszych wymiocin. Dopiero gdy zostałaś matką, zrozumiałaś, co czuła.

Zatem twoje łóżko. Twoje łóżko i męża. Bo śpicie razem w pokoju z dziećmi. Są małe. W razie pobudki czy takich tam wymiotów. Wiadomo. Jest nisko. Ucierpi jedynie pościel i twoje ciało. Doskonale pamiętasz, jak spałaś z najstarszą córką dziesięć lat temu, a ona zwymiotowała wprost na twoją głowę.

Pralka chodzi, a ty lypiesz oczami po pokoju czy gdzieś jeszcze nie czai się jakiś niechciany wymiot. Chyba nie. Wyszorowałaś już wszystko. Dwa razy. I to

ten cholerny dywan, który tak strasznie się odkurza! Taki miał być ładny, miły i nowoczesny. W trójkątne wzory.

Kładziesz się, po cichu omijając śpiącego syna. Położyłaś go od strony podłogi, by jednak ocalić głowę. Nie gasisz lampki, choć światło przeszkadza ci zasnąć. Czuwasz.

Pralka zasygnalizowała koniec prania. Wsuwasz się z łóżka, dreptasz do łazienki i wyciągasz mokrą i pachnącą pościel. Wpychasz do środka bębna kolejną partię zabrudzonych rzeczy. Sterta obrzyganych poszew, piżam, poduszek i przytulanek leży demonstracyjnie na podłodze. Włączasz pranie i postanawiasz jednak się zdrzemnąć. W pokoju jeszcze raz monitorujesz kąty, doglądasz nadal śpiącej córeczki i wracając do łóżka, gdzie chrapie wymęczony synek, w końcu gasisz lampkę.

Zapada ciemność, choć masz wrażenie, że już świta. Przed zaśnięciem dotykasz jeszcze czoła dziecka. Nie jest rozpalony. To dobrze. Byłe do rana.



Dziś postanowiłam zrobić coś, co już dawno zaprzętało moją głowę. A że akurat 14 października jest dniem moich urodzin, zaspokojenie tego pragnienia tym bardziej wydało mi się uzasadnione.

Jakiś czas temu kupiłam piękny turkusowy materiał w koliberki z myślą, że odświeżę *look* moich starych poduch na oparcie do narożnika. Materiał przyszedł, przeleżał swoje, bo przecież nie można tak od razu, tak gwałtu retę. Tym bardziej, jeśli ma się dzieci. To musi poczekać, pomyśleć, zadomowić się. Musi przyjść głód działania tak wielki, że ani wrzask skaczących dzieci, ani wybuch bomby atomowej nie odwiodą od postanowienia. Tak. To dziś. Teraz.

Wyciągnęłam starą maszynę do szycia, którą odziedziczyłam po babci. Identyczną ma moja mama. Dawno temu pokazała mi, jak nawijać nitkę, jak uzupełnić bębenek, jak opuścić stopkę, jak kręcić pokrętłem i w końcu jak nacisnąć pedał, by panować nad prostym ściegiem. Uwielbiałam pstrykać światelkiem. Moje dzieci też to lubią. Wyciągają paluszek i wciskają na okrągło biały przycisk po prawej stronie, aż zwrócę im uwagę, że spalą mi żarówkę. Moja mama tak mówiła. W ogóle powtarzam jej słowa jak zaklęta. Nawet głos moduluję przy tym tak samo.

Rozłożyłam materiał na podłodze. Dzieciaki czekały w gotowości. Bo przecież muszą pomagać. Dopilnować, by wszystko poszło mi gładko i szybko. Wymierzyłam, rozrysowałam, rozkroiłam, a potem pospinałam szpilkami. W odpowiednie partie dołożyłam watolinę. By nowa poszewka była miękka. Profesjonalna. A. okrzyknęłam asystentką od szpilek. Spodobały jej się ich wielkie kolorowe główki. Miała za zadanie podawać mi je albo wbijać w kawalek styropianu, gdy ich już nie potrzebowałam. Robota pochłonęła ją tak bardzo, że po pewnym czasie sama musiałam podbierać jej szpilki. Budowała z nich kolorowe wzory i nie miała czasu na jakieś tam asystowanie. L. ciągle dopytywał, kiedy on będzie mógł szyc. Jak skończy. Powtarzałam. I byłam taka zadowolona. Że ona z tymi szpilkami, on ze swoim pytaniem, a ja już trzeci pokrowiec obszywam. Taka jestem. Taka ogarnięta. Właśnie obchodzę urodziny. Jedną ręką szyję, drugą wycinam, trzecią wpuszczam i wypuszczam kota, oczami pilnuję A. i jej szpilek, głosem uspokajam co dwie minuty L., a nogą naciskam pedał, by wszystko hulało. Jeszcze tylko wszyć zamki, przeciągnąć na prawą stronę, założyć na poduchy i pozwolić dzieciom kolejno przeszywać różowy materiał, który niegdyś był koszulką ich starszej siostry. Będą pamiętać. Mamę, maszynę, opuszczanie stopki i naciskanie pedału z wyuczuciem. Tak jak ja pamiętam.

Poprawiłam koc na narożniku i z dumą ułożyłam poduchy. Moi mali asystenci od razu wskoczyli, by wypróbować czy wygodnie. Za ich plecami widniały trzy piękne, turkusowe poduchy z uroczyimi koliberkami.

Głowami w dół.

Nie przyszło mi do głowy, że kierunek ma znaczenie.





I am a Mother
olej na płótnie, 38 x 46 cm
2021

Matka to jakieś uniwersum. Odkąd mam dzieci, łapię się na tym, że nie jestem już sobą. Stałam się moją własną Matką.

I wcale nie chodzi mi o wygląd, choć rzeczywiście jestem do niej bardzo podobna. Mam na myśli ton głosu, ruchy, a nade wszystko HASŁA!

Będąc swoją własną Matką, staję się matką uniwersum. Przemawiam głosem wszystkich matek, a moje córki i synowie znają na pamięć te pełne teatralności oświadczenia.

Nie muszę ich cytować. Każdy wie, o co chodzi.

Będąc nastolatką i obserwując moją Mamę, nigdy nie sądziłam, że patrzę na samą siebie. Jej westchnienia, gdy bolała ją głowa lub była zbyt zmęczona, są doskonałym odzwierciedleniem moich zachowań. Jestem jak Ona. W żartach, w powadze, w ruchach i trosce.

Drapię moje dzieci po plecach, bo sama kokosiłam się na Mamy kolanach w poszukiwaniu pieścizot. Uwielbiałam, gdy mnie masowała. Używam dziwnych neologicznych zdrobnień i wypowiadam je w taki sposób, że słyszę Jej głos. Gdy się zamyślam, identycznie zaciskam wargi.

Stałam się matką.

Liczę do trzech!

Dla mojej nastolatki jestem starej daty. Nie nadążam. Jak to *boomer*. Taki *krindź* ze mnie. Jakaś stara i spowolniona przy tej mojej rezolutnej córce. Muszę wygugłować, co to *bejziki* i *niezły sztos*. Nie dogonię jej. Zresztą po co? Jestem swoją Matką. Muszę co nieco postękać i ponarzekać sobie. Matki już tak mają.

Dla maluchów wciąż jestem jedyna i ukochana. Tyle że jeszcze bardziej stara. Stara mama.

Ja: Adusia jesteś niegrzeczna!

A: Ale ja chcę być grzeczna. Mogę być grzeczna? Proooszę!

To nie. Tamtego nie. A do dupy!

Głodnemu chleb na myśli. W 2016 r. zetknęłam się ze słowem IMAGINE-SKOPIA. Zaintrygowało mnie brzmienie, jak i to, co oznacza. Moja wyobraźnia, odkąd tylko sięgam pamięcią, nie znalazła ograniczeń i była rozhasana jak kuleczka w grze *Pinball*, w którą grywałam jako dziecko.

Nie zaspokoila mnie notka w Internecie. *Fikcyjna nauka o poszerzaniu wyobraźni, wymyślona przez autora wydanej w 1977 roku nakładem Wydawnictwa Literackiego książki Stanisława Moskala „Wstęp do imagineskopii”*⁵⁹. Nie zaspokoil mnie opis. Musiałam nabyć własny egzemplarz i osobiście zapoznać się z najważniejszym przyrządem do badania i poszerzenia wyobraźni. A jako że książki traktuję bardzo poważnie, z wielkim namaszczeniem wyobrażałam swój egzemplarz, zastanawiając się, która okładka zwiastuje początek książki, a która jest jej końcem. Negatyw i pozytyw mieniły mi się w oczach. Obie strony mogły być właściwe. W pewnym momencie przestałam obracać książkę i patrząc się na czarne tytułowe litery, otworzyłam ją. Na skrzydle okładki został umieszczony w eliptycznym kształcie portret naukowca Jeremiasza Apollona Hytza oraz fragment *Wstępu do imagineskopii*.

Dlaczego napisałam, że głodnemu chleb na myśli? Pierwszym, co przykuło moją uwagę, było zdanie zawarte w cudzysłowie. W mojej głowie wybrzmiało ono:

Każdy SMUTEK ma swoją przyczynę.

Zasepiłam się. Jeszcze nie zaczęłam czytać, a książka intrygowała mnie bardziej niż mogłam się spodziewać. No tak. Każdy smutek ma swoją przyczynę. To prawda. Nie mogłam ruszyć dalej. Moje myśli kurczowo uczepiły się zdania, które jako pierwsze przyciągnęło mój wzrok, choć pierwszym wcale nie było. Człowiek nie smuci się z byle powodu. Zawsze jest przyczyna. Kobieta nie wpada w histerię ot tak. Coś w niej musi narastać, kotłować się tak długo, aż nie jest w stanie utrzymać się wewnątrz. Wrze. Kipi. Rozrywa od środka. I nie jest to szaleństwo, obłęd wariatki, której pomieszało się w głowie albo i w dupie, bo jest kobietą. Jak przywykło się twierdzić, histeria jest kobieca. Słabość jest kobieca. Przecież ma wszystko. Szczęście jak z obrazka. Dom, męża, dzieci, a ona taka sfrustrowana, znudzona monotonią codzienności. I winna. Obarczona. Zła matka do tego. I gospodyni. Bo krząta się w kółko, zamiast zrobić coś konkretnego. Chodzi, przestawia, dekoruje pustkę.

⁵⁹ <https://pl.wikipedia.org/wiki/Imagineskopia> [dostęp 16.06.2022].

Te wszystkie żarty, opasle i puste w środku tomiska z cyklu jak zrozumieć kobietę. Te niewydarzone gęby pełne pogardy i mądrości, że baba to ewentualnie po pięćdziesiątce by mogła. Kiedy estrogeny przestają działać. Smutek ma swoją przyczynę. Oblęd ma swoją przyczynę.

Zerknęłam na okładkę po drugiej stronie. Skrzydełko zawierało kod kreskowy oraz notkę dotyczącą autora, Śledzia Otrembusa Podgrobelskiego. Całość umieszczona do góry nogami. Sugerująca, że źle patrzę na książkę. Wybrałam dobrze. Przypadkiem zatrzymałam obracanie w odpowiednim momencie. Wróciłam do początku. I gdy już doszłam do ogólnej refleksji, gdy moje myśli rozbiegły się od jednego punktu niczym rysy na rozbitej szybie samochodowej, ponownie spojrzałam na treść umieszczoną na skrzydełku tej niewielkiej książki.

Każdy SKUTEK ma swoją przyczynę.

Tak tam jest napisane. SKUTEK. Po prostu SKUTEK. I niby niewiele się zmieniło, bo i smutek jest skutkiem z przyczyną na przedzie, a jakąż burzę wywołał w mojej głowie.

Maselniczka roztrzaskała się pod naciskiem mojej dłoni. Nie rzuciłam nią. Odłożyłam tylko. Może zbyt wyraziście. Grube szkło z Jasła roztrzaskało się na kawałeczki. Miałam w sobie tyle złości, że rozleciałaby się nawet sama huta, gdybym znalazła się w jej pobliżu. Przestraszyłam się. Nie chciałam niczego zniszczyć. Nie chciałam wpadać we wściekłość. Moja biedna maselniczka.

Matka nie jest robotem?

Nie mogłam krzyczeć. Bardzo długo. Nie miałam odwagi oszaleć. Bałam się sąsiadów, bałam się rodziny. Co by powiedzieli? Nie mogłam tak po prostu pewnej nocy wybiec z wrzaskiem nago na ulicę, jak te wszystkie szczęśliwe żony od Betty Friedan⁶⁰ i czekać, aż mnie osądzą. Wytknął palcami. Mój krzyk utknął w patelni. Obudziłam się *Ja*.

Zdolności są naszymi potrzebami.

Rzeczy, których nie wolno wiedzieć – to co na zewnątrz, jest odbiciem wnętrza.

⁶⁰ Zob. *Bycie panią domu staje się zajęciem pełnoetatowym* [w:] B. Friedan, *Mistyka kobiecości...*, s. 305–331.



Skin to skin
olej na płótnie, 120 x 80 cm
2021



MATKO DZIECIOM, GDZIE TWOJE PRAWA?

Jestem z pokolenia, które słuchało swoich rodziców, a teraz słucha własnych dzieci. Pokolenia obciążonego wieczną odpowiedzialnością i musiem dostosowywania się.

Jako dziecko biegałam z dyndającym na szyi kluczem zaczepionym na sznurku jutowym. Musiałam odpowiadać za swoje zachowania. Wywiązywać się z obowiązków szkolnych i domowych oraz pamiętać o zamykaniu drzwi na klucz. Dwa razy przekręcić góra, dwa razy dół. Szarpnąć za klamkę, by upewnić się, czy aby na pewno drzwi zostały zamknięte. Zrobić krok w tył, zatrzymać się, sprawdzić jeszcze raz. Mózg nie pamięta mechanicznych czynności. Trzeba mu pomóc.

Moje pokolenie jako dziecko dźwigało odpowiedzialność. Bałam się, że zgubię klucz. Bałam się, że zapomnę zamknąć drzwi. Bałam się, że odpowiedzialność mnie zmiażdży.

Zawsze musiałam się dostosowywać. Nie miałam prawa wyrazić własnego zdania.

Moje pokolenie jako rodzic zdjęło klucz. Z szyi swoich dzieci. I przełożyło przez swoją głowę. Sznurek jutowy stał się powrozem. Odpowiadasz za dziecko. Za jego bezpieczny powrót ze szkoły, za bezpieczny pobyt w domu, za oceny, zadania domowe, za jego obowiązki, za jego prawa, za jego zachowanie, za jego bunt, za jego doskonalenie się, za jego płacz i krzyk, za jego uśmiech i owszem. Wszystko jest i będzie twoją winą.

To ty odpowiadasz za jego wybuch agresji, to ty musisz nagiąć się do niego, bo jemu się należy, to ty masz być cicho, bo dziś dzieci nie ryby i głos swój mają. To ty się zamknij, niedobra matko! To ty sobie wsadź palce do dupy, a nie zabraniaj dziecku zaspokajając jego naturalną i wpływającą na dobry stan psychiczny ciekawość. To ty noś za niego wszystko, podpisuj, wypełniaj, sprzątaj, podawaj i czy chcesz czy nie – nikt cię o zdanie nie pyta – to ty jesteś dorosła. Wyedukuj się.

Wypełnij mu czas po brzegi. *Quality time*, nie jakieś tam pierdu, pierdu. Nie może się nudzić. Takie są wymagania systemu. Hiperdzieciocentryzm! Jesteś jego menedżerką, psycholożką i wykonawczynią narzucanych na ciebie poleceń. Dziecko ma wyrosnąć na przyszłego zwycięzcę. Na lidera. Masz stworzyć geniusza, inaczej nie osiągnie w życiu postawionych sobie celów. I to będzie twoja wina, jesteś matką.

Trenuj osobowość swojego dziecka jeszcze przed porodem. Musisz działać interaktywnie, a przede wszystkim z pełną profesją. Taki serwis wychowawczy. Spokojnie. Media pokażą ci wzorce. Nie ograniczaj się, a już na pewno nie ograniczaj dziecka. Niech wejdzie ci na głowę, a ty z uśmiechem tłumacz mu regulki wykute na pamięć. Przecież świat jest taki piękny, mieszkania takie czyste, obiad zawsze pachnący i smaczny, a matka (spełniona żona, gospodyni i kobieta sukcesu) z idealnym makijażem i boską figurą pozuje do zdjęcia. Ostry z niej zawodnik. Ma wszystko pod kontrolą. W pełni funkcjonalny, zorganizowany projekt⁶¹.

Nie ociągaj się. Zapewnij ful wypas atrakcji i zajęć dodatkowych. Jaka z ciebie matka, że nie masz siły? Że właściwie chciałabyś. Co byś chciała? Nie słysz! Siedź cicho, a raczej biegaj wokół dziecka, bo wszyscy patrzą ci na ręce. Oczy eksperckie. Cokolwiek robisz, wiedz, że patrzą.

Zerkasz z lękiem na nawarstwiający się sznurki jutowe na swojej szyi i czujesz, jak cię duszą. Duszą, wytykając ci błędy, które popełniłaś i których jeszcze nie. Pouczają na każdym kroku, podważają twoje decyzje. Czujesz, że co byś nie zrobiła, zawsze będzie źle. Biegniesz za innymi, ale dogonić nie możesz. Zawsze są z przodu. Idealne matki, zorganizowane, ze swymi idealnymi dziećmi.

Jeśli jesteś z mojego pokolenia, stoisz w kącie, z kluczem na twojej niewidocznej już szyi i właściwie to czujesz się bezradna i zagubiona jak dziecko, którym byłaś.

Po prostu wszystko robisz źle. Nie wierzysz? Wytknę ci. To, to i jeszcze to. Robisz źle, bo jesteś matką. Z mojego pokolenia.

Patrzysz przed siebie, szukając jakiegokolwiek punktu, by zaczepić swój wzrok, by nie błądzić, napędzając tylko strach. Ale punkt przeskakuje jak zajączek na ścianie. Ktoś bawi się lusterkiem. Czujesz jak wzbiera w tobie złość,

⁶¹ por. S. Urbańska, *Naturalna troska o ciało i moralność...*, s. 49–69.

opadasz z sił, bo nie masz ochoty się bawić. Chcesz krzyczeć. Ale nie potrafisz. Bo jako dziecko ci nie wypadalo. Zawsze musiałaś być cicho. Krzyczy za to twoje dziecko. Żeś taka, żeś owaka, że wszyscy dookoła mają rację. Krzyczy i puszcza na ścianie zajęczka, byś skakała i robiła to, co ci każe.

Nie możesz przestać. Przecież jesteś matką.

Drań cię za sznurki, ciągną w różne strony. Nie krzykniesz. Nie możesz. Nie masz prawa. Inaczej wezmą cię, rozszarpia, skonsumują z oburzeniem i internetową specjalizacją z psychologii dziecięcej i młodzieżowej. Specjaliści, którzy cię obserwują baczny okiem. Specjaliści z założonymi rękami. Nie masz praw. Nie masz własności. Oddajesz wszystko dziecku, bo nie może czuć się gorsze. To wpłynie na jego poczucie wartości. A ty przecież nie chcesz, by było zakompleksione, by nie wierzyło, że może wszystko, by stało gdzieś w cieniu jak ty.

Stoisz nad zlewem, zmywając naczynia. Nie pamiętasz, którego dziś mamy.

Wynosisz garczek po garczku. Takie bardziej obtłuczone. Wynosisz i chowasz po kątach, by już ich nie zmywać. Nie zastygają nad nimi zdziwiona.

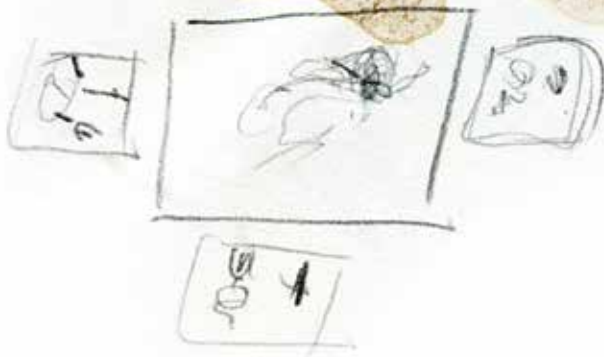
Ciężko ci się poruszać. Zaczepiasz sznurkiem o meble w domu. Siłą rzeczy cofasz się na miejsce. Stopniowo przestajesz wychodzić. Nie chcesz ryzykować. A jeśli nagle zatli się w tobie jakiś mały impuls i zechcesz działać, to i tak nie możesz. Twoja przestrzeń się kurczy. Z każdym kolejnym krokiem. Nie wiesz, czy usiąść, czy stać tak na środku. Nie wiesz właściwie nic.

Dzieci ze sznurków zrobiły skakankę. Przy każdym ich skoku odczuwasz ból. One się bawią, śmieją. Oddychasz, dostosowując rytm wdechów do ich szarpnięć.

1) obraz - my taniecy, huznapey ni ze
nce, poli u Mishima



2) obraz - ja slubow - leny
woko + dno ze rzhic cam



Jestem tak zmęczona, że skroluję FB bez opamiętania i nie mogę zdążyć.

Najbardziej brakuje mi spokoju. A właściwie myśli, które pobudzone ciszą, rozrastają się w mojej głowie niczym bluszcz albo woskowiec hoya z mnóstwem różowych kwiatuszków, które płaczą intensywnie pachnącymi łzami. Dokładnie takie hoduje moja mama. Narzeka na zbyt mocny zapach. Zwłaszcza wieczorami. Pędy pną się po suficie wzdłuż rozciągniętych sznurków zaczepionych o haki po huśtawce dziecięcej, na której dawno temu bujałam małą M. Pnącza krzyżują się na środku. Mama przycina lodygi, gdy z pokoju robi się minidżungla. Dba, by liście nie były zakurzone. Każdy kwiat w jej domu ma piękną doniczkę, świeżą ziemię i odpowiednie miejsce w mieszkaniu. Mama panuje nad ładem i pokojem.

Mi brak jednego i drugiego.

Dwa lata temu mama podarowała mi sadzonkę hoyi, ale roślina skuliła się w sobie i ni to uschła, ni po prostu wycofała się z dalszego życia. Na dziwniejszej lodyżce pozostał jeden liść. Nie potrafię jej wyrzucić. I nie tylko dlatego, że posadzona jest w pięknej doniczce, ale nie do końca jestem pewna, co się właściwie z nią stało. Uschła? Nie uschła? Wypuści jeszcze liście? Podda się, zrzucając ten jedyny?

Mam wrażenie, że zamarła na chwilę. Przysnęła. Że czeka na lepszy moment, by znów zacząć żyć. Nie przestałam jej podlewać. Czekam, aż się ocknie. Czuwam cierpliwa.

Moja mama jest królową panowania. I opanowania.

Mi brak jednego i drugiego.

Drę się co wieczór, że dzieci zbyt intensywne, gdy czytam im książkę.

Przerabiamy twórczość Astrid Lingren. Przypadła im do gustu. Była już *Pippi*, był *Emil z Lönnebergi*, a teraz przyszła kolej na *Dzieci z Bu-bu*, jak to mówi L. Nieprawda! Oburza się A. To *Dzieci z Bullerbyn*. Akcentuje. Wertuję kilka kartek do przodu, by sprawdzić, jak długi jest rozdział.

Moje dzieci, a zwłaszcza najmłodsza, taka *Dzidzia Bu-bu*, wiją się po pokoju podczas czytania, jak ten bluszcz. Nie potrafię ich okiełznać. Zdzieram gardło, prosząc, ostrzegam, że zaraz sobie pójdę i nic już nie będę czytać. L. kwiczy, że przecież słucha. A. wytrzeszcza oczy i pędzi do łóżka i tak jest co wieczór. Powtarzam te same słowa, że to bez sensu, że ja nie czytam dla siebie,

że mają się położyć i grzecznie słuchać. Zmieniają się tylko książki i rozdziały. Zamienili się łózkami. Mój ton głosu pozostaje taki sam.

W ten sam sposób, co wieczór, zaczęłam moją mamę, by nie wychodziła jeszcze z pokoju, w którym leżałam w łóżku razem z moją siostrą. Mama stała przy drzwiach, trzymając dłoń na włączniku światła. Jedna noga wędrowała już poza próg. Marzyłam, by z nami została. Przeciągałyśmy jej wyjście, jak długo się dało. Mamo, mamo! Wymyślałyśmy absurdalne pytania, by tylko ją zatrzymać. Udawałyśmy, że czegoś chcemy, że mamy do niej sprawę, ale nie mogłyśmy niczego konkretnego wymyślić. Gdy mama traciła cierpliwość, a dłoń już prawie wciskała kontakt, by zgasić światło, jedyne, co przychodziło nam z siostrą do głowy, to pytanie, czy jutro kupi nam paluszki. Każdego wieczoru. Paluszki. Tak. Odpowiadała z uśmiechem. Przeciągle. Lekko zirytowana. A my wiedziałyśmy, że zaraz zniknie za drzwiami, a jutro znów będziemy ją zaczepiać, by choć sekundę dłużej pozostała w naszym pokoju, zanim po raz enty zapytamy, czy kupi nam paluszki. Jakby te paluszki miały nas zbawić.

Siedzę wieczorami w pokoju dzieci. Nie muszą pytać o paluszki, żelki, czy co tam przyjdzie im do głowy. I gdy kończę czytać rozdział, wiem, że i tak będą mnie chciały zatrzymać. Tulę enty raz pod rząd jedno i drugie. Mówię dobranoc. Przeciągle. Z lekką irytacją w głosie, gdy znów muszę je tulić. Ostrzegam, że jak wyjdą z łóżka, to już się nie wrócę. Zostawiam zapaloną lampkę. I znikam.

Zanim pójde się myć, nasłuchuję chwilę za drzwiami, czy będzie dziś cicho. Choć przez chwilę. By zebrać myśli. By mój woskowiec się ocknął. By nie wylazić spod prysznica, bo któreś zapragnęło choćby paluszków.



obiekty z cyklu *MaMalarka*
olej na patelniach, (2 x) 25 x 44 cm
2022

Ciężko uwierzyć, że to listopad. Wszystkich Świętych. Za oknem słońce świeci jak w maju. Wybrakowane złote liście na drzewach zdradzają, że to nie wiosna. Kołyszą się na wietrze i opadają. Bezwładnie lecą w dół. Tak po prostu. Wolne i ciche.

Smażę naleśniki. Miały być z miłością, a mną szarpia nerwy. Przez te patelnie wszystkie. Właściwie nie wszystkie. Kiedy jestem zła, mam tendencję do uogólniania. Wszyscy źli, wszyscy mnie denerwują, wszyscy przeciwko mnie.

Jestem wściekła na jedną. Naleśnikową. Co była wspaniała, ale coś się wydarzyło pod moją nieobecność i patelnia nadaje się do kosza. Cisnęłabym nią z całej siły. Tak, żeby zmanifestować swoje oburzenie. Ale jestem matką, dzieci biorą ze mnie przykład, a w dodatku nie chciałabym zniszczyć czegoś przy okazji. Sama sobie. Zabieram patelnię do pracowni. Usmażę na niej swoją złość. Swoje rozczarowanie.

A liście kołyszą się. Na wiosnę wyrosną nowe. Będę na nie patrzeć podczas smażenia naleśników. Cykle splatają się ze sobą. Lubię smażyć naleśniki.

Stoję nad kuchnią, jest mi coraz bardziej gorąco, zerkam za okno na jesienne krzaki, liście dryfują tak spokojnie, słucham płyty Nicka Cave'a i ogólnie jest dobrze. Ale nie dziś.

Dziś moje naleśniki przywierają do każdej patelni, którą wezmę.

Nie uogólniam. **Chcę się wściec!**

Patrzę na pokurcze ułożone na talerzu. Stos brzydactwa rośnie, a mnie coraz bardziej wszystko jedno. Miało być tak pięknie. Tak równo i smacznie. Dzieci zupy nie zjadły. Bo pierwszy raz od dawna postanowiłam nie robić zupy-kremu. Ble–ble–ble. Wszystko ich gryzie w podniebienie. Ba! Wszystko ich kłuje w oczy. Wszystko. Bez wyjątku.

Zjedz przynajmniej tyle łyżek, ile masz lat. Samą wodę wysiorb. Cokolwiek.

Taki tam świąteczny obiad. Z zupą, której dzieci się nie czepiły, i z naleśnikami, które zbyt mocno czepiały się patelni. Będzie po czym malować. Patrz na liście. Rzucają się w dół. Spokojnie. Bez nerwów. I tak po prostu. Święto zmarłych patelni.

Jako dziecko chronicznie cierpiałam na bezimienny niepokój. Chciałam skakać, ale miałam wrażenie, że coś spętało mi nogi. Chciałam śpiewać, ale wokół wymagano ciszy. Głos uwiązł mi w gardle i nie próbowałam nawet krzyknąć. Zadreęczało mnie jakieś niemożliwe do zidentyfikowania nienasycenie.

Paraliżowała mnie melancholia. Lgnęłam do mamy, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Siadywałam w kuchni na taborecie ozdobionym wyszydelkowaną z zielonej i kremowej włóczki poduszką i wsadzałam palce w duże oczka, przez które widać było żółtą gąbkę. Lubiałam ją skubać, gdy mama nie patrzyła. Nudziło mi się, więc wylam, a mama zajęta krzątaniem się po kuchni wyliczała nic niewnoszące rzeczy, które mogłabym robić. Umierałam z tęsknoty za czymkolwiek. Nie pasowało mi nic, co mówiła. Nie pasowała mi ta wizja świata.

Jej cierpliwość mnie onieśmiela, gdy dziś o tym pomyślę. Czy wylaczała się wtedy? Wiem, że tak można. Stosuję ten trik, nawet jak czytam dzieciom książkę. Moduję głos, podział na role pierwsza klasa, ale potrafię myśleć zupełnie o czymś innym.

Byłam grzecznym dzieckiem. Zgadzałam się na wszystko. Jestem grzeczną mamą. Polykam słowa. Wybuchają we mnie.



obiekt z cyklu *MaMalarka*
olej na emaliowanej miednicy, 40 x 40 cm
2020

Zapiski nie mają końca. Nie zamierzam nawet udawać, że kiedyś uznam (odważnie, otwarcie), że zapelniałam wszystkie kartki i jakimś górnolotnym stwierdzeniem obwieszczę finał. Nie wiem nawet, którą opowieścią powinienam rozpocząć? Którą zakończyć? Może najprościej? Chronologicznie? Od eseju MaMalarki? A czytać to już można jak się chce. Po swojemu. Tam, gdzie trafi kamień, a właściwie palec, tam można zacząć. Taka *gra w klasy*. Z małej litery. Nie napiszę numerów stron, jak Cortázar. Bawcie się sami.

Będę zapisywać kolejne zeszyty. Irytować się i cieszyć na przemian. Kiedy ja to poskładam? W przerwie? Jakiej przerwie. Moje dzieci mają wbudowany czujnik na mamę. Wystarczy, że pomyślę, by przemknąć gdzieś w ustronne miejsce, syreny już wyją.

Może wieczorem? Nie, wieczór brzmi jak w samo południe. Nocą? Tak, bliżej dwunastej. Tylko czy wtedy będę miała siłę?





13.06

Leon, 2021 mešne i lete priž preuz, ma.me u kosku Boba-B

Wcale nie zamierzałam malować. Okoliczności nie sprzyjały. Najmłodsza ma katar, więc przedszkole odpada. Nie miałam ochoty się szarpać sama ze sobą. Weszłam tylko tęsknie do pracowni. Zaczęłam obracać przygotowane płótno.

— Dlaczego tak ciągle to macasz? – zirytowała się M.

Macam, bo macam. Wszystko tym dzieciom przeszkadza! Macam, bo bym chciała, a nie mogę. Pomacam chociaż.

Wyciągnęłam farbę i postanowiłam zrobić szybki szkic. Miałam na sobie ładną koszulę i ulubione spodnie – przecież nie będę malować. Wyjęłam pędzel, tak na chwilę, to czas ze mnie zadrwił. Kojarzyłam tylko jak dzieciaki wymieniają się w mojej pracowni i rozsypują puzzle.

Ulubione spodnie na udzie mają wielką żółtą plamę. Nawet nie wiem, kiedy się wysmarowałam. Szare mydło i schną na kaloryferze. A. w końcu zasnęła, a L. musiałam wynieść, bo zasnął przy mnie na fotelu.

Najlepsza jednak była mina M. tuż przed północą. Weszła do pracowni. *Zielone włosy mojej córki*. Tak z początku określiłam ten obraz. Prawie gotowy. Może już nie będzie mówić, że czuje się jak ta druga córka Kochanowskiego?

Ja: Jak po angielsku jest pierworodna?

M: ...

Ja: Primary born?

M: Prima Aprilis

Nie umiem dogonić swojej M. Zanim ukończę jej portret, ona już tak nie wygląda.

Minął dokładnie rok. Nie sądziłam, że nieukończony obraz wisiał tyle na ścianie. Musiał odczekać. Na swoją kolej. Zamiast wisiorka domalowałam oko. Oko matki. Żeby patrzyło za nią. Żeby strzegło.

Podoba jej się. Zwłaszcza to oko. Intensywnie namacalne. Dobrze, a namalujesz mnie tak, jak wyglądam teraz?



Oko Matki
olej na płótnie, 60 x 80 cm
2022

Ja mówiłam, żeby posprzątała. Ona, żebym wyszła z pokoju.

Wymiana zdań trwa już piąty tydzień. Każdego dnia wynoszę resztki jedzenia na zdziczałych talerzach i kilka gramów kurzu na spodzie swoich skarpet. Mówiłam, żeby posprzątała. Ale każe mi wyjść. Jest nad wyraz konsekwentna. Trzeba jej przyznać.

Czasami zastanawiam się z przerażeniem, czy moja nastoletnia córka przypadkiem nie jest oblakana albo choć opętana przez jakieś piekielne moce.

Miau jeden dwa trzy miau dziękuję! Zaśpiewała mi piosenkę, wydobywając z siebie grube dźwięki zadowolenia, z samego jądra ziemi.

W czasie e-lekcji M. zrobiła sobie make-up zgodnie z instrukcją filmiku na *YouTube*. W razie gdyby kazano włączyć jej kamerkę. Tak powiedziała. Tylko że jej kamerka od ponad roku zaklejona jest kawałkiem kartki i taśmy przezroczystej. Nie działa i już.

Ostatnio znalazła przepis na mrożoną kawę. Pomimo tysiąca rozmów, że nie powinna pić kawy w tak młodym wieku, ona z czułością uciera proszek rozpuszczalnej z dwiema łyżkami gorącej wody i dwiema kopiastymi łyżkami cukru. Coś tam potem dodaje, dolewa wody i wędruje zachwycona do swojej pieczary. Za każdym razem wiem, że i co robiła. Co więcej, wiem, w którym miejscu ucierała te swoje kuperwasy. Wiem, gdzie ucierała i ilu użyła do tego narzędzi. Zostawia ślady. Za każdym razem. A ja biegnę do jej pokoju, oświadczając, że wiem. Matki zawsze wszystko wiedzą. I widzą wszystko! Potem wracam grzecznie. Sprzątanie mnie nie ominie.

Jeśli M. ma dobry humor, podtyka mi kubek, właściwie to słój, w którym pije swoją miksturę. Nie powiem, nie jest zle, ale nie lubię mrożonej kawy. Mimo to podtyka mi tak często, aż jestem na granicy wytrzymałości. Inaczej ma się sytuacja, gdy nie jest w humorze. Nie śpiewa wtedy piosenek, nie podtyka słoja, a na moją prośbę, by posprzątała po sobie w kuchni, zabija mnie wzrokiem, mówiąc: wyjdź z pokoju. Wychodzę. Zabieram ze sobą pod skarpetką kilka ziarenek słonecznika, prawie zaschniętą farbę z paneli i garść kociej sierści, która fruwa nad podłogą od paru tygodni.





She and herself
olej na płótnie, 80 x 120 cm
2021

Nie mogę wyjść z kuchni. Od półtorej godziny myję naczynia, a dzieciom zachciało się jeść. Parówki. Gotuję im. Podaję. Nie przestaję myć. Zjadły. Talerze ociapane ketchupem zostają na stole. Mąż stabilnie wsadzony na krzesło dba o stabilizację za ścianą. Muszę zmienić wodę, bo wygląda jak gnojówka. Wyciągam kurek. Chcą kakao. Gotuję mleko, ucieram kakao z cukrem, łączę składniki. Zanoszę dzieciom. Mam kolejny brudny garnek, kubek i jedną łyżeczkę, małą. Nie przestaję myć. Jestem zmęczona. Pamiętam, że muszę wysłać e-mail i zastanowić się nad obrazem.

Chciałabym już wyjść z kuchni, ale pozostało mi jeszcze sporo brudnych naczyń, poza tym dzieci wypily kakao i trzeba umyć kubki, wytrzeć stół i umyć najmłodszej buzię i ręce, bo zaraz wytrze się w koc. Biały. Kiedyś był biały. Starsze sobie poradzą z myciem, ale trzeba im przypomnieć.

Świeża woda nalana. Odmierzam kropelkę płynu, by starczyło mi na wszystko. Zapomniałam dopisać do listy zakupowej. Jutro trzeba pamiętać. Nie przestaję myć. Najstarsze dziecko zrobiło się głodne. Patrzy na mnie, czy już umyłam patelnię, bo chce usmażyć sobie jajecznicę. Lubi na maśle. Z cebulą, pomidorem. Bierze patelnię ze ścierki – na suszarce już dawno nie ma miejsca, patelnia leży oparta o garnek na trzeciej rozłożonej ścierce – robi sobie jedzenie. Nóż, deskę do krojenia, nóż pileczkę oraz patelnię wrzuca do zlewu, z którego parę sekund wcześniej wypuściłam wodę, umyłam i odeszłam. Popiskuję drżącym głosem. Ratunku. Jest mi duszno i wiem, że nie umiem wyjść z kuchni. Że to się chyba dziś nie wydarzy. Najstarsza patrzy na mnie zdziwiona. Jej czoło wyraża skomplikowane myśli. O dziwo, myje patelnię, wlewając sporo płynu, którego jest już na dnie i szoruje patelnię, deskę i jeden nóż. Ten duży. Wychodzi, zabierając ze sobą talerz z pachnącą jajecznicą.

Podchodzę do zlewu. Wyciskam tłustą, pieniającą się gąbkę i myję jeszcze dwa małe widelczyki, dwa talerze ubabrane w ketchupie, nóż pileczkę, a na końcu i zlew.

Jest mi duszno. Jeśli jeszcze któreś wejdzie do kuchni, to wybuchnę. Kuchnia ma jedno wyjście. Ciasny prostokąt, przez który nie potrafię wyjść. To jest wejście dla mojego męża i moich dzieci. Oderwał się od ważnych informacji. Od stabilnego krzesła, stabilnego biurka i ważnych, stabilnych ważności. Wchodzą i zarządzają umyтыми przeze mnie naczyniami. Widzę jak stos na ścierkach zmniejsza się. Kłuje mnie w mostku. Wiem, że muszę wyjść, bo inaczej komuś stanie się krzywda. Mam szorstkie, wysuszone dłonie. Ale bardziej

niż kremu potrzebuję precyzyjnie się przez te pieprzone drzwi. Kręcą się po kuchni, deptają jeszcze nieumytą podłogę, wdychają zapach świeżo wypucowanych naczyń.

Przy ścianie znajduje się stolec. Nie służy do siedzenia. Jest niestabilny. Po prostu go tam postawiłam, bo ładny. Lubię ładne rzeczy. Ale mam ich za dużo wokół siebie. Przygniatają mnie swoim pięknem. Przygniata mnie moje szczęście. Biegam więc wokół tego stolka i przestawiam wszystko raz tu, raz tam i zupełnie nie widzę w tym sensu. Rzeczy, z którymi nie wiem, co zrobić, kładę na ładny stolec. Rzeczy do prasowania, pudełko z butami, moja torba, zabawki, które zawędrowały do kuchni, opakowanie foliowe, puste wymyte kubeczki po danonkach, które trzeba wyrzucić do odpowiedniego worka, ale worek znajduje się na tarasie, a z jednym kubeczkiem i opakowaniem foliowym nie chce mi się wychodzić na zewnątrz. Niestabilne krzesło robi się po prostu niestabilne. Stos rzeczy unicestwia jego piękno.

Włączam więc żelazko. Wyprasuję ubrania. Odczekały odpowiednio. Czas na nie. Prasuję tylko ciuszki moich dzieci. Muszę mieć nastrój, nie lubię tkwić nad deską do prasowania. W dzieciństwie prasowałam tylko haftowane chusteczki wygotowane w krochmalu, mama nic innego mi nie pozwalała. Nie umiem prasować skomplikowanych krojów, nie–chcę–nie–lubię–nie–będę! Dziecięce ciuszki są małe, więc znośne, nie mam w zwyczaju prasować koszul mężowi. No tak. Prasuję, a poskładane w kosteczkę dziecięce ciuszki odkładam na fotel.

Fotel stoi przy krześle. Jest to tzw. *fotel klubony* z czasów PRL. Uwielbiam go. Jest piękny. Tkwi w kącie w kuchni i mało się na nim siedzi. Mało, ponieważ często jest zawalony stertą poskładanych w kosteczkę ubrań, których nie zdążyłam zanieść do odpowiednich szafek. Zdarza się, że leżą na nim również czapki, rękawiczki, szaliki i pełno zabawek. Fotel tkwi w kącie, na wprost wyjścia do przedpokoju. Poręcznie jest zatem wrzucić na niego wierzchnie ubrania, gdy przychodzi się z zewnątrz.

Wyjście. Przeciskam się przez drzwi, piszcząc na wdechu, że jeśli ktoś mnie zatrzyma, to nie ręcę za siebie.

Dostrzegam w przelocie swoją twarz. Jestem piękna. Taka wkurwiona. Naturalny róż na policzkach, efektowny błysk w oku. Cienie *pod* zamiast *nad*. Mijam lustro w przedpokoju, pod którym jest zbyt dużo przedmiotów. Nie wiem,

gdzie je przelożyć. Biorę te, co już prawie spadają i rzucam na fotel. Zerkam na swoje odbicie. Moja nowa grzywka sterczy do góry, zamiast ładnie się układać w dół. Jestem. Wieczorem umyję włosy i może jutro nie będzie tak źle.

Jeszcze tylko parę kroków i dotrę na schody. Cisza jest blisko. Pooddycham rytmicznie. Wdech i wydech. Nie odwrócę się, bo zginę. Nigdy nie patrz za siebie. Doskonale pamiętam tę bajkę z dzieciństwa. Słyszę krzyk najmłodszej. Biorę niepełny wdech. Taki nieśmiały. Oczywiście dostrzegła, co chcę zrobić. Dopycham jeszcze więcej powietrza, zupełnie jakbym chciała ulecieć po tych schodach niczym balon. Zatyka mnie w mostku. Mąż łapie najmłodszą. Coś tam mówi, że dajcie tej mamie spokój, a ja tylko wdycham i wdycham. Nie odwrócę się, choćbym się wypukła.

Cisza. Spokój. Powietrze ze mnie uszło. Jestem zbyt zmęczona. Posiedzę chwilę i wrócę. Dziś nic z malowania nie będzie.



Dzika Matka
olej na płótnie, 60 x 80 cm
2022

Każda moja ciąża pozostawiała we mnie niewidoczne na pierwszy, a nawet na drugi rzut oka ślady. Coś w rodzaju zewnętrznych wlepek, tyle że ciężkich. Ołowianych. Jak niechciany zawieszony brud na palcach po zabawie z klejem polimerowym. Im bardziej chcesz się go pozbyć, tym bardziej traci błyszczącą transparentność. Ale odczepić się nie chce. Wlepki były małe i przezroczyste. Nawarstwiały się systematycznie, zupełnie jakbym przy każdym ruchu przyciągała je z najdalszych zakamarków. Rosła na mnie ich skorupa. A skoro niemowlę skupiało na sobie całą moją uwagę, nawet po urodzeniu trzeciego dziecka nie zauważyłam, że jestem obklejona już praktycznie na całym ciele. Nie zauważyłam, choć zgniatały mi żebra. Bardzo namacalnie. Przylegały do mnie tak ciasno, że z trudem było mi się poruszać. Nie poruszałam się więc. Nasączały mnie strachem. Szarym i okurzonym. Matowym. Bo strach jest matowy. Szary i brudny. Pierwotnie błyszczący jak wypolerowane lustro. I tylko dlatego, by boleśniej uwidocznili tłusty odcisk palca. Z premedytacją ci go wypomnieć przy byle okazji. O tu. Tu jest.

Wdychałam w siebie ten strach, zaciągając się każdego dnia głębiej. A im głębiej się zaciągałam, tym bardziej oblepiający mnie pancierz przenikał na wskroś do mojego wnętrza. Był mną.

Mną poruszał. Po wyznaczonej przez siebie niewielkiej przestrzeni. Nie dał spać w nocy. Za dnia przeklejał obrzydliwe wlepki, ciukając ich stwardniałymi brzegami prosto w moje oczy. Piekły mnie spojówki. Piekła mnie skóra oblepiona zbyt dużym ciężarem. Zgubiłam się w środku, skuliłam, przywykłam. Nie byłam w stanie dostrzec swojego odbicia w lustrze. Widziałam jedynie odciski, zamazy i klejsty brud. Matową taflę z białymi kropkami po paście do zębów. Nieodkurzony dywan. Nieumyte naczynia. Nieugotowany obiad. Niedopilnowane dzieci. Nierówno rozłożony koc na sofie. Prul się brzegiem. Dywan zresztą też się prul. I uszyta przeze mnie firanka. Szara lamówka odpruła się dołem i szargała po brudnej podłodze tuż koło drzwi balkonowych, gdzie odpadał próg. Codziennie go poprawiałam, a on i tak na złość mi robił, co zechciał.

Dzieci na złość mnie nie słuchały.

Na złość mnie ssaly częściej niż powinny. Moje piersi. Które już nie były moje. I choć lubiłam je karmić, lubiłam tulić, to gdzieś po drodze już mnie nie było. Oblepiono mnie od stóp do głów. Sztywność karku ograniczała ruchy. Bałam się najmniejszego gestu. Bo co, jeśli skinę ręką i ta ręka, sztywna

taka, rozpadnie się na moich, nie moich już oczach? Bo co, jeśli zechcę wstać i upadnę, a upadając, będę upadać tak w nieskończoność i już nigdy nie dotknę ziemi? Kto nakarmi moje dzieci, kto poprawi koc i próg przy balkonie? Kto mnie wyjmie z tej skorupy, która zrosła się ze mną już na dobre?

Coś się do mnie przykleiło. Regularnie z każdym dniem oblepiało całe moje postrzeżenie. Ciężyło mi. Ograniczało ruchy. A wystarczyło wziąć dłutko, podwadzić odpowiednio, a resztę zeszkrobać. Jak brud na palcach po kleju polimerowym, który najpierw zmatowieje, ale w końcu się wykruszy i odpadnie, pozostawiając czystą skórę.

obiekt z cyklu *MaMalarka*
olej na desce do krojenia
20,5 x 32 cm
2022



II noc w domu 7/8.06.

21¹⁸ - 21²¹ - karmienie 3 minuty

- Kupka -

- spi do 23³⁰ (ponad 2 h)

23³⁵ - 41 - cyrul 7 nut (kr sam - p)

23⁵⁴ - 53 - cyrul długi (L) 2 min

0:00 - 2²⁵ spi

22²⁷ - 29 - 2 min I peri. (L) - Kupka

24⁴ - 54 - 10 min II peri. (p)

3⁰⁰ : 5⁰⁰ spi (2 godziny)

5⁰⁵ - 5¹⁰ - I cyr - 5 nut

5²⁵ - 5³⁵ - II cyr - 10 nut
Kupa, lram

5⁴⁰ - 8⁰⁰ spi

12 minut jedzenia
od 8⁰⁸ - 9⁰⁰

9⁴⁵ - 11³⁰ spanie - rybnikiem me karmienie

5 minut z lewego i spi dalej, nawet p.

Jedzenie

data start pa

6/7. spanie
jedzenie

7/8 spanie 21:
jedzenie 3 min

8/9 xorypta 22³⁰

2 jedzej
peri. ty

9/10 budny 23:05
15 min z l. peri

10/11 19 kopiel
+ karmienie
len
do 23¹⁴ 1 p.p

11/12 20-23⁰⁰ | 0²
19 kopiel

12/13 22⁰⁰ - 23³⁰ |

mpomni NOCE

2-3		5-6	
23:20 ⁰⁰	3:52 ²⁵	6-8 ⁰⁵	
2-3		5 ²⁵ -6	
21-23 ³⁰	0:00-2 ²⁵	3:50 ⁰⁰	5 ⁴⁰ -8
11 min, 12 min, 15 min			
1 ⁴⁸	2 ³⁰ -5 ⁰⁰	5 ⁴⁹ -7 ¹	
1 ⁴⁹ -2 ⁰³	I pierś 5m	11 minut	
(14 min - 1 p.l.)	II pierś 5m	1 pierś	
23 ³⁰ -0 ⁵²	2 ⁵⁰ -4 ²⁰	5 ⁰⁰ -6 ³⁰	
	1 p.	4 ³⁰ - pobudka	
0:00-1 ⁰⁰	2 ⁰⁰ -4 ⁰⁰	4 ⁰⁰ -5 ⁰⁰	5 ⁵⁵ -7 ⁰⁰
p.l.			
1 p. pobudka			
0-2 ⁰⁰	2 ⁴⁰ -4 ⁰⁰	4 ³⁰ -6 ⁰⁰	
0 ⁰⁰ -2 ³⁰	2 ⁵⁰ -4 ⁰⁰	4 ¹⁵ -5 ⁰⁰	5 ¹⁵ -6
			6-7

Czytam *Polki na Montparnasionie*⁶², kiedy kot skacze na klamkę drzwi wejściowych. Brutalnie zaburzył mój spokój. Niechętnie odkładam książkę i gramolę się spod koldry.

W pokoju obok A. wyjada z zielonego kubka żółte kuleczki kukurydzy.

Czuję odrealnienie chwili. Jakby mnie ktoś wyrwał ze snu. Byłam w Paryżu, cały wiek temu. Czulałam stęchłą kamienicę.

Wychodzę do przedpokoju. Otwieram kotu. Trzask zamka otrzeźwia mnie.

⁶² S. Ziętek, *Polki na Montparnasionie*, Warszawa 2021.

patelni nie powinno się zbyt intensywnie szorować, a już na pewno nie druciakiem

nie wsadzać do zmywarki

zwłaszcza tych z teflonu

trzeba muskać delikatnie miękką stroną gąbki

cackać się z nimi jak z noworodkiem, żeby nic nie uszkodzić, nie popsuć

nawet jeśli się przypali

moczyć

moczyć

moczyć

broń Boże nie szorować

Nie powinno się szorować patelni druciakiem! Nigdy. Nawet jeśli jest zbyt uparta i trzyma brud każdą cząsteczką polimeru!



obiekty z cyklu *MaMalarka*
rysunek druciakiem na patelniach teflonowych
(2 x) 25 x 44 cm, 2022



*Nasze prawo – to radość istnienia,
A nie martwa cierpliwność kamienia,
A nie wieczna za śmiercią tęsknota!*⁶³

Przepychanka.

Pomiędzy moim szczęściem a szczęściem twoim.

Spełnieniem matki, nie– matki spełnieniem.

Ja wiem lepiej, **bo mam**.

Ja **nie mam**, dlatego mam i wiem.

Lepiej **niż** ty.

Według swojego życzenia mam trójkę u boku. Nie myślałam nawet, że nie mieć mogę. Czasami więc myślę, czysto teoretycznie, jakby to było, gdybym nie miała jednak. Ile bym miała, gdybym nie miała. I czy miałabym rzeczywiście?

Po kieszeniach upycham czas. **Dla siebie**. Wykradam go to tu, to tam i chowam w kieszeni swetra. Kieszenie nieduże. Sweter wełniany zaś ma duże oczka. Czas ulatnia się niezauważony. W zwyczajnym dniu.

Przepychanka.

Ustawia mnie brutalnie po jednej ze stron. Spełniona, bo matka? Czuje się **winna**, choć czuć nie powinnam. Że mam i przez to czegoś nie mam. Że zaciskam zęby, gdy kieszeń jest pusta i zastanawiam się, jak pełna by była, gdybym nie miała.

⁶³ M. Pawlikowska-Jasnorzewska, *Prawo nieurodzonych*, „Wiadomości Literackie” 1932, nr 32, s. 7.

czwartek 12-14

242

Ale mam. Cały bagaż skrajnych emocji. Od radosnego wrzasku, że mam część siebie, po pisk wnętrzości, że nie mam, a właśnie teraz, teraz mieć chciałam.

250
251 ✓
253
254
255
260

Mdło mi się robi, jak słyszę te wszystkie statystyki i wzory.

Przepychanki,

wyliczanki,

szablony

jak jest mieć albo nie mieć.

Potykam się o nie, o te palce napięte, co sterczą i wytykają jaskrawo świecące nie-spełnienia. Pomiedzy moim szczęściem a szczęściem twoim. Spełnieniem matki, nie-matki spełnieniem.

Pozwalam lecieć moim garnkom z szafek. Bez opamiętania. Z hukiem.

Opowiem ci o garnku. O patelni.
Zacięłam się. Zawisłam w próżni.
Pomiędzy.

Gotuję w starych garnkach, przekazanych mi z rąk do rąk przez inne kobiety. Naczynia są zniszczone. Brzydkie. Do niczego. Te wszystkie ślady. Odrapania. Odpryski. Trzymam je, bo tak trzeba. Wyciągam z szafek. Układam w równym rzędzie. Przyglądam się, jak leżą.

Pochylam nad nimi głowę i słucham ich historii. Ani drgną. Milczą, choć doskonale słyszę ich głos. Warzy się w nich codzienność. Ciągły ich ruch. Moczenie, wrzucanie, bulgotanie, syczenie, wylewanie, mycie, wycieranie, spadanie, upychanie, wyciąganie, wrzucanie, bulgotanie, kipienie. Między nami trwa napięcie. Cisza jest tak intensywnie głośna, że rozsadza mi bębenki.

Nie wsadzę tych garnków więcej do szafki. Niech wyleci z nich historia.

W moim domu będą moje naczynia. Wybiorę ich kształt, wielkość, kolor i materiał. Zakupię przez Internet. Nie będę nic musiała. Jeśli nie zechcę.

obiekt z cyklu *MaMalarka*
olej w garnku, 28 x 21 x 12 cm
2022

Moje noworoczne postanowienie? Przestać chomikować! Będzie bardzo ciężko. Już to wiem. Póki co, jeszcze trzy dni Starego Roku. Gromadzę garnki w mojej pracowni, zaglądam do nich, godzę się, że zastąpię je nowymi.

Ten garnek spadł mi tyle razy, że prawie jest w nim dziura.

Lubię w nim wypłukaną emalię. To szare dno. Takie piegowate. Dwa odpryski. Kolor. Musztardowy. Przypalony dołem jak biszkopty z mojego piekarnika. Podobają mi się rysy (niczym trawa na rysunku dziecka) spływające po ściankach w dół.

Gotowałam w nim zazwyczaj ziemniaki, małe porcje zupek-kremów, żeby dzieci nie wydlubywały warzyw, i makaron, od czasu do czasu.

Nie kupiłam go. Dostałam. Używany. W komplecie trzypak, od największego do najmniejszego. Wiem od kogo i wiem kiedy.

Głaskam go pędzelkiem i ściskam. A on wibruje. Nieskończoną ilością dotknięć.





Od czasu do czasu jestem przybita. Tracę zbyt dużo energii na szczęście.



Robótki ręczne
olej na płótnie, 70 x 100 cm
2019

Umysł napomina mnie do pracy, ale ciało zdecydowanie odmawia posłuszeństwa. Nie mogę ani odpocząć, ani zmusić się do jakiegokolwiek wysiłku. Choćby intelektualnego. Czuję irytację. Potężną irytację, złość i bezradność w jednym. Jestem tak bardzo zmęczona. Ogarnia mnie strach przed zmarnowaniem czasu. Nie mogę. Naprawdę nie mogę się ruszyć.

Leżąc zawinięta w koldrę jak krokiet, usiłuję dać odpocząć ciału. Uciekłam z dala od dzieci. Mam ich dość po całym dniu zabawy. Właściwie miałam dość już po godzinie. Wieszaly się po mnie, targały za sweter, cały czas ode mnie coś chciały. Wywalily wszystkie zabawki z pudeł, które tydzień wcześniej z nimi segregowałam. Megaklocki z zielonego dużego pojemnika na kółkach z żółtą pokrywą pękniętą przy boku, mniejsze klocki z rattanowego kosza *curver ecru*, lego, języki, klocki wafle z mniejszych pudełek. Chciały się wozić. Wyglupiać. Chować i wyskakiwać. Oczywiście z mieszanym akompaniamentem krzyku i śmiechu, bo zamknął mnie w środku, bo moje to było, bo wozisz mnie teraz ty. Nawet na podwórko z nimi wyszłam. Zostawiając cały ten rozpirz. Na chwilę. Niech się nacieszą. Choć zima jeszcze i błoto i śnieg tyle co stopniał. Już wtedy czułam, że sił mi brakło. Tak bardzo nie miałam ochoty stać i patrzeć, jak skaczą na brudnej trampolinie. Spod butów odpadła im ziemia i podskakiwała wraz z nimi. A oni pac. Tylko zbierali cały brud z siatki. Było mi zimno i samobójczo. Wbiłam się w ziemię. Jak maszt. Zesztywniałam, łapiąc–niełapiąc wiatr. Żeby tylko się położyć. Wziąć książkę. Odpocząć.

Nie czuję radości z czytania. Popędzam raczej w myślach linijkę za linijką, zapewniając samą siebie, że jeszcze tylko kawaleczek. Dam radę. Wciągnę się albo zasnę.

Gubię wątki. Nasłuchuję co chwilę, czy dzieci nie przypomniały sobie o moim istnieniu i zamiast bawić się grzecznie przy ojcu, nie ścigają się na schodach, kto pierwszy znajdzie mamusię. Marzną mi stopy, wystające niczym źle dopchany farsz. Pal ichto z książką. Ze snu także nici. Mąż przyniósł do pokoju śpiącego syna. Zasnął na siedząco, choć jeszcze siódmej nie ma. Odwijam koldrę, wsuwając zimne stopy do pantofli leżących przy łóżku. Czuję, że nie na te nogi. Nie chce mi się zmieniać. Dreptam jak dziecko w źle ubranych butach i pomagam mężowi. Syn śpi znów na górnym piętrowym łóżku. Naprawdę ciężko się go tam wsadza, gdy zasypia w locie. Przykrywam go kolderką, a on wzdycha słodko, tuląc do siebie misia. Zrobiło mi się lepiej. Gaszę światło i wychodzę z pokoju. Moje ciało odzyskało sprawność.

ZAPUŚCIŁAM PAZNOKCIE, ŻEBY ZDRAPYWAĆ BRUD ZE STOŁU

Nie powiedziałaś mi, że on zrobi pizzę, ale ja będę drapać pazurami przypalone blachy.

Nie powiedziałaś mi, że będę płakać tak długo, aż przestanę.

Nie powiedziałaś mi, że *co jutro na obiad* poskręca moje flaki, kończyny i dorobi mi zmarszczek nosowo-wargowych.

Nie powiedziałaś mi, że moje miejsce nie jest w kuchni.

Nie powiedziałaś mi, wyjedź, zobacz świat.

Nie powiedziałaś mi, że jest coś poza moim miastem.

Nie powiedziałaś mi, że oblepią mnie, uwiążą i nie będę mogła się ruszyć.

Nie powiedziałaś mi, że mogą inaczej.

Nie powiedziałaś mi, że długie paznokcie ciągle będą mi się zadzierać.

Nie powiedziałaś mi, że ryby i dorośli głosu nie mają.

Nie powiedziałaś mi, że w koło Macieju tak bardzo wkurwia.

Nie powiedziałaś mi, że obcięcie włosów lalce Barbie to właściwie nic.

Nie powiedziałaś mi, że nadmiar szczęścia nuży.

Nie powiedziałaś mi, że je się słonecznik, żeby się uspokoić.

Nie powiedziałaś mi, że trudno wychodzi się z domu.

Nie powiedziałaś mi, że wcale nie muszę.

Nie powiedziałaś mi, że reklamy na *YouTube* tak bardzo denerwują.

Nie powiedziałaś mi, że muszę mieć własny pokój.

Nie powiedziałaś mi, że mówię do siebie ze strachu.

Nie powiedziałaś mi, że *people they ain't no good*.

Nie powiedziałaś mi, że zmywarka nie załatwia sprawy.

Nie powiedziałaś mi, że będę patrzeć przez okno z tęsknotą za wolnością.

Nie powiedziałaś mi, że nic się nie zmieni i nadal będę czuła się jak dziecko.

Nie powiedziałaś mi, że nikt za mnie tego nie robi.

Nie powiedziałaś mi, że *zamigotał świat, tysiącem barn, tysiąc nowych pytań przywiał wiatr*.

Nie powiedziałaś mi, że w tłumie można być samotnym.

Nie powiedziałaś mi, że dobiegam czterdziestki.

Nie powiedziałaś mi, że krzaki trzeba przycinać, a mleczyki likwidować razem z korzeniami, bo sąsiedzi nie lubią *dmuchawców, latawców, wiatr*.

Nie powiedziałaś mi, że będę tęsknić za beztróskim dzieciństwem, za drabin-

kami, zabawą w chowanego i gumą do skakania.
Nie powiedziałaś mi, że moja dupa będzie zbyt ciężka, żeby biec przed siebie
ile tchu i że wysiądą mi stawy.
Nie powiedziałaś mi, że dzieci wejdą mi na głowę.
Nie powiedziałaś mi, że co rano czeka mnie sterta ciuchów.
Nie powiedziałaś mi, że składanie wypranych ubrań jest najgorszą czynnością
na świecie.
Nie powiedziałaś mi, że w koło Macieju to naprawdę w koło Macieju.
Nie powiedziałaś mi, żeby wszyscy dali mi święty spokój.
Nie powiedziałaś mi, jak krzyczeć, żeby ulżyło.
Nie powiedziałaś mi, że wszystko, dosłownie wszystko, może mnie tak bardzo
wkurwiać.

Nie powiedziałaś, bo paznokcie od ściskania pięści zbyt boleśnie wbijały ci się
w dłonie.
Nie powiedziałaś, bo nikt nie powiedział Tobie.
Rozprostuj je.
I powiedz.
Jak przetrwałaś, Mamo.



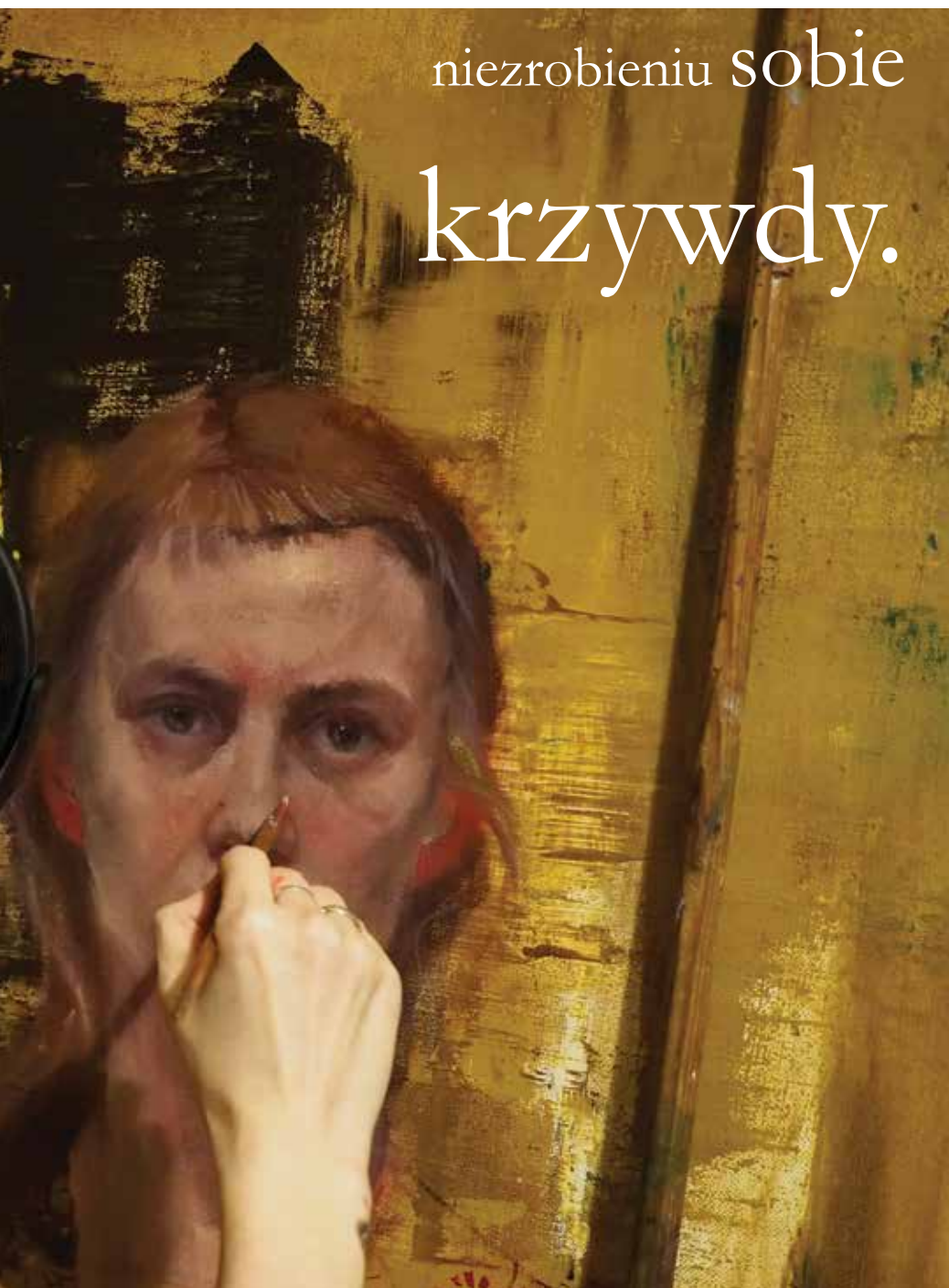
Nerwy do konserwy

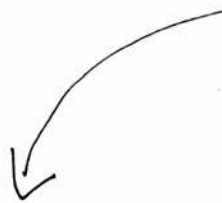


Malowanie sprzyja

niezrobieniu sobie

krzywdy.





czyli lektura ;)

L: Mamusiu, mi taka LEKTURA sprawia radość, więc będę sobie z niej konstruował.

L: Dam ci, żebyś mogła być troszeczkę w ciszy. Sama pobyc w ciszy. Zrobię zdjęcia. Namaluj jedno chociaż.

Bo ja chyba nie umiem już. Być w ciszy. Odwykłam od niej. Weszłam na stół, żeby włączyć radio. Kate Bush zaczęła śpiewać *Wuthering Heights*, a ja z wysokości wyobrażałam sobie, że zawiązuję pętlę na szyi i w rytm muzyki przewracam stół. Wiatr hula po wichrowych wzgórzach. Dyndam na sznurze. Bujam się przyjemnie, patrząc na zlew i myślę z błogim zadowoleniem, że już nigdy nie będę musiała myć tych cholernych naczyń.

A tak w ogóle to śniła mi się Julita Wójcik obierająca ziemniaki w Galerii. Spojrzałam na jej pracę na nowo. Uruchomiła we mnie tyle myśli, że napisałam w tym śnie esej na dwie strony, poruszając kwestię kobiet, mężczyzn, lupin od ziemniaków i Boga sypiącego mannę z Nieba. Żałuję, że nie da się zrobić *print screen* eseju ze snu. Byłybyście pod wrażeniem.

MaMalarka obiera ziemniaki, nucąc *S.O.S d'un terrien en détresse*. I nie czuje się świetnie. Brud wchodzi jej za paznokcie. Czarne hybrydy z połyskującym brokatem.

Cisza jest najlepszą porą na czytanie książek o sztuce. MaMalarka ma ciszę przed burzą.

Z nerwów zapomina słów. Nie mogąc przypomnieć sobie mowy, wydaje z siebie przeciągły dźwięk bezradności.

Szesnaście lat temu pewien malarz został zaproszony na plener w moim mieście. Ja i dwie moje koleżanki, młode dziewczyny, tuż po ukończeniu liceum plastycznego, nie mogłyśmy oficjalnie uczestniczyć w plenerze dla profesjonalnych artystów (organizator rękami i nogami odcinał się od przygarnięcia nas do grona zaproszonych), ale ów malarz – pedagog – zgodził się na udzielenie nam korekty. Dostaliśmy zaszczytu, aby móc przyjść do niego ze swoimi obrazami i poddać się jego krytyce. Nasze prace miały zawisnąć na osobnej wystawie.

Był młody wieczór, około godziny 18, kiedy zapukaliśmy do pokoju malarza. Nie wiem dlaczego, ale zapamiętałam jego niski wzrost, duże oczy i siwe rozwichrzone włosy. Czułam podekscytowanie. Mój obraz miał obejrzeć pedagog z ASP. To było coś.

Studiowałam wtedy filologię polską, więc ostrzegł mnie, żebym nie czytała za dużo, bo zamiast żyć, spotykać się z chłopcami, będę odpływała w fikcję literacką. Zdziwił mnie jego przytyk. Pierwszy raz usłyszałam, że czytanie to coś złego. Potem było już tylko gorzej.

Mój obraz, owszem, nie był dziełem sztuki. Przedstawiał pejzaż. Plener to plener! Wdrapałam się na dach garażu kolegi, by uwiecznić widok miasta. Wiał silny wiatr. Malowałam wzburzone chmury. Horyzont na obrazie zaznaczyłam bardzo nisko. Ziemia stanowiła zaledwie pasek z kilkoma domami o czerwonych dachach. Schyliłam się po farby leżące pod moimi stopami. Podmuch wiatru popchnął płótno. Polecilo na moje plecy. Farba olejna. No tak. Całą bluzę miałam w rozwichrzone niebo z obrazu.

Dobre nie? Jest szaleństwo! Skomentował organizator, który zaprowadził nas do pokoju artysty. Dobre, odpowiedział malarz, ale mogłabyś więcej poszaleć. Musisz malować tak, jakbyś miała jaja! Nawet jeśli jesteś kobietą. Obraz musi mieć jaja. Nie może być widać, że obraz namalowała kobieta.

Myślę o tym do dziś.

I niby rozumiem. Niby wiem, co chciał przekazać. Ale burzy się we mnie. Złe i słabe, bo kobiece? Bezjajeczne?

Profesor zmarł pięć lat temu. Słabo pamiętam jego malarstwo. Pamiętam *jaja*. Od tamtej pory staram się za każdym razem tworzyć tak, jakbym je miała.

Wchodzę do pracowni i zamiast fartucha zakładam *jaja*, wielkie jak kokosy! Ale przyszedł czas, że *jaja* zaczęły mi ciążyć.

Dlaczego muszę mieć *jaja*? Jestem kobietą. Do cholery! Wskoczyło ze mnie troje dzieci. Dlaczego nie mówi się: ona to ma *waginę*!

Adam Rzepecki to dopiero ma *waginę*! Wertuję *Praca kobiet nigdy się nie kończy*⁶⁴ i trafiam na wypowiedź Rzepeckiego, że nie ma czegoś takiego jak sztuka kobieca. *Albo jest sztuka, albo jej nie ma*. Sztuka może być tworzona przez kobiety, a nie kobieca czy męska. Bo właściwie jaka jest sztuka kobieca? Delikatna? Wrażliwa? Czy sztuka męska jest zatem silna i brutalna? Czy po dziele można poznać, czyja ręka je tworzyła? Czy piękna i delikatna kobieta nie może stworzyć mocnej sztuki?

Rzepecki, tworząc *Projekt pomnika Ojca Polaka*, przyjmuje rolę kobiecą. Czy ta praca pozbawia go *jaj*? Czy przekracza granicę płci? Czy wcielając się w kobietę, obniża siłę swojej pracy, czy wręcz przeciwnie, jego *jaja* rosną!? Sam autor pyta, czy stworzył sztukę męską czy żeńską? Rzepecki odwrócił role. Umieścił się w sytuacji, w której nie mógł się znaleźć z oczywistych względów: nie jest w stanie urodzić dziecka i wykarmić go własną piersią. To *wagina* posiada moc sprawczą. Nie muszę się wstydić, że jestem kobietą.

Odrywam wzrok od książki i swoim zwyczajem popadam w zadumę. Wzrok mój przyciąga animowana pocztówka Iwony Demko wielkości 8x11,5 cm przypięta magnesem tuż nad moim biurkiem do tablicy suchościernic. Pochyliam głowę, *Ana-suromai* z różowymi włosami i sterczącymi piersiami podnosi ubranie, odsłaniając *waginę*. Prostuję się, różowa spódnica opada na powrót. Wpadam w trans. Przytakuje w rytm, jak moja mama. Północ–południe. *Ana-suromai* wachluje spódnicą góra–dół. Poducha-cipucha owulacyjna 7x8 cm, przypięta tuż obok, rozwiera i przyryka się, gdy składam jej pokłony. Jest piękna. Dostojna. Przybrana w koronę i różę na przemian. Zależy jak patrzeć. Hipnotyzuje mnie. To nie byle członek nasmarowany na kartce dla beki. Z *jajami*. Magiczne pocztówki dostałam razem z 53. numerem krakowskich *Wiadomości ASP*. Odpędzają zło ode mnie już dziesięć lat. Wzmagają urodzaj twórczy. I lubię tak się zamyślać. I potakiwać głową, by wprawić je w ruch rytualny. Siedzę i kiwam się, aż książka spada mi z kolan. I dobrze.

⁶⁴ *Praca kobiety nigdy się nie kończy*, Praca zbiorowa, Album do wystawy, Kraków 2013.

Trudności motywują do działania.
Miłość do dzieci bywa trudna.
Czasami nawet bolesna.

3-dniowy zapis fotograficzny zmieniających się kolorów siniaka,
podarowanego mi przez zbyt energicznie tulącą się A.



Pomyliłam dzieci. Zamiast moich słodkich pociech z przedszkola wybrałam rozwydrzone demony, które rozpelzły się wokół mnie, przyprawiając mnie o migrenę. Nie dziwne, że kiedyś kobiety wyzywano od czarownic i zarzucano im zjadanie dzieci. Sama miałam ochotę je pożreć jak Saturn, schować na powrót do brzucha, by choć na chwilę odzyskać kontrolę nad własnym życiem. Sama miałam ochotę tupać, obrażać się i wrzeszczeć na całe gardło, robiąc podziwowisko na środku ulicy.

L: Nie jestem mały. Duży jestem. Popatrz jak urosłem. Ważę sześć osiem pięć i nawet jedenaście metrów.

Kolano boli mnie od miesiąca. L. pchnął swoją siostrę, gdy siedziała na taborecie po przeciwnej stronie stołu. Lepiłam z nimi pierogi. Pchnął zbyt mocno. Spadała, a ja w locie próbowałam ją złapać. Mąką otrzepałam stolnicę, blond włosy dziecka, powietrze. Omijając nogi stołu, nie ominęłam nóg taboretu. Upadłam na podłogę, rozbijając sobie rzepkę. Nie pomogłam. Dołożyłam swoje.

Mam podbite oko. Fioletowa śliwa wypełnia mi łuk brwiowy. Dziecko radośnie skakało. Poczulałam skorupę swojej czaszki i pulsujący ból. Radosne dzieci. Przylepy biegające za mną krok w krok. Wlokące się za mną w podskokach.

Boli mnie kolano. Boli mnie łuk brwiowy. Boli mnie wnętrze, bo krew mnie zalewa.

Uwiera mnie w kolanie. Moje ciało zmienia kolory. Sztuka nieustannie przepłata się z życiem.



Tak jest z naszą przeszłością. Starać się ją wywołać – to stracony czas, wszystkie wysiłki naszej inteligencji są daremne. Ukryta jest poza jej dziedziną i poza jej zasięgiem, w jakimś materialnym przedmiocie (...) Od przypadku zależy, czy ten przedmiot spotkamy, zanim umrzemy, czy też go nie spotkamy⁶⁵.

Dzieci wielokrotnie uratowały moją zbolaną głowę. Wielokrotnie też napelniały smolistą pacią. Dźwigam się i leżę. Na zmianę. Faliście. Przypominam sobie. Zapominam. Odraczam niewygodne dla mnie myśli. I wspomnienia. Które jakoś tak niewinnie męczą. Są jak kropla wody, która kapie z kranu. Niby nic – coś tam, coś tam w tle – a co rusz, nie daje o sobie zapomnieć.

Przez wiele lat funkcjonowałam z nieszczelnym kranem w mojej głowie. Pogłos nienachlany jak *elevator music*. Czasami jednak stawałam w pół kroku, by nasłuchiwać, skąd pojawia się dźwięk. Uderzający i silny bodziec. Przewracałam oczami na wszystkie strony, by z zakamarków pamięci wydobyć odpowiedź. Nazwać to ulotne wrażenie, jakiego doznawałam, widząc mokre ślady kół pozostawione na ulicy czy chodniku. Mimo potężnej intensywności doznania, nie znajdowałam. Nie wiedziałam. Pojedyncze krople torturowały mnie wspomnieniem, którego nie potrafiłam określić.

Aż stałam się matką.

Te ślady były jak proustowska magdalenka. Ciastko maczane w herbacie. Wsadziłam dziecko do wózka i pewnego dnia zobaczyłam, że kółka pozostawiają na chodniku podłużne, stopniowo zanikające ślady. Był to słoneczny dzień, poprzedzony letnią burzą. Chodnik miejscami był jeszcze mokry. I kiedy koła wózka przejechały przez niewielką kałużę, po raz kolejny nie mogłam oderwać wzroku od opon, plamy i podłoża.

Kropla zawisła na czubku wylewki.

Nie skapnęła już.

⁶⁵ M. Proust, *W stronę Swanna. W poszukiwaniu straconego czasu*, tłum. T. Żeleński (Boy), Kraków 2021, s. 71.

To było moje wspomnienie z wczesnego dzieciństwa, gdy mama wozila mnie w wózku spacerowym. Lubila obserwowac kola, gdy toczyly sie po ubitej ziemi albo przejezdzialy przez kaluze, zostawiajac za soba mokra smuge na chodniku. Dotykalam czarnych opon, ktore brudzily mi paluszki. Mama ciagle mnie upominala. To byl wlasnie ten moment, ktory wryl mi sie w pamiec i przypominal o sobie za kazdym razem, gdy juz jako nastolatka jezdzilam na rowerze. Dziwnie znajome uczucie kotlowalo sie we mnie, a ja nie moglam skojarzyc, o co chodzi. Duzo czasu minelo, nim moj umysl pojal, dlaczego drze na widok mokrych sladow. Dopiero moje dziecko odblokowalo we mnie wspomnienia, poniewaz zadzialaly te same czynniki. Tamtego dnia cisnienie, jakie wytwarzalo sie w moim organizmie, zmusilo mnie do zatrzymania wozka. Czulam, jak czaszka mi wrze, a i tak potezna reakcja emocjonalna nie mogla znalezc wytлумaczenia. Cofnelam sie i przejechalam ponownie po kaluzy. Zobaczylam male koleczka dziecięcego wozka: czarne, okragle opony z wrytym wzorkiem, biale, plastikowe krzyzujace sie prety i moja mala raczke dotykajaca brudnego, kręcącego sie kola.

Mokre slady kol na chodniku. Mój Fenomen Prousta. Najsilniejsza emocja, ktora przetrwala do dzis w zupełnie niezmienionej formie. No, moze niezupełnie niezmienionej. W koncu wspomnienia sa plastyczne, a ja lubie dopowiadac. Slad kol jak slad pamieci zastygly w czasie. Pamietam dotyk, zapach wozka, nierownosci dróg i bicie serca. Pamietam. Uwielbialam siedziec w wozku ze zwisajaca glową. Ciekawe, co zapamietaja moje dzieci?



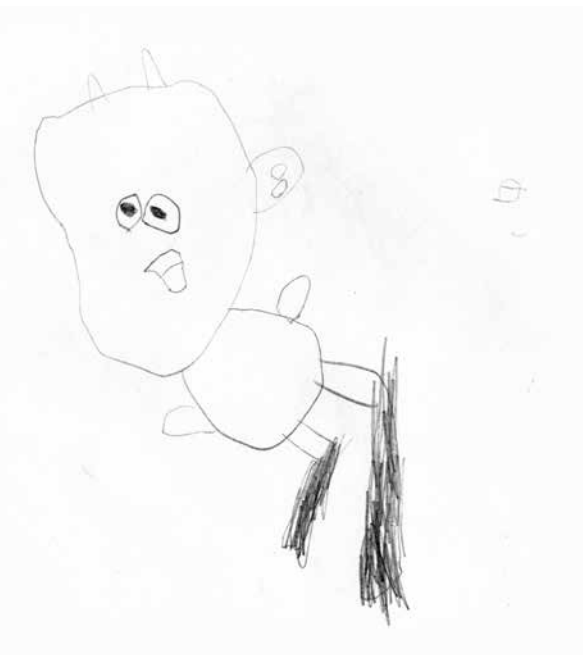
Nachodzą mnie myśli, złe myśli, że dzieci zapamiętają jedynie mój brak. Mój pobyt w pracowni na wieki wieków Amen. I nie ważne, że spędzam z nimi całe dni, że czytam im na dobranoc, gram z nimi w planszówki, w UNO, śmieję się niewymuszenie. Zapamiętają, że mama była zajęta. Malowała. Za niedomkniętymi drzwiami pracowni. Przyspawana do sztalugi, pachnąca farbami i nucąca sama do siebie Debussy'ego.

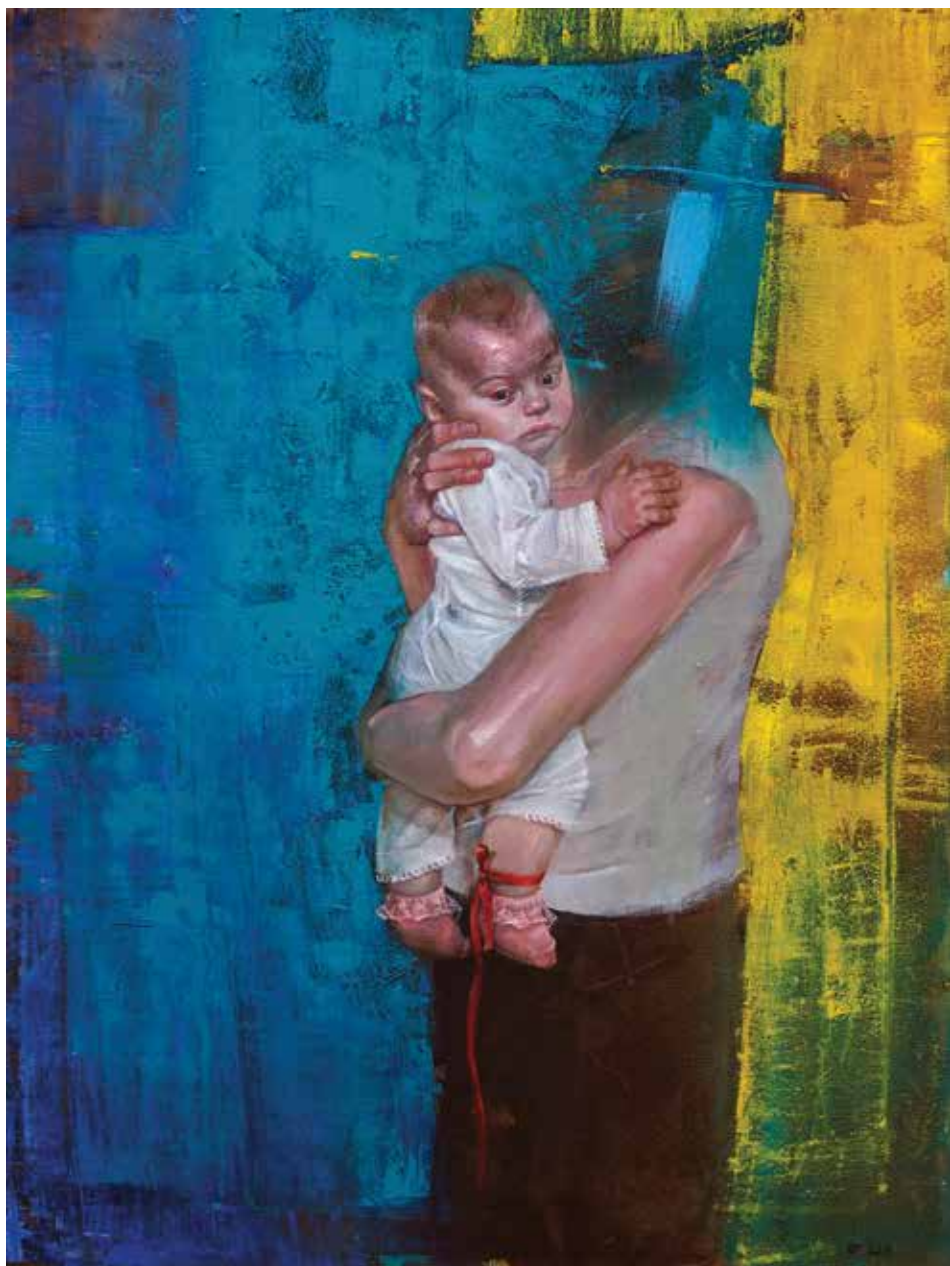
Z dzieciństwa pamięta się złe rzeczy.

Moja babcia przyjeżdżała do przedszkola na każde przedstawienie z okazji Dnia Babci i Dziadka. Ja pamiętam tylko to z IV grupy, kiedy się nie zjawiała. Tańczyłam krakowiaka z chłopcem o dużej głowie i zerkalam na nieznanome twarze obcych rodzin.

Po występie dzieci pobiegły do swoich babć i dziadków, a ja stałam na środku i nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Jakaś obca babcia – babcia Moniki – zaprosiła mnie do ich stolika. Byłam jej wdzięczna. Troszkę uśmierzyła mój smutek.

Nie pamiętam innych przedstawień, choć rzeczywiście widzę babci twarz w przedszkolu. Musiała tam być. Widzę jej krótko obcięte kręcone włosy, duże ciemne ramki okularów, elegancki kostium i poważną minę. Z pewnością przychodziła na przedstawienia. Wiem, bo mówiła. Dlatego mam złe myśli. Że moje dzieci zapomną o całej reszcie, a zapamiętają jedynie, że ich matka nie miała dla nich czasu.





Gusta
olej na płótnie, 60 x 80 cm
2019

Czasami zastanawiam się, co by było, gdybym nie miała dzieci. Albo miała przynajmniej jedno. Już wyrosnięte. Biegające za swoimi sprawami. Co mogłabym zrobić z tą ogromną ilością czasu? Jak wyglądałby mój dzień, kiedy nie musiałabym robić nic poza swoimi sprawami. Nikt by mi nie gędział, nie skakał po mnie, nie miał pretensji, nie oczekiwał nieustającej uwagi. O ile więcej mogłabym czytać, pisać, malować, zwiedzać czy choćby bez wyrzutu straty czasu oddawać się medytacji.

Nie musiałabym nerwowo lypać okiem na zegarek, że zbliża się trzecia, a ja jeszcze nie wykonałam zaplanowanych na dziś zadań, że trzeba biec do przedszkola, ogarnąć obiad, trening syna, naukę wierszyka wspomagającego wymowę *sz* i *cz*. Nie musiałabym działać jak robot i pracować, kiedy mogę, a nie kiedy chcę. Byłabym wolna. Skoncentrowana na sobie.

A fe.

Odrzucam myśli, bo nie wypada. Matce trójki dzieci tak gdybać! Rozmyślałam więc nadal, ale już z wyrzutem. Biczek taki wyimaginowany zawieszam nad sobą i ciach po plerach. Niech ma za swoje. A fe!

I nagle dnia pewnego mąż oznajmia, że jedzie na tydzień tam a tam, zabierze ze sobą maluchy, a ja mogę w ciszy i spokoju pobyc sama ze sobą i swoimi sprawami.

Rozglądam się chaotycznie na boki. Radość ze strachem kotłuje się we mnie. Chyba w brzuchu bardziej niż w głowie. Czekam z ekscytacją, nie mogę skupić myśli, co i ile zrobię. Cieszy mnie poranek. W sensie, że wstanę, kiedy wstanę. Tak pierwszego dnia, może i drugiego nawet. Żeby nie przesadzić. Będę jadła, kiedy zechcę, a jak nie zechcę gotować, to nie będę. W pracowni wręcz zamieszkałam. Będę malować na przemian z czytaniem. Wypiję sobie wino o północy. I muzykę puszcę na cały regulator. Nie będę chodzić. Będę płaszc. Artystycznie. Gdy wymknę się na bosaka, z lampką wina w dłoni, by wpuścić kota, który domaga się wejścia do domu.

Każdy mój dzień wypełnię pracą i relaksem po brzegi. Oddychać będę głęboko. Niech no tylko dadzą mi po calusie, a ja pomacham im na drogę.

Zaraz po zamknięciu drzwi przeżywam lekki szok.

Siadam na sofie, by się nie przewrócić. Dociera do mnie, że aby rozpocząć swój samotny tydzień, muszę doprowadzić dom do porządku. Tak więc sprzątanie. Biorę odkurzacz, sortuję zabawki, ze stołu zabieram to, co nie powinno leżeć na stole, czyli wszystko, ładuję zmywarke, nastawiam pranie, rozwieszam pranie, prasuję, myję, odkładam na miejsce. Zastaje mnie wieczór. Nie mam sił. Spokojnie. To dopiero pierwszy dzień. Będzie ich jeszcze sześć.

W nocy nie śpię dobrze. Koty jakby się zmówiły. Biegają na przemian, by ich wypuścić, by wpuścić, by głaskać, by tulić. Zastaje mnie rano. Jestem senna i marudna, nie umiem wziąć się do pracy, nie umiem się skupić, drzwi koloru niedojrzałego banana omijam z daleka. Uśmiecham się do znalezione-go w przedpokoju rysunku Ady. Spokojnie, masz dużo czasu. Włącza mi się krzątaństwo. Właściwie to chodzę w piżamie z kąta w kąt już trzecią dobę i nie potrafię się na niczym skupić. Dzień mija za dniem, a ja tak krążę sama nie wiem za czym i po co. Ostatniego dnia ogarnia mnie strach, że jutro wracają. Zaczynam działać. Maluję.

I kiedy wchodzi przez próg, kiedy widzę ich radość, kiedy muszę się nimi zająć, wracam do równowagi. Mam energię by pracować, mogę zająć się domem, mogę czytać, pójść na spacer, mogę po prostu być. Odpoczęłam.

To nie dzieci zabierają mi wolność. Sama ją sobie zabieram.





Saturn pożerający własne dzieci
olej na płótnie, 100 x 80 cm
2022



Kiedyś nie lubiłam niedziel. Bardziej kojarzyły mi się z *Gloomy sunday* niż oczekiwany dzień wypoczynku. Nic tylko liczyć godziny, aż minie. Nic tylko przeczekać.

Dziś obowiązują moje zasady. Odnajduję w takiej niedzieli swoją chwilę szczęścia. Biorę dzieciaki na ogród i nie pozwalam im zaniedzielić się. Nie pozwalam przede wszystkim sobie. Pomalowałam drzwi do pokoju słoneczną żółcią, by uśmiechać się sama do siebie, gdy przechodzę przez próg. Jest też niedojrzały banan na drzwiach do pracowni, jest i słońce w salonie.

W garnku niosę farby i pędzle. Zamalowujemy z dziećmi sporo płócien w ogrodzie. Suszą się na słońcu. (Nie)dzielnie. My dzielne. Łapiemy właśnie takie chwile. MaMalarka i jej świat.

Słońce. Maj. Cudownie.

Idziemy do lodziarni. L. zamawia babeczkę, A. rurkę z kremem, a ja loda o smaku jogurtu z mango. A. po zjedzeniu rurki zjada za mnie loda. Dbam o moją linię. L. strzela focha, bo chce drugą babkę.

Słońce. Maj. C-U-D-O-W-N-I-E...

Gra w klasy, fotografia 2021

poniżej: schnące obrazy po
wspólnym malowaniu, fotografia
w ogrodzie 2021

JA, TY, MAMALARKA



E. Obserwuję cię. Za 10 sekund wchodzisz na wizję. Ręka operatora kamery zawisła już w górze. Twoja córka schodzi z fotela, na który ją przed chwilą posadziłaś. Podbiega do ciebie. Zerkając na zastygniętą dłoń w górze, zastanawiasz się, czy zdążysz. Mała nie chce odejść. Już wiesz, że nie wróci na krzesło. Nie odklei się od ciebie, choć został już tylko jeden palec w górze.

Widzę twój spokój. Odpuszczasz. Dobrze wiesz, że tak będzie lepiej. Mała wtula się w ciebie, próbując wcisnąć się między ścianę a fotel, na którym siedzisz.

Jesteś silna. Wyglądasz tak pięknie. W czerwonej spódnicy w kwiaty. Mała kręci się u twojego boku. Niech tak zostanie. Wiesz, co robić. Twoja twarz jest łagodna. To ja drzę za ciebie. Tu, w środku. Siedzę na widowni. Operator cofa rękę. Dziecko wisi u spódnicy. Jest. Ale wcale nie przeszkadza.

Przeglądam się w tobie jak w lustrze. Stoję na środku sali tuż przy Burmistrzu. Mikrofon czeka na moje słowa. A Mała ma klejące rączki. Nie pójdzie sobie, choć publiczność patrzy. Wiem jak bardzo nie lubi czekolady roztopionej na palcach. Im bardziej bym ją odpychała, tym bardziej by była głośna i natarczywa. Dłoń operatora już dawno spoczywa na kolanie. Biorę Małą na rękę. Stara się mnie nie pobrudzić. Nie przeszkadza mi. Mówię do mikrofonu. Jestem silna.

K. Chciałaś coś powiedzieć. Tuż po emisji filmu, który reżyserowałaś. Ale Mała przykleiła się do ciebie i zaczęła tańczyć. Niech tańczy, w końcu o tym chciałaś mówić. O pogodzeniu ról, o odpuszczaniu samej sobie i nieprzejmowaniu się czymś, co właściwie nie ma znaczenia. Jedno nie wyklucza drugiego. Mała dopełnia obrazek. Wiesz, że naprawdę dobrze wyszło.

Schodzisz ze sceny razem z Małą. Wszystko jest dobrze. To był piękny widok. Twoja sukienka pobrudziła się od białej ściany. Nitki w mojej sukience wiją się po nogach. Ktoś pomaga mi je odciąć. Na policzku mam ślad po czekoladzie. Otrzepujesz spódnicę. A ty jesteś jej wdzięczna. Jest doskonale. Ja–Ty–MaMalarka.

Jesteś Dyrektorką Jesteś Reżyserką Jesteś Malarką Jesteś Matką.

Przeglądamy się w sobie. Uśmiech bezwiednie pojawia się na twarzy. Mam zupełnie tak samo. Jak ty.



~~SAKONČSENĚ~~
ZAKONČZENIE

Było to ciche i powolne zanikanie. Gubienie siebie. Każdego dnia odpadał ze mnie mikroskopijny okruszek, dlatego nie byłam w stanie zauważyć, że coś z moim światem jest nie tak. Przecież miałam wszystko. Męża, dzieci, dom, pracę. Ogólne zadowolenie otoczenia. To tylko jakieś paproszki sypały się wokół. Chodziłam ze zmiotką i zamiatałam je, uśmiechając się sztucznie. Bo tak trzeba. Trzeba się uśmiechać, cieszyć, kochać. Trzeba żyć.

A ja narzekam!

Miałam potworne wyrzuty sumienia. Właśnie urodziłam drugie, a potem trzecie dziecko. Z jednej strony byłam bardzo szczęśliwa (marzyłam o gromadce), ale wtedy poczułam również ten bliżej nieokreślony stan. Czułam, że tracę samą siebie. Swoją niezależność. Nawet moje ciało nie należało już tylko do mnie. Nie mogłam wyjść z domu ot tak, nie mogłam robić tego, na co miałam ochotę, a kiedy mogłam, to już nie miałam siły. Pomiędzy karmieniami biegalam do pracowni, bo nie potrafiłam – nie chciałam porzucić malowania. Czułam się jak w pułapce. Praktycznie nie sypiałam. W pewnym momencie byłam tak wycieńczona, że mój organizm się zbuntował. Ogarnął mnie lęk. Paniczny lęk nie do wyobrażenia. Że czegoś nie dopilnuję. Że nie zrobię czegoś tak jak trzeba. Że mam to, mam tamto. Że tracę kontrolę. Że ktoś będzie wytykał mi błędy.

Że zaraz trafi mnie szlag!

Szarpałam się sama ze sobą. Nie chciałam zaniedbać dzieci – są dla mnie najważniejsze – a jednocześnie czułam, że rozsypię się całkowicie, jeśli skupię się tylko na życiu rodzinnym. Właściwie to dlaczego miałabym z czegoś zrezygnować? Czy naprawdę kobieta musi wybierać? Czy naprawdę spełni się tylko jako matka albo tylko jako – w moim przypadku – malarka?

Tkwiałam pomiędzy. Buntowałam się. Balansowałam.

Byłam koszmarnie uparta. I wydaje mi się, że im trudniej miałam, tym świadomiej zaczęłam tworzyć. Można powiedzieć trochę żartem, że odkąd zostałam matką, wszystko nabrało sensu.

To jest początek MaMamalarki. Kobiety–matki–artystki.

Macierzyństwo, które spowodowało u mnie tak skrajne uczucia, które wymagało ode mnie tak wiele, które miało mi przeszkodzić w samorozwoju – bo przecież ja wszystko MUSIAŁAM, dookoła, wszystkim, dla wszystkich, za wszystkich, bo mama jest jedyna i niezastąpiona – wbrew pozorom stało się dla mnie inspiracją. Zaczęłam zgłębiać temat, czytać, analizować.

Plakałam.

Wylałam nad tymi lekturami. *Własny pokój*, *Mistyka kobiecości*, *Chcemy całego życia*, *Kobieta w oczach kobiet* ⁶⁶ i inne prace zbiorowe. Virginię pokreśliłam na wszystkie możliwe sposoby: odręczne linie, wykrzykniki, notatki na marginesach i pętle wyróżniające całe akapity. Mam wrażenie, że wtedy się obudziłam. Że powołując do życia MaMalarke, zaczęłam rozumieć, że pod wpływem różnych presji – czy to ze strony społeczeństwa, czy tak naprawdę swoich własnych – wpadłam w pułapkę.

Ja nie byłam histeryczką. Nie byłam wariatką. Nie szukałam dziury w całym. Ja po prostu potrzebowałam żyć również dla siebie samej. Nie tylko dla innych. Ja miałam inne możliwości.

Czy teraz jest wszystko idealne? Nie. Wszystko jest tak, jak było, mam to, mam tamto!, tylko ja patrzę już inaczej. Bardziej świadomie. Nie tylko dzieci mają prawa, o których teraz tak dużo się mówi. I dobrze. Trzeba mówić. Ale ja też mam swoje prawa. I potrzeby. I cały czas uczę się, jak nie dać się zwariować. Wykorzystuję to, co mam pod ręką. Codziennosc, która w jakimś sensie mnie wyniszczała, stała się dla mnie pokarmem. *Nie tylko Dzień Pranie Sprzątanie Noc* ⁶⁷. Maluję, czytam, notuję. Żyję.

⁶⁶ J. Frużyńska (red.), *Kobieta w oczach kobiet. Kobiectwo (auto)narracje w perspektywie transkulturowej*, Warszawa 2019.

⁶⁷ S. Chutnik, *Kieszonkowy atlas kobiet*, Kraków 2009, s. 16.

Wysłam za mąż. Urodziłam dzieci. Spójrz. Nie przepadłam. Wciąż jestem.
Bardziej niż kiedykolwiek.

Łańcut 2019–2022


BIBLIOGRAFIA



- Borszewicz J., *Mroki*, Warszawa 2015.
- Brach-Czaina J., *Szczeliny istnienia*, Warszawa 2018.
- Chutnik S., *Kieszonkowy atlas kobiet*, Kraków 2009.
- Friedan B., *Mistyka kobiecości*, przeł. A. Grzybek, Warszawa 2012.
- Frużyńska J. (red.), *Kobieta w oczach kobiet. Kobiecte (auto)narracje w perspektywie transkulturowej*, Warszawa 2019.
- Górnicka-Boratyńska A., *Chcemy całego życia. Antologia polskich tekstów feministycznych z lat 1870–1939*, Warszawa 2020.
- Graff A., *Matka feministka*, Warszawa 2014.
- Hryciuk R., Korolczuk E. (red.), *Pożegnanie z Matką Polką? Dyskursy, praktyki i reprezentacje macierzyństwa we współczesnej Polsce*, Warszawa 2012.
- Iwasiów I., *Lolity, demony i fizjologia*, „Nowe Książki” 1995, nr 11.
- Jakubowska A., *Na marginesach lustra. Kobiecte ciało w pracach polskich artystek*, Kraków 2005.
- Kotas D., *Pustostany*, Warszawa 2019.
- Kowalczyk I., *Matki, artystki, negocjatorki* [w:] „Sztuka matek. Katalog wystawy”, Warszawa, Galeria Apteka Sztuki, Wrocław, Galeria Browart, Wrocław 2011.
- Kuźniak A., *Stryjeńska. Diabli nadali*, Wołowiec 2016.
- Marcinów M., *Bezmatek*, Wołowiec 2020.
- Możdżyński P., *Inicjacje i transgresje*, Warszawa 2011.
- Mucha J., *Cooley*, Warszawa 1992.

- Nietzsche F., *Tako rzecze Zaratustra. Książka dla wszystkich i dla nikogo*, przeł. W. Berent, Warszawa 1905.
- Pawlikowska-Jasnorzewska M., *Prawo nieurodzonych*, „Wiadomości Literackie” 1932, nr 32.
- Pinkola Estés C., *Biegająca z wilkami. Archetyp Dzikięj Kobiety w mitach i legendach*, przeł. A. Cioch, Poznań 2015.
- Praca kobiety nigdy się nie kończy*, Praca zbiorowa, Album do wystawy, Kraków 2013.
- Proust M., *W stronę Swanna. W poszukiwaniu straconego czasu*, tłum. T. Żeleński (Boy), Kraków 2021.
- Sollée K.J., *Polowanie na wiedźmy*, tłum. J. Dziubińska, Kraków 2021.
- Szykowska-Piotrowska A., *Po-twarz. Przekraczanie widzialności w sztuce i filozofii*, Gdańsk–Warszawa 2015.
- Tabaczyński M., *Pokolenie wyżu depresyjnego*, Kraków 2019.
- Walczeńska S., *Damy, rycerze i feministki. Kobiety dyskurs emancypacyjny w Polsce*, Kraków 1999.
- Woolf V., *Własny pokój*, tłum. A. Graff, Warszawa 2019.
- Ziętek S., *Polki na Montparnasje*, Warszawa 2021.





~~N~~ ŹRÓDŁA
INTERNETOWE



Filipowicz P., *Kiedy rodzic jest artystą, rozmowa z fotografką Martą Berens*, <https://ladnebebe.pl/kiedy-rodzic-jest-artysta/> [dostęp 7.01.2020].

Forel J., *Sophie Ebrard's photos explore the conflicting emotions of motherhood*, https://www.dazeddigital.com/art-photography/article/46164/1/sophie-ebrard-s-photographs-explore-the-conflicting-emotions-of-motherhood?fbclid=IwAR0IoNXop_jibq-2IRQ6-MtObQi6-oXHCgn4Ub1eb5Iy3q2209D10YX_TOM [dostęp 16.06.2022].

<http://www.klenyanszki.com/mothers-in-arts>. [dostęp 7.01.2020].

<https://pl.wikipedia.org/wiki/Imagineskopia> [dostęp 16.06.2022].

Miarecki, *Sztuka Matek*, <http://www.lepszypoznac.pl/2012/05/15/artystka-%E2%80%93-kobieta-%E2%80%93-matka.html> [dostęp 7.01.2020].

Morón M., <https://www.instagram.com/milixamoron/> [posty z Instagram za zgodą autorki, dostęp 7.01.2020].

Nowak A., *Matka w sztuce. Święta, wyrodnica, feministka?*, <http://www.girlsroom.pl/zycie/4831-matka-wsztuce-wieta-wyrodnica-feministka> [dostęp 2.06.2019].

Pochwała wspólnoty. „Zapisane w ciele” w Aptece Sztuki, <https://magazynsum.pl/pochwala-wspolnoty-zapisane-w-ciele-w-aptece-sztuki/> [dostęp 16.06.2022].

Ujma M., *Elżbieta Jabłońska. Supermatka. Nadzwyczaj udane dzieło*, <https://galeria-arsenal.pl/wystawy/elzbieta-jablonska-supermatka> [dostęp 7.01.2020].

Styczeń 2008

Maja ~~19~~ modli:

W IMIĘ OJCA I SYNA
I DUCHA ŚWIĘTEGO
MIKOŁAJA... Ć

Maja jest kołkiem
na ciworakach.

między i hooki

12 maja 2008

Maja ma OSPE.



Recenzja: dr hab. Agata Jakubowska

Opracowanie redakcyjne i korekta tekstu: Lucyna Solak

Projekt graficzny, okładka i skład: Barbara Porczyńska

Fotografie i reprodukcje: Barbara Porczyńska

Ilustracje dziecięce: Maja, Leon, Adrianna Porczyńscy

Konsultacja graficzna i korekta techniczna: Karolina Niwelińska

Praca powstała w ramach grantu nr ISP-06/2021/MN na prowadzenie badań naukowych lub prac rozwojowych oraz zadań z nimi związanych służących rozwojowi młodych naukowców, uczestników studiów doktoranckich oraz słuchaczy Szkoły Doktorskiej UR, reprezentujących ewaluowane dyscypliny naukowe obecne w Kolegium Nauk Humanistycznych Uniwersytetu Rzeszowskiego.

Dziękuję prof. dr. hab. Pawłowi Gracie, Prorektorowi do spraw Kolegium Nauk Humanistycznych Uniwersytetu Rzeszowskiego za dofinansowanie niniejszej publikacji.

© Copyright by Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego,
Rzeszów 2022

ISBN 978-83-8277-058-2

1986

Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego

35–310 Rzeszów, ul. prof. S. Pigoń 6

tel. 17 872 13 69, tel./fax 17 872 14 26

e-mail: wydaw@ur.edu.pl; <https://wydawnictwo.ur.edu.pl>

Wydanie I, format B5, ark. wyd. 15,5, ark. druk. 15,5, zlec. red. 81/2022

Druk i oprawa: Drukarnia Uniwersytetu Rzeszowskiego

28.12.2021 ADA





ISBN 978-83-8277-058-2